

MICHAŁ KOŁODZIEJCZAK W KRAINIE BRUDU



EFEKT TUSKA: BOGACI CORAZ BOGATSI, A BIEDNI ZBIERAJĄ PUSZKI



PAWLICKI: JAKA POLSKA? CZEGO OCZEKUJĘ OD POLITYKÓW PRAWICY

TAJEMNICZA DŻUMA W ROSJI. CZY JEST SIĘ CZEGO BAĆ?

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

43 (725) 2026
19–25 października 2026

CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694 9 772544 269601 43

Numer w sprzedaży do 26 X 2026 r.

EKSKLUZYWNY WYWIAD

POSPRZĄTAM POLSKĘ

PRZEMYSŁAW CZARNEK,

KANDYDAT PiS NA PREMIERA, UJAWNIA NAM KULISY ROZŁAMU W PARTII. MÓWI TAKŻE, DLACZEGO TUSK TAK BARDZO PRAGNIE TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO, I DEKLARUJE: „NIE BĘDZIE GRUBEJ KRESKI"

polsat box

Tylko teraz

dobierz za **30 zł** /mies.

do umowy na min. 24 mies.

amazon prime
tv
Disney+

lub

amazon prime
tv
skySHOWTIME









Cena 30 zł obowiązuje od 1.10.2026 do 3.11.2026. Pakiet może być dokupiony do zawieranej/przedłużanej umowy z abonamentem na min. 24 mies. w łącznej cenie od 70 zł/mies., a przy wyborze rabatu zapłacisz o 10 zł mniej/mies.; od 25. miesiąca 65 zł, bez rabatów 75 zł. Po każdych kolejnych 12 mies. trwania umowy cena abonamentu wzrasta o 5 zł. Szczegóły w cennikach i regulaminach dostępnych na polsatbox.pl, u doradców oraz dostawców ww. serwisów streamingowych. Disney+ i SkyShowtime w planie Standard. Dostawcą ww. serwisów streamingowych są: Amazon Prime – Amazon Europe Core S.à r.l., Apple TV+ – Apple Distribution International Ltd., Disney+ – The Walt Disney Company, a dla SkyShowtime – SkyShowtime Limited. Amazon, Amazon Prime i wszystkie powiązane logo są znakami towarowymi Amazon.com, Inc. lub jej podmiotów towarzyszących. © 2026 SkyShowtime Limited. All rights reserved. © 2026 Disney i powiązane podmioty.

eprasa.pl e04705417a

Rejtan naszych czasów

Zaimponował mi prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski twardą postawą wobec uzurpatorów, którzy wtargnęli do budynku kierowanej przez niego instytucji. Ten dzielny człowiek własnym ciałem uniemożliwił dalsze działania i przejęcie jednego z ostatnich bastionów wolności. Święczkowski ma doświadczenie w walce z gangsterami, pewnie dlatego miał świadomość, że okazanie jakiejkolwiek słabości zniweczy plan obrony TK.

Od dawna słyszeliśmy deliberacje o tym, czy wejdą, czy nie wejdą. Oczywiście ludzie Tuska, w ostatnich trzech latach ośmieleni sukcesami w stosowaniu przemocy, nie potrzebowali szczególnych okoliczności. Preteksty, jeśli są, są dla biednych ludzi, którzy poprzestają na wiedzy obiegowej, a polityką interesują się o tyle, o ile. Zatem „opinia Komisji Weneckiej" to podkładka, która nie ma żadnej mocy prawnej ani siły zobowiązującej kogokolwiek do czegokolwiek, ale skoro to bardzo nieokreślone ciało postanowiło zagrać dla Tuska, ten z tego skorzystał. Notabene, gdy KW wydała w przeszłości opinię, że „nie ma neosędziów", to wiadra pomyj wylewali na nią ci sami politycy, którzy teraz zachwycają się jej rzekomym autorytetem.

Co więc obroniło Trybunał Konstytucyjny? Co sprawiło, że uruchomiona w nadmiarowej sile policja nie spacyfikowała ludzi broniących gmachu przy Al. Szucha w Warszawie? Trochę nie wierzę w strach przed światową opinią publiczną, Tusk raczej ma takie wsparcie przyjaciół zewnętrznych, że może gwizdać na to, kto go ewentualnie zgani za siłowe przejęcie sądu konstytucyjnego. To po pierwsze. Po drugie, nie wierzę w to, że takie głosy kiedykolwiek by się pojawiły. Gdy kradziono Telewizję Polską, w Polsce była pani komisarz Věra Jourová; gdy wyłamano drzwi do prokuratury, wizytował nasz kraj Didier Reynders. I co? I nic. Teraz próba wejścia sędziów uzurpatorów do TK odbyła się niejako przy asyście Komisji Weneckiej. Ile nam jeszcze potrzeba dowodów na to, że instytucje i urzędnicy europejscy legitymizują przemoc stosowaną przez Donalda Tuska?

Bardzo obawiałem się tego, że przed trybunałem może dojść do krwawej rozprawy z jego obrońcami. Na szczęście skończyło się na przepychankach. Z jednej strony determinacja premiera, by wprowadzić do TK „swoich sędziów", jest ogromna, z drugiej zaś dzień i noc sądu pilnują naprawdę świadomi Polacy, patrioci, którzy nie przyszli tam dla kaprysu czy na pokaz. To ludzie, którzy o Polskę są w stanie się bić. Myślę, że zobaczyli to policjanci, którzy pojawili się tam w takiej liczbie, że już samo to miało ich wystraszyć. Ale nie przestraszyło, bo to coraz liczniejsza grupa, która rozumie, jak niewiele wolnej Polski nam już zostało. Że przez trzy lata okradziono nas z prawie wszystkich niezależnych instytucji, że po rozprawie z TK zostałyby nam być może już tylko Instytut Pamięci Narodowej i Narodowy Bank Polski. Zamordystyczne rządy Tuska, Żurka, Kierwińskiego i Domańskiego sprawiły, że w Polakach budzi się chyba pierwotny instynkt przetrwania. Przymus obrony Polski, by nie pozwolić rozpuścić jej w europejskim kisielu.

Donald Tusk jest despotą, nienawidzi niezależnych od niego instytucji, a wspólnot się boi. Jest liderem środowiska, które gardzi Polakami. Za nic ma naszą potrzebę suwerenności i głośne domaganie się jej. Tym razem Trybunał Konstytucyjny obronili ludzie, mądrzy Polacy. Ale nawet to grono potrzebuje liderów i – szczęśliwie – ich ma. To wspomniany Bogdan Święczkowski, lecz także prezes Jarosław Kaczyński i prezydent Karol Nawrocki, którzy pojawili się przy Al. Szucha. I za to bardzo dziękuję, bo to sprawia, że kolejne zaplanowane przez Tuska bandyckie przejęcie kawałka naszej ukochanej Polski się nie powiodło.

Marcin Wikło



Reklama | 20/0326/F

eprasa.pl e047054f7a

SIECI spis treści



28 **Złe wieści z Krakowa dla Tuska**
Piotr Gursztyn



31 **Państwo w stanie psychozy**
Marzena Nykiel



58 **Czy ukraińskie latyfundia wygrają bój o unijny rynek rolny?**
Agnieszka Łakoma

NA POCZĄTEK

5 **ZBRODNIE I HIENY**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

9 **RUDY I BRUDY**
MuMa

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **TO BĘDZIE BARDZO DROGA ZIMA**
Daniel Obajtek

13 **DYLEMAT TRAGICZNY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA PAWŁA KĘSKI**
Michał Korsun

16 **JAK WYŚMIAĆ TO, O CZYM NIE WOLNO MÓWIĆ?**
Jan Pietrzak

16 **SUWERENNOŚĆ GINIE W MAŁYCH KROKACH**
Samuel Pereira

17 **TRYBUNAŁ? PRZECIEŻ TU NIE CHODZI O BUDYNEK...**
Arkadiusz Mularczyk

18 **GDYŃSKIE FESTIWALE FILMOWE**
Lech Makowiecki

TEMAT TYGODNIA

19 **POSPRZĄTAM POLSKĘ**
Z prof. Przemysławem Czarnkiem rozmawia Jacek Karnowski

KRAJ

25 **MICHAŁ W KRAINIE BRUDU**
Stanisław Janecki

28 **ZŁE WIEŚCI Z KRAKOWA DLA TUSKA**
Piotr Gursztyn

31 **PAŃSTWO W STANIE PSYCHOZY**
Marzena Nykiel

34 **ROZWÓJ PLUS NA MINUSIE**
Maciej Walaszczyk

37 **ZA ZŁUDNE OBIETNICE BEZPIECZEŃSTWA ŻĄDAJĄ DANINY Z NASZEJ WOLNOŚCI**
Z Jerzym Adamem Kwaśniewskim rozmawia Jerzy Szmit

40 **EFEKT TUSKA**
Konrad Kołodziejski

OPINIE

43 **MAMY W GARŚCI ZŁOTY RÓG**
Maciej Pawlicki

ŚWIAT

46 **DŻUMA CZY COŚ WIĘCEJ?**
Marek Budzisz

49 **BABILON BND**
Aleksandra Rybińska

52 **ŚWIATOWY POCZET POLITYKÓW DEGENERATÓW**
Dariusz Matuszak

HISTORIA

55 **MUZEUM W RAPPERSWILU. JAK POLACY WALCZĄ ZA GRANICĄ O NARODOWE DZIEDZICTWO**
Stanisław Płużański

GOSPODARKA

58 **CZY UKRAIŃSKIE LATYFUNDIA WYGRAJĄ BÓJ O UNIJNY RYNEK ROLNY?**
Agnieszka Łakoma

SIECI KULTURY

61 **BLASK DRUGIEGO PLANU**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

PODRÓŻE

66 **MOJE SZLAKI: PABLO PICASSO**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

67 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

68 **POCHWAŁA ŚMIERCI**
Robert Tekieli

70 **COJONES I FUTBOL**
Ryszard Czarnecki

71 **SZCZERBA JUNIOR ZNOKAUTOWAŁ SZCZERBĘ SENIORA**
Marek Formela

72 **NIEWYSTARCZALNOŚĆ SŁÓW**
Aleksander Nalaskowski

74 **JAK DŁUGO ARYSTOTELES POZOSTANIE KLASYKIEM?**
Andrzej Zybertowicz

eprasa.pl e047054f7a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Zbrodnie i hieny

W ciągu paru tygodni w polskich szkołach doszło do trzech ataków na personel i uczniów, w wyniku których zabita została jedna osoba, a kilkanaście poważnie rannych. Właściwie nie wiadomo, ile planowanych napaści udaremniła policja, gdyż zatrzymanych zostało 117 osób.

Czysto przypadkowe stężenie skrajnych aktów przemocy w określonym czasie i miejscu jest mało realne. Jeszcze mniej prawdopodobne wydaje się ich zaplanowanie przez jakiś ośrodek decyzyjny. Do pewnego stopnia wyjaśnieniem może być erupcja kryzysu cywilizacji zachodniej, który intensywnie przejawia się w szkolnictwie. Jego nagłe, ale intensywne objawy w Polsce dziś mogą być spowodowane mimetycznym (naśladowczym) impulsem.

Zdaniem francuskiego myśliciela, René Girarda, to podstawowy mechanizm kształtujący relacje międzyludzkie, a zatem i osobowość człowieka. Przyjęcie, że cywilizacja funkcjonuje na zasadzie powtarzania, a zatem naśladownictwa zachowań oraz postaw, jest mało kontrowersyjne. Natomiast Girard wyjątkowo mocno akcentuje pierwotność tego motywu i wskazuje jego ambiwalencję, tzn. zarówno kulturotwórczy, jak i destrukcyjny aspekt. Ten drugi dominuje w okresie upadku cywilizacyjnej hierarchii. Pisałem o tym w książce „Opowieść idioty czy ład naturalny".

Załamanie się tradycyjnego porządku nadającego ramy ludzkim popędom wyzwala ciemne pierwiastki natury ludzkiej i może prowadzić do swoistej licytacji zła. Zjawiska takie w skrajnej postaci możemy obserwować w trakcie wojny. Występują one jednak również bez niej, w okresach niepokoju, a ich ofiarą padają zwłaszcza młodzi, nieuformowani ludzie. Fenomeny takie objawiają się szczególnie w epokach przełomu, ostentacyjnym ich przykładem była opiewana swojego czasu na Zachodzie rewolucja kulturalna w Chinach. Na szczęście nie znajdujemy się teraz w tak dramatycznym okresie, ale ideologia emancypacji, która uderza w kulturę Zachodu i niszczy tradycyjne autorytety oraz siłą rzeczy podważa rolę szkoły, wyzwala podobne reakcje.

Minister edukacji, która usiłuje zlikwidować kanon nauczania, kwestionuje tradycyjny ład obyczajowy i zachęca do radykalnych eksperymentów, kreując „edukację seksualną" – jej nazwę z taktycznych względów zmieniono na „edukację zdrowotną" – prowadzi w tym samym kierunku. Uczniowie mają emancypować się z tradycyjnych porządków i samorealizować. Skoro utrwalone wzorce przestają obowiązywać, ich miejsce wypełniają kreowane przez wielki biznes konsumpcyjne modele, z czym współgra kult eksperymentu – realnie mody. Technologiczne wynalazki otwierają kolejne możliwości w tym kierunku, a poszukiwanie coraz bardziej intensywnych doznań stosunkowo łatwo wkracza w dziedzinę przemocy, a nawet przeradza się w swoistą na nią licytację.

Przesycona jest nią dziś kultura masowa, która w dobie upadku modeli wzorotwórczych przejmuje ich rolę. To tylko pozorny paradoks, że wirtualny, czyli odrealniony świat, w którym bezrefleksyjnie pogrążają się młodociani odbiorcy, poszukuje przeciwwagi w eksponowaniu skrajnych form zmysłowości, odwołuje się do seksu i przemocy. W takim stanie rzeczy margines patologii rozrasta się i, co ważniejsze, nie znajduje właściwego oporu wśród autorytetów rodzinnych czy szkolnych, których racja bytu została zakwestionowana. Zastępują ich grupy rówieśnicze, które potrafią współzawodniczyć w wyszukiwaniu niebezpiecznych „zabaw".

W tym stanie rzeczy premier polskiego rządu zrzuca odpowiedzialność za zbrodnie w szkołach na prezydenta, który zawetował ustawę o cenzurze. „Gdyby dzisiaj ten młodociany nożownik transmitował zbrodnię w internecie, to nie moglibyśmy tej treści zablokować, ponieważ nie dostaliśmy tego narzędzia prawnego do ręki" – łgał premier, który wie, że prawo polskie umożliwia w takiej sytuacji interwencję natychmiastową, i którego służby o szóstej nad ranem wywlekły w kajdankach z mieszkania blisko siedemdziesięcioletnią Izabelę Majewską za metaforyczny wpis na Facebooku „Giń [zniknij – przyp. B.W.] człeku" na temat Jerzego Owsiaka. Ciągana po sądach, skazana i otoczona hejtem ze strony dominujących mediów umarła niedawno.

Donald Tusk nie jest zainteresowany jej losem, a to, co dzieje się w polskich szkołach, zajmuje go jako możliwość ataku na prezydenta oraz okazja do wprowadzenia cenzury. To, że nie będzie miała ona wpływu na dramaty w szkołach, to oczywiste, ale może zablokować np. wskazanie Tuskowych kłamstw. I przede wszystkim na jej wprowadzenie naciska zagrożona oligarchia UE, która liczy, że w ten sposób uda się jej kontrolować sferę publiczną. Nasz premier zależy od niej.

„Mam nadzieję, że już nikomu do głowy nie przyjdzie powiedzieć, że wolność do przemocy, przekleństwa, pogardy, wymuszania, to nie jest obszar, gdzie możemy mówić o wolności słowa" – grzmi szef rządu, który powinien odpowiadać za nasycenie polskiej polityki pogardą, przemocą i wymuszeniem.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e047054f7a



Sygnalista nadaje

Najbardziej przerażający horror już na ekranach! „Godzilla kontra Berek". Szarpanie i popychanie. Pisowskie bojówki oblegające Trybunał Konstytucyjny. Narastająca fala przemocy z ich strony. Wstrząśnięty, ale nie zmieszany, minister ***Kierwiński*** informuje, że zostało już zatrzymanych aż trzech bojówkarzy.

Dalsze doniesienia na temat przemocy: cudem uniknęliśmy zamachu na Pana Premiera Donalda Tuska. Oraz wicepremiera Dablju Ka – jak nazywają go towarzysze amerykańscy. Brawurowa akcja policji, kierowanej przez tęgą głowę Marcina Pogłos-Kierwińskiego, powstrzymała zbrodniczą rękę sześćdziesięcioześciolatka z Wrocławia o imieniu Krzysztof (nazwisko na N). Ten niebezpieczny typ – zakamuflowany jako wariat z wadą wymowy – kierował jedną z najgroźniejszych na świecie organizacji ekstremistycznych i terrorystycznych. To Słowiańska Armia Krajowa. Złowrogi apel demonicznego Krzysztofa obejrzało w internetach 13 tys. osób, a polubienia dało 850. Trwa ustalanie ich danych. Należy spodziewać się masowych zatrzymań. Dzięki zdecydowanej akcji Pan Premier nadal może chodzić na piechotę ze swojej willi przy ul. Parkowej do Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Także na czerwonym świetle. Oraz obok Belwederu, gdzie wprawdzie ten Nawrocki z Gdańska nie mieszka, ale zawsze można tam nakręcić fajny filmik o jego zbrodniczych wetach.

Pozytywna wiadomość z Krakowa. Kandydatka demokratyczna Monika Piątkowska zajęła dobre drugie miejsce w wyborach na prezydenta tego miasta. Kandydat niedemokratyczny Gibała Łukasz był dopiero na przedostatnim miejscu. Wola Justowska – najbogatsza dzielnica Krakowa – zagłosowała tak, jak trzeba. Areszt śledczy w Nowej Hucie tak samo. Reszta tego miasta nie dorosła do demokracji. W związku z tym palącą kwestią przestaje być temat krakowskiego metra. Czy warto budować dla ludzi, którzy nie dorośli do demokracji? Możliwym rozwiązaniem jest projekt kompromisowy – jedna linia metra łącząca Wolę Justowską z aresztem śledczym. Bez żadnych niepotrzebnych stacji w innych dzielnicach.

Syn posła demokratycznego Zimocha Tomasza zapewnia, że tata nie załatwił mu pracy w telewizji. Skoro tak mówi, musiało tak być. Nie inaczej, bowiem w pewnych rodzinach talenty są dziedziczne.

UNESCO rozważa wpisanie na Listę Niematerialnego Dziedzictwa Ludzkości apelu wystosowanego przez Legendarnego Analfabetę Funkcjonalnego Bolesława ***Wałęsę*** w sprawie wyborów w Krakowie. Zapoznajmy się z jego treścią i zapamiętajmy te ważne słowa. „Po wyborach w Krakowie. Pragnę zauważyć Kochni z Krakowa skutecznie utrudniacie rządzenie wspaniałemu Premiwrowi Tuskowi. Niezależnie od małych racji" [pisownia oryginalna, jak sam autor apelu].

Wspaniały Premier Tusk ujawnił kolejny spisek pisowski. Chodzi o zbrodnię stanu. Pisiory zwąchały się z Żydami z Izraela i dostarczały im dane wrażliwe obywateli Tenkraju. Dokładnie nie wiadomo jakie dane, ale są pewne przypuszczenia. W zamian za program do podsłuchiwania demokratów Pegasus dostarczali informacje np. o grupie krwi (wy już wiecie po co). Rewelacje ogłoszone przez Pana Premiera wzbudziły ogromne zainteresowanie

eprasa.pl e04705417a

wśród aktywistów Ruchu Gaśnicowego, którzy z życzliwością komentowali wystąpienie szefa rządu. Według nieoficjalnych doniesień w następnym filmiku Pan Premier Donald Franz potwierdzi fakt istnienia bunkra pod CPK, czyli kolejnego dowodu na to, że PiS zamieniło Tenkraj w kondominium żydowsko-anglosaskie.



Zwracamy też uwagę na to, że internet pochodzi z Ameryki. Tak jak gry komputerowe. W tym najgorsza z nich Mein Kraft! Słusznie wskazał na to zagrożenie Pan Premier Donald Franz. Wiadomo również, że zamachowiec Krzysztof z Wrocławia posługiwał się internetem. A wiadomość o zbrodniczym zamachu przyszła mailem. Wnioski są oczywiste: demokracji walczącej nie da się obronić bez likwidacji internetu i maili. Rząd przedstawi odpowiedni projekt ustawy, który błyskawicznie zostanie przegłosowany w Sejmie. Wprawdzie ten Nawrocki z Gdańska go zawetuje, ale tym razem niczego to nie zatrzyma. Odzyskany, zdemokratyzowany, odpolityczniony i odpartyjniony przez Pana Radcę Maćka Berka Trybunał Konstytucyjny wyda odpowiednie orzeczenie. Mianowicie o tym, że każde weto tego Nawrockiego jest niezgodne z konstytucją.



Uczcie się francuskiego, demokraci! To was będzie odróżniało od plebsu, który nie dorósł do demokracji. Wybitny intelektualista postępowy, dawny chłopak Cvety Dimitrowej (która pisała za niego teksty, a teraz sam biedak musi je pisać, bo się rozstali) ***Sławek Sierakowski*** postawił surową diagnozę. Większość mieszkańców Tenkraju to prymitywy i buce, czego dowodem są wybory prezydenckie 2025 r.: „Człowieka wykształconego, z językami, obytego na świecie Polacy na prezydenta nie chcieli, bo po co czuć się gorszym. Woleli obytego na stadionach, siłowniach i hotelowych bramkach. Nie przeszkadzały im przejęcie kawalerki, nierozliczone transakcje za pokój w muzeum, zarzuty o sutenerstwo, przyjaźnie z kryminalistami i naziolami. Dokładnie takich Polak ogląda w filmach Vegi, na galach MMA, więc co go tu bulwersuje? A czy sam by chętnie nie chapnął kawalerki, gdyby była okazja? Swój do swego, a przecież ponad 40 proc. Polaków lubi MMA, ponad 42 proc. boks, a po francusku mówi mniej niż 1 proc.” – ocenił Sławek. A najważniejsze jest na końcu. Tylko jeden procent mieszkańców Tenkraju mówi „bążur”. Les gens! Nauczcie się wreszcie francuskiego!



Trwa haniebny atak na ***Michała Kołodziejczaka***. Dzieje się to w czasie, gdy tak bardzo brakuje nam autorytetów moralnych. To jest najbardziej smutne. Michał jest oskarżany o spożywanie cukru pudru i przyjazny stosunek do kobiet. To skandaliczne pomówienia. Niech pierwszy rzuci kamieniem ten, który w dzieciństwie nie wyżerał cukru pudru? Na szczęście na odsiecz ruszył Krzysiek Rutkowski Patrol. Niesamowita ta jego najnowsza kreacja. Zwłaszcza torebka. Niby damska, a jednak pasująca do okazałego mężczyzny, jakim jest Krzysztof.
PS Gdyby jednak się okazało, że Michał coś zrobił nie tak, to jest rekomendacja od osoby ministerskiej ds. nierówności Kaśki Kotuli. Jeśli ktoś was zapyta o Michała, odpowiadajcie jak ona. Kołodziejczak? Pierwsze słyszę! Dla mnie to jest poseł nikt. Ani to znajomy, ani to kolega.



Wojna z autorytetami niestety nadal trwa. Jej ofiarą padł człowiek wspaniały. Michał Peno ze Szczecina. Miał zostać zastępcą rzecznika praw obywatelskich, bo jest z Unii Pracy, a Lewicy ta posada należała się jak psu buda. I wszystko było na dobrej drodze. Apolityczna, bezstronna i niezależna RPO Sylwia (dwojga nazwisk; jak kogoś interesuje, niech sam sprawdzi w internecie) przygotowała już dla niego gabinet i etat. Specjalnie wywaliła z roboty jakiegoś bezpartyjnego profesorka. Niestety rozlała się fala hejtu i Michał nie został powołany. Musi zostać w Szczecinie. TenKraj nienawidzi ludzi utalentowanych.

Teraz o „Zielonej granicy”. Jest prawda czasu i prawda ekranu. Są push-backi niedemokratyczne i są push-backi demokratyczne. Rząd Polski Uśmiechniętej – a konkretnie resort Marcina Pogłos-Kierwińskiego – zmienia prawo. Obywatelu! Jeśli podasz zaginionym dzieciom z Michałowa albo Ibrahimowi, który płynął rzeką przez sześć dni, albo kotu z Afganistanu miskę ciepłej zupy, to pójdziesz do więzienia. Na trzy lata. Uwaga! To nie jest to samo, co zbrodnicze działania rządu PiS i esesmanów ze Straży Granicznej. Nie wolno porównywać.

Na koniec cudowna wiadomość! Wielki comeback profesor doktor habilitowanej Baśki Mróz-Gorgoń. Wspaniałe spotkanie w Sopocie, burza mózgów, najtęższe umysły strony demokratycznej. Europejskie Forum Nowych Idei, przygotowane przez wiecznie młodą Henię Bochniarz i jej wnuczkę, która też jest gościem spotkania. Występuje nie tylko Baśka Doktor Habilitowana, ale też tacy intelektualiści jak Sławek Nitras, Misiek Szczerba (plus Darek Joński), Waldek Żurek, a nawet Baśka Nowacka. Uwaga! Bardzo tanie bilety wstępu. Tylko 7 tys. zł.

Fot. Andrzej Stawarczyński, Andrzej Wiktor, Julita Szewczyk

eprasa.pl e047054f7a

OGNIEM NA WPROST

Operacja „Vivaldi”



Andrzej Rafał Potocki

Wystarczy tej polityki, czas wrócić na front. Letnia ofensywa Moskali ugrzęzła, zanim się na dobre zaczęła. Główną siłą, która sparaliżowała moskiewskie zdolności ofensywne, były ukraińskie wojska dronowe, które zdezorganizowały wrogą logistykę. Uderzenia w drogi, tory i środki transportu nie spowodowały systemowego paraliżu logistyki Kremla, ale zakłóciły ją na tyle, że skuteczne działania zaczepne stały się praktycznie niemożliwe. To z kolei otworzyło drogę do lokalnych przeciwuderzeń ukraińskich. I to nie takich bardzo lokalnych, bo na 50-kilometrowym odcinku od Perszotrawnego do Daczne (które jest nadal po stronie okupantów) odbito łącznie ponad 400 km^2 terenu. Niemniej ofensywa dronowa umożliwiła Ukraińcom ustabilizowanie tych pozycji. I tyle dobrego w tym rejonie.

Na innych odcinkach jest gorzej. Mimo spowolnienia Moskale przekroczyli rzekę Hajczul i pełzną w kierunku Zaporoża. Lezą, ponieważ naprzeciwko mają najnowsze konstrukcje ukraińskich umocnień, przetestowane w Donbasie: trzy rzędy zasieków z drutu kolczastego (żyletkowego), trzy linie rowów przeciwczołgowych, a pomiędzy nimi smocze zęby i dopiero właściwą linię okopów. Całość opiera się na rzece, drodze lub innej przeszkodzie terenowej. Nawet taktyka przenikania małymi grupami niewiele tu daje. W dodatku cały umocniony odcinek jest podzielony na niezależne pozycje – „kwadraty”, pokrywające znajdujące się między nimi strefy śmierci. Utrata jednego „kwadratu” powoduje, że sąsiednie „forty” zamieniają go w strefę śmierci. Jest to powrót do koncepcji, które obowiązywały w Układzie Warszawskim, gdzie właśnie każdy pluton miał zajmować pozycję umocnioną, zdolną do samodzielnej obrony okrężnej, i osłaniana przez podobne sąsiednie pozycje innych plutonów. Pomiędzy pozycjami, tak jak teraz, nie miało być bezpośredniej łączności transzeją, umożliwiającą komunikację. Zatem „marsz na Zaporoże” w istocie będzie kolejnym Długim Marszem – wielomiesięcznym pełzaniem Moskali po własnej krwi i odchodach.

Rzeczywista zmiana nastąpiła na odcinku północnym koło Łymanu. Sygnalizowaliśmy zadyszkę Moskali, którzy utknęli na linii rzeki Nitrius na północ od Łymanu. Nie mogąc obejść tego miasta od północy, podjęli próby przenikania od wschodu, czyli *de facto* ataku frontalnego, ale skrycie. Z umiarkowanym skutkiem. Moskiewskie dowództwo zaczęło traktować ten kierunek jako drugorzędny, skupiając się na ataku na Słowiańsk od wschodu, co szczególnie po upadku Siewierska zaczęło wyglądać na możliwe do osiągnięcia. Siły moskiewskie koło Łymanu zostały rozrzedzone, część przesunięto na kierunek słowiański. I teraz robi się ciekawie. Tuż po 22 maja 3. Korpus „Azow” rozpoczął przygrywkę do operacji „Vivaldi” (faza I „Wiosna”). Tak, jak „Cztery pory roku” Vivaldiego została podzielona na cztery części. W pierwszej, wiosennej fazie zgromadzono siły i oczyszczono zachodni brzeg Nitriusu aż do Oskiła i odbite Seredne. Oczyszczona została Nowoseliwka. Uzyskano w ten sposób podstawę do pierwszego uderzenia. We wrześniu, po oczyszczeniu Nowoseliwki i uwolnieniu Serednego – faza II „Lato”. 20 września nastąpiło uderzenie na nawis operacyjny na północ od Łymanu: Drobyszewo i Szandrychowo. Kluczowe dla całej operacji jest Szandrychowo, bo ono przez swoje położenie daje możliwość rozwijania działań w obie strony. Ruscy uznają, że to główny kierunek natarcia i rzucają wszystko, co mają, w tym batalion dronowy „Rubież”. „Trójka” zaczyna polowanie na operatorów, co ułatwia jej to, że na obszarze działań nie ma gdzie się skryć. „Rubież” zostaje zmasakrowany i wycofany na drugą linię w celu uzupełnienia strat. Dziś, kiedy cały rosyjski wysiłek szedł na zatkanie wyłomu pod Szandrychowem, dowódca azowców, legendarny gen. Biłecki, ogłasza początek trzeciej fazy „Jesień” i wykonuje uderzenie z rejonu Karpówka-Głuszenkowo na Nowe. Główną siłą uderzeniową Ukraińców były stare pojazdy BTR-60, wypełnione materiałami wybuchowymi i przerobione na zdalnie sterowane lądowe drony kamikadze niczym pojazdy Wehrmachtu Borgward B IV. W wyniku uderzenia do niewoli dostało się od 50 do 250 (według różnych źródeł) Moskali. Dawno nie było tak dużej liczby jeńców. Do przełamania frontu jeszcze daleko, choćby ze względu na ukształtowanie terenu. Choć uderzenie rzeczywiście było dla Moskali miażdżące, to jego najdalej idącym skutkiem będzie odcięcie moskiewskich sił operujących na wschodnim brzegu Żerebca na wysokości Jampolówka-Nowomichajłówka. Widać, że rosyjska taktyka przenikania wyczerpała swoje możliwości. Lepszy rydz niż nic. Na razie ruski szuka nowych sposobów walki.

Współpraca: „Skipper”

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl e047054f7a

Słomiany ogień



Premier tysiąclecia Ronald Kieł z zazdrością obserwował rosnącą liczbę wyświetleń filmu, na którym Michał Słomiany wysiadał z samochodu w towarzystwie detektywa Ostrowskiego (nie mylić z Rutkowskim). Zasięgi szły w miliony, o których on mógł tylko marzyć. Nie do końca znał kontekst, bo bohaterowie filmiku mówili, jakby byli zupełnie odklejeni, ale wyniki w sieci były imponujące. Już miał wybrać numer do Słomianego, żeby pogadać o tym, jak zwiększyć osobiste zasięgi na socjalach, kiedy do gabinetu wpadła zdyszana Justyna Szop-Pracz.

– Cały Tenkraj żąda głowy Słomianego! – wykrzyczała od progu. – Musisz go, Kierowniku, natychmiast usunąć ze swojego otoczenia. Ronaldzie, on może być ogromnym obciążeniem!

– A dlaczego ty się tym tak emocjonujesz, Justyno? – Kieł spojrzał lubieżnie na kusą spódniczkę dziennikarki telewizji w likwidacji. – Czy on coś ci zrobił?

– Nic mi nie zrobił – odrzekła z lekką pretensją Szop-Pracz. – Ale jeśli Słomiany stanie się zapalnikiem bomby, która w kolejnych wyborach zmiecie z planszy obecną koalicję, to ja przecież stracę pracę!

– To ci załatwię w zaprzyjaźnionej gazecie – odpowiedział premier.

– E tam, w gazecie – prychnęła gwiazda, wypinając pierś. – W gazecie nie widać moich legendarnych kształtów. A poza tym żadna prywatna gazeta nie zapłaci mi tyle, ile telewizja w likwidacji. Tu muszę pochwalić pana premiera i byłego ministra kultury Mickiewicza, że nowe władze telewizji wybraliście panowie odpowiedzialnie. Likwidator może nie mieć pieniędzy na zapłacenie współpracownikom, bo sytuacja jest trudna, ale pensje dla elity dziennikarskiej wypłacane są regularnie!

– No właśnie! – ucieszył się Kieł. – Uczciwi dziennikarze nie mogą narzekać. Ale wróćmy do tematu... To mówisz, żeby pogonić tego Słomianego?

– Bezwzględnie – stanowczo odpowiedziała Szop-Pracz i natychmiast ściszyła głos. – Psuje wizerunek, bo podobno wciąga...

Gdy wypowiadała te słowa, drzwi znów się otworzyły i do gabinetu weszli Barbara Niejaka, ministra edukacji, oraz odstawiony na boczny tor Sławek Nitro.

– Co wciąga? – zainteresował się Kieł, nie zwracając uwagi na przybyłych.

Szop-Pracz nie zdążyła odpowiedzieć, bo ubiegł ją Nitro.

– Jeśli gadacie o Słomianym, to on wciąga wszystko – powiedział zawadiacko.

– Wszystko, czyli co? – Kieł albo nie rozumiał, albo nie chciał zrozumieć.

– Spid, koks, kryształ – wymienił Nitro, drapiąc się po nosie. – Mówiłem mu: chłopaku, nie rozdrabniaj się, bo se nos zniszczysz. Znaczy, wysuszysz śluzówkę. Tylko dobre ścieżki bierz. Ale nie słuchał...

– Ej, Sławek, Sławek... Ja to mam do ciebie słabość – uśmiechnął się Kieł. – Ale z tym Słomianym to przypał jednak. Kto go do nas przyprowadził?! Już ja mu nogi z d...

– Sam go przyprowadziłeś – przerwał mu Nitro, który jedyny czasem mówił premierowi prawdę z tej przyczyny, że Kieł nie mógł go pozbawić żadnej funkcji, gdyż został już pozbawiony wszystkich.

– Ja? Niemożliwe – zaparł się premier. – Dobrze, będę się zastanawiał... Mamy coś jeszcze na tego Słomianego?

– Oferował pracę za seks, co może przeszkadzać elektoratowi kobiecemu – zameldowała Szop-Pracz, która lubiła się zachowywać jak rzecznik rządu pod nieobecność Adama Stópki.

– Nie przesadzajmy – zbagatelizowała Niejaka. – Przedmiotowe traktowanie kobiet piętnujemy tylko u konserwatystów. W naszych szeregach nie ma takich przypadków.

– Przecież są – sprzeciwił się Nitro.

– Nawet jeśli są jakieś pojedyncze naganne zachowania, to nie bądźmy małostkowi. Każda kobieta lubi być od czasu do czasu potraktowana z męską szorstkością – Justyna Szop-Pracz spojrzała powłóczyście na premiera, któremu rozszerzyły się nozdrza, ale natychmiast się opanował.

– No dobrze, zdecydowałem – spojrzał ojcowskim wzrokiem na zebranych. – Schowajcie Michała Słomianego na parę tygodni, a tymczasem przykryjemy temat czymś innym. Ale chciałbym, żebyście mi zorganizowali spotkanie z tym detektywem.

– Detektywem Ostrowskim, nie mylić z Rutkowskim? – dopytał Nitro. – A czego od niego chcesz, Kierowniku?

– Widzę w nim potencjał, to jest chłopak z perspektywami. Ma świetne zasięgi w internecie – odpowiedział Kieł.

– Chłopak? Przecież on jest tak stary, że nawet zdążył przez chwilę służyć w ZOMO – powiedział Nitro.

– W ZOMO? Czyli nie myliłem się. Pasuje do nas jak ulał – na twarzy Ronalda Kła pojawił się szeroki uśmiech.

MuMa

Fot. Grafika wygenerowana przez AI/MuMN

eprasa.pl e047054f7a

Monty Python i muzułmanie

Muzułmańscy aktywiści z Wielkiej Brytanii zgłosili Johna Cleese'a, jednego ze słynnych komików z trupy Monty Pythona, do rządowego programu antyterrorystycznego Prevent zajmującego się tropieniem i przeciwdziałaniem politycznym ekstremizmom.

Wcześniej grupa muzułmańskich aktywistów oskarżyła Cleese'a o wykorzystywanie platformy X do atakowania islamu oraz szerzenia niebezpiecznej dezinformacji i „budowania wrogości wobec muzułmanów", nazywając go „kaznodzieją nienawiści". Aktywiści próbowali też zablokować występ komika w Birmingham i innych brytyjskich miastach, w których żyje znacząca populacja muzułmańska.

Chodzi o serię wpisów, w których Cleese stwierdził, że Wielka Brytania jest atakowana przez koraniczne systemy wierzeń, które są – w jego ocenie – „religią szerzącą nienawiść", a ich kultura jest oparta na „świętej księdze nawołującej do zabijania wszystkich, z którymi się nie zgadza". „Osobiście wolę kulturę, która nie akceptuje FGM [okaleczania żeńskich narządów płciowych – przyp. red.], małżeństw dzieci i zabijania niewiernych" – napisał Cleese, dodając, że teraz z niecierpliwością czeka, aż przyjdzie do niego policja i go aresztuje. Wyjaśniał przy tym, że jego wypowiedzi są uzasadnioną krytyką islamu i pewnych aspektów kultury muzułmańskiej, a nie wyrazem wrogości wobec jego wyznawców.

Cała sprawa to ponure pokłosie wprowadzonej w marcu nowej definicji islamofobii, którą przeforsowali politycy rządzącej Partii Pracy. Choć nie miała ona ograniczać wolności słowa, to w praktyce coraz częściej jest używana do uciszania „uzasadnionej krytyki" kierowanej pod adresem islamu i pozaeuropejskiej imigracji. Paradoks polega na tym, że w 2008 r. w Wielkiej Brytanii zniesione zostało, uznane za archaiczne, wielowiekowe prawo chroniące chrześcijaństwo przed bluźnierstwem. W jego miejscu pojawiły się więc „antydyskryminacyjne" przepisy chroniące wyłącznie islam, co przypieczętowało tym samym sojusz muzułmanów z lewicą.

Maciej Walaszczyk



Wielka Brytania



Indie

„Karaluchy" wracają na ulicę

Władze Indii zamknęły centrum stolicy i rozpoczęły aresztowania przywódców protestów przeciwko „reformie wyborczej". Zdaniem opozycji polega ona na wykreśleniu – jak dotąd – 130 mln nazwisk ze spisu wyborców przez powiązanego z obozem rządowym przewodniczącego Państwowej Komisji Wyborczej.

Władze argumentują, że „uporządkowanie" jest niezbędne ze względu na to, że nieaktualizowane od 10 lat listy uprawnionych do głosowania zawierają wiele „martwych dusz", wyborców niemających prawa do głosowania albo zdublowane nazwiska. Opozycyjna Partia Kongresowa, której liderzy wezwali do protestów, twierdzi jednak, że reforma uderza przede wszystkim w okręgi zdominowane przez przeciwników rządu. Partia BJP, z której wywodzi się rządzący już przez trzecią kadencję premier Modi, opowiada się za hinduistycznym nacjonalizmem, co – zdaniem opozycji – może sugerować, że przy okazji reformy rząd chce się pozbyć muzułmanów z list wyborców.

Dziennikarze „The Wall Street Journal" informują, że policja nie tylko zablokowała centrum stolicy, lecz także przeprowadzała „profilaktyczne" aresztowania, wywożąc zwolenników opozycji do obozów przejściowych położonych wokół New Delhi.

Sytuacja zaostrzyła się po tym, jak protesty poparli liderzy „Partii Karaluchów". Formacja ta powstała w maju br., gdy doszło do buntu młodzieży przeciwko nieprawidłowościom w trakcie egzaminów do szkół wyższych. Demonstrantom udało się ostatecznie doprowadzić do dymisji ministra edukacji. Młodzi ludzie zdecydowali się tak nazwać swój ruch po tym, jak pierwszy prezes indyjskiego Sądu Najwyższego określił protestujących mianem „karaluchów".

Powrót „Partii Karaluchów" stawia w trudnej sytuacji rząd premiera Modiego. Jeżeli gabinet ugnie się pod presją i zwolni przewodniczącego komisji wyborczej, to okaże swoją słabość, co może niekorzystnie odbić się na wynikach BJP w trakcie przyszłorocznych wyborów w stanie Uttar Pradesh, najliczniejszym w Indiach, oraz w Gudźarat, skąd wywodzi się premier. Jednak agresywna postawa policji może sprzyjać eskalacji protestów i spowodować, iż staną się zjawiskiem masowym. Po tym, jak demonstracje młodzieży obaliły rządy w sąsiednich państwach, w Nepalu i Bangladeszu, taka perspektywa, nie jest już wyłącznie teoretycznym scenariuszem.

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock

ebrasa.pl e047054f7a



Zbyt mądrych nam nie trzeba

Rosja

Młodym ludziom niepotrzebne jest wykształcenie. Ich zadaniem ma być praca w zakładach zbrojeniowych na rzecz zwycięstwa Rosji. Takie zadanie postawił przed młodzieżą Władimir Putin. Wojna na Ukrainie stała się pretekstem do eksperymentów inżynierii społecznej w Rosji.

Od chwili wybuchu wojny Rosja cierpi na niedobór siły roboczej w przemyśle. Zbrojeniówka działa wprawdzie na najwyższych obrotach, ale – podobnie jak pozostałe gałęzie przemysłu – zmaga się z rosnącym brakiem rąk do pracy. Wielu robotników trafiło na front, a młodzież nie pali się do pracy w fabryce. Na razie ten problem został doraźnie rozwiązany przy pomocy imigrantów zarobkowych ściąganych głównie z Azji Centralnej. Wywołuje to jednak konflikty, więc Kreml znalazł inną metodę. Dwa lata temu Putin polecił rządowi, aby zapewnił milion nowych robotników dla przemysłu. Zgodnie z tym szkoły miały zachęcać absolwentów szkół podstawowych do kontynuacji nauki w szkołach zawodowych.

W Rosji pierwszym etapem edukacji jest dziewięć klas szkoły podstawowej. Po dziewiątej klasie uczniowie piszą państwowy egzamin, którego wyniki decydują o ich dalszym życiu. Jeśli sprawdzian pójdzie dobrze, kontynuują naukę w klasie dziesiątej i jedenastej, po ukończeniu których mogą się ubiegać o przyjęcie na studia wyższe. Jeżeli zaś wyniki będą słabe, wówczas – bezpośrednio po dziewiątej klasie – trafiają do szkół zawodowych: techników i kolegiów.

Władze postanowiły wykorzystać ten system. Z jednej strony zaostrzono wymagania na egzaminie, aby zablokować start na studia jak największej liczbie uczniów. Z drugiej – świadomie obniżono jakość nauczania, aby zdanie egzaminu i zdobycie wysokiej średniej było jeszcze trudniejsze. W ostatnich dwóch latach zmniejszono m.in. liczbę godzin języka obcego, a teraz szef kremlowskiej rady ds. praw człowieka Walerij Fadiejew zażądał również ograniczenia lekcji z przedmiotów ścisłych oraz chemii. „Lekcje przepełnione są zbędnymi informacjami i zbędną wiedzą. Dotyczy to matematyki, fizyki i chemii. Można skrócić program nauczania o 20–30 proc.” – powiedział, sugerując jednocześnie przywrócenie podręcznika z matematyki napisanego za czasów carskich. „Jeśli osiągnięto szczyt w metodzie nauczania przedmiotu, nie trzeba nic więcej robić, trzeba wybrać najlepsze podręczniki i z nich uczyć dzieci” – stwierdził.

Skutki tej polityki są już widoczne. Liczba uczniów, którzy trafili do szkół zawodowych, wzrosła z 43 proc. w 2020 r. do 63 proc. w 2025 r. Dla większości świata byłby to zapewne powód do niepokoju, ale Kreml uważa ten wynik za duże osiągnięcie edukacyjne.

Konrad Kołodziejski

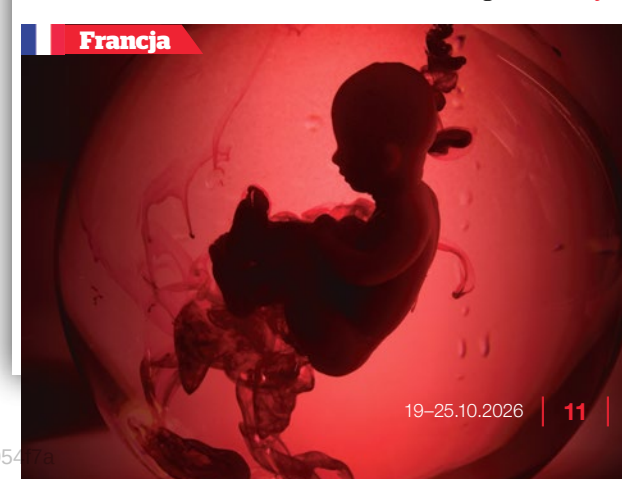
Wiedza naukowa jako wróg

Niedawno w Parlamencie Europejskim w Strasburgu odsłonięto wystawę poświęconą życiu dziecka w prenatalnej fazie rozwoju pt. „Po prostu człowiek – jak rodzi się obywatel Europy”. Na czternastu planszach przedstawiono informacje, które można przeczytać w każdym podręczniku szkolnym do biologii, np. zdanie: „Przygoda życia zaczyna się w momencie poczęcia, kiedy plemnik ojca zapładnia komórkę jajową matki, tworząc zygotę – pierwszy etap nowego, wyjątkowego i niepowtarzalnego człowieka”.

Ekspozycja została otwarta w mało reprezentacyjnym miejscu strasburskiego budynku i trwała zaledwie cztery dni, a mimo to wywołała prawdziwą burzę w europarlamencie. Przeciw „haniebnej wystawie”, domagając się jej natychmiastowego usunięcia, protestowali tak wpływowi politycy, jak przewodniczący grup parlamentarnych: Socjalistów i Demokratów (Iratxe García Perez), Zielonych (Terry Reintke) oraz Lewicy (Manon Aubry i Martin Schirdewan). Z ich ust padły takie zarzuty, jak „odrzucenie wartości europejskich”, „rana dla demokracji”, „obrażanie wszystkich kobiet”, „powrót do średniowiecza” itd. Włoska europosłanka Carolina Morace wezwała nawet przewodniczącą parlamentu Robertę Metsolę, by wszczęła wewnętrzne dochodzenie w sprawie wystawy.

Czym tak wzburzyła lewicowo-liberalnych polityków ekspozycja, która przedstawiała jedynie wiedzę naukową zgodną ze stanem faktycznym? Najtrafniej ujęła to wspomniana Manon Aubry w swoim wpisie w mediach społecznościowych: „Aborcja to morderstwo. Takie przesłanie rozbrzmiewa na korytarzach Parlamentu Europejskiego dzięki wystawie, która wskazuje, że embrion jest życiem ludzkim od poczęcia”. To rzeczywiście logiczny wniosek, wynikający z przyjęcia do wiadomości wiedzy z zakresu nauk przyrodniczych. W tej perspektywie swoistym paradoksem jawi się to, że tak wielu polityków, którzy uważają się za światłych i otwartych, dąży do cenzurowania treści prezentujących elementarne informacje z dziedziny biologii.

Grzegorz Górny



Francja

eprasa.pl e04705477a

To będzie bardzo droga zima

Tydzień temu w Sejmie podczas posiedzenia komisji energii odbyło się przedstawienie iście cyrkowe – ktoś zadaje proste pytanie, a w odpowiedzi dostaje pustosłowie.

Posłowie opozycji z posłem Maciejem Małeckim na czele pytali wprost: po jakich cenach i kiedy ORLEN kupił gaz na 2027 r.? Czy przed kryzysem, co uchroniłoby nas przed płaceniem za nadzwyczajne zyski ORLENU, czy ten czas po prostu przespano?



Sedno sprawy jest proste. ORLEN wchodzi w październik tego roku z zaledwie 44 proc. zakontraktowania błękitnego paliwa. Resztę mieli dokupić „w odpowiednim momencie rynkowym" – w momencie, na który czekali z takim samym skutkiem, z jakim bohaterowie klasycznego dramatu czekają na Godota. Przez dużą część roku, gdy ceny były relatywnie niskie, nikt nie zainteresował się rachunkiem domowego odbiorcy, a padło nawet podejrzenie, że na giełdzie nie wystawiano odpowiedniej ilości gazu. Teraz, gdy cena poszła w górę do blisko 70 euro, nagle wszystkim się spieszy.

To nie zarządzanie ryzykiem, to obstawianie kursu cudzym portfelem – tyle że do kasyna wchodzi każde polskie gospodarstwo domowe, bez pytania o zgodę.

Na pytanie wprost, czy taryfa pójdzie w górę od nowego roku, usłyszeliśmy klasyczne „nie gdybamy" i „dziś jest za wcześnie". Chwilę później członek zarządu ORLENU przyznał, że jeśli obecne ceny utrzymają się jeszcze przez trzy miesiące, wniosek taryfowy będzie wskazywał na podwyżkę. Innymi słowy – nie gdybamy, tylko już wiemy, lecz wolimy powiedzieć to później, gdy będzie za późno na pytania.

Najciekawiej zrobiło się przy pytaniu o relację między ceną zakupu ORLENU a ceną, którą płacą polscy przedsiębiorcy kupujący od koncernu. Odpowiedź brzmiała: giełda jest benchmarkiem, benchmark trafia do kontraktów. Piękny frazes, który nie tłumaczy, dlaczego spółka matka i spółka córka w tej samej grupie generują tak różne liczby po obu stronach transakcji. Opozycja zapytała wprost, czy to nie jest łupienie klientów wewnątrz własnej struktury. Odpowiedzi próżno szukać.

Tymczasem w publicznym wywiadzie minister energii Miłosz Motyka grzmi: „Firmy mogły zakontraktować energię, gdy była tańsza!". Konia z rzędem temu, kto wyjaśni, czyja będzie wina za wyższe ceny gazu – przerzucanie odpowiedzialności w rządzie trwa. Jedno jest pewne: spółka Skarbu Państwa nie zakontraktowała w porę, a winni będą teraz odbiorcy, którzy czekali na rachunek.

A dzieje się to, gdy sama Unia Europejska traktuje bezpieczeństwo gazowe poważniej niż nasz rząd. W Brukseli trwają prace nad zmianą przepisów o napełnianiu magazynów – wydłużone okno na osiągnięcie 90 proc. zapasów i większa elastyczność mają pozwolić na kupowanie gazu rozłożone w czasie, a nie w panice tuż przed sezonem grzewczym. Tam uczy się unikania sytuacji, w jakiej znalazł się ORLEN – u nas taką sytuację kryzysową samemu się tworzy. Polska spółka Skarbu Państwa robi dokładnie odwrotnie, niż wskazywałaby logika, nawet ta brukselska. A dlaczego?

ORLEN wchodzi w październik tego roku z zaledwie 44 proc. zakontraktowania błękitnego paliwa. Resztę mieli dokupić „w odpowiednim momencie rynkowym". To nie zarządzanie ryzykiem, to obstawianie kursu cudzym portfelem – tyle że do kasyna wchodzi każde polskie gospodarstwo domowe, bez pytania o zgodę

Może dlatego, że zyski ORLENU na gazie są, jak zauważono podczas posiedzenia sejmowej komisji, gigantyczne – bo czekano, aż ceny osiągnęły swoje maksima. Straty rozkładają się na całe społeczeństwo, a zyski zostają w spółce albo łatają dziurę budżetową Domańskiego i Tuska.

Zima nadchodzi, geopolityka nie odpuszcza, a nasi rządzący z radością tkwią w bańce nieróbstwa. Od stycznia rachunek za to przedstawienie trafi, rzecz jasna, nie na biurko zarządu, ale do skrzynek pocztowych gospodarstw domowych i firm – w formie nowej taryfy.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl e047054f7a

Dylemat tragiczny



Marta Kaczyńska-Zielińska

Administracja Donalda Trumpa zdecydowała się na ostateczność w walce z wysokimi cenami paliw. W obliczu zbliżających się wyborów do Kongresu Waszyngton tymczasowo złagodził ograniczenia dotyczące handlu rosyjskim olejem napędowym, otwierając drogę do zwiększenia jego podaży na światowych rynkach. Decyzja ma pomóc amerykańskim konsumentom i ograniczyć presję inflacyjną. USA oferują Rosji częściową ulgę sankcyjną bez uzyskania widocznych ustępstw Kremla w sprawie wojny przeciwko Ukrainie.

Dla Putina jest to okazja do zwiększenia wpływów eksportowych, podważenia zachodniej solidarności i pokazania, że Rosja pozostaje ważnym uczestnikiem światowego systemu energetycznego. Czy doraźna interwencja na rynku paliw nie zapoczątkuje stopniowego odchodzenia od polityki izolacji Moskwy?

Konflikt z Iranem, zakłócenia transportu przez cieśninę Ormuz oraz ograniczone możliwości produkcyjne rafinerii doprowadziły do sytuacji, w której dostępność gotowych paliw stała się problemem równie istotnym, jak dostępność samej ropy naftowej. Obecny kryzys pokazuje, że nawet przy odpowiedniej ilości surowca gospodarka może doświadczać poważnych niedoborów paliw.

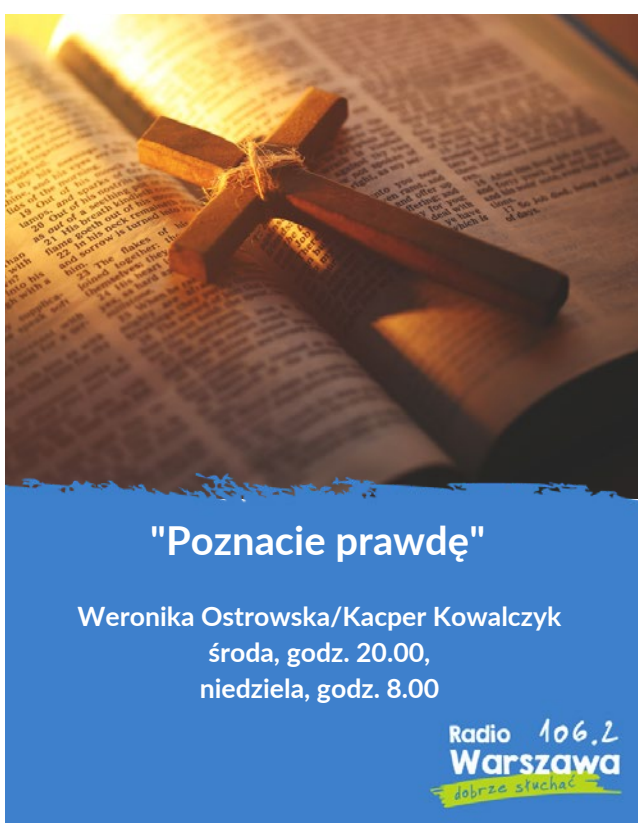
Najpoważniejsza konsekwencja decyzji prezydenta USA może dotyczyć nie rynku paliw, lecz wiarygodności zachodniej polityki sankcyjnej. Sankcje gospodarcze opierają się na założeniu, że państwo naruszające normy międzynarodowe ponosi długotrwałe koszty swoich działań. Ich skuteczność zależy nie tylko od zakresu ograniczeń, lecz także od konsekwencji państw, które je wprowadzają. Jeżeli restrykcje są łagodzone w odpowiedzi na bieżące potrzeby gospodarcze, państwo objęte sankcjami może uznać, że presję wystarczy przeczekać. Dla Kremla taki sygnał ma ogromne znaczenie. Rosja od początku wojny stara się przekonywać, że Zachód nie będzie w stanie utrzymać długotrwałej konfrontacji gospodarczej, ponieważ koszty sankcji prędzej czy później zaczną uderzać w zachodnich konsumentów. Amerykańska decyzja może przez rosyjskie władze zostać przedstawiona jako potwierdzenie tej strategii. Co istotne, Moskwa nie musiała w zamian ogłaszać ograniczenia działań wojennych, wycofania wojsk ani podjęcia innych istotnych zobowiązań wobec Ukrainy.

Powstaje niebezpieczny precedens. Państwo prowadzące agresywną wojnę może uzyskiwać złagodzenie presji nie dzięki zmianie swojego postępowania, lecz dzięki strategicznemu znaczeniu posiadanych surowców. Może to osłabiać wiarygodność sankcji oraz zachęcać inne państwa i przedsiębiorstwa do poszukiwania możliwości odbudowy współpracy gospodarczej z Rosją. W dalszej perspektywie Kreml może próbować rozszerzyć ten mechanizm na kolejne obszary.

Dla Polski ograniczanie rosyjskiej obecności w europejskim sektorze energetycznym jest elementem gwarancji bezpieczeństwa narodowego. Powrót rosyjskich paliw do szerszego obrotu gospodarczego osłabi tę strategię, nawet jeśli odbywałoby się to pośrednio i w ograniczonej skali. Polska mogłaby wówczas znaleźć się w sytuacji, w której jej priorytety bezpieczeństwa coraz wyraźniej rozmijałyby się z interesami gospodarczymi części sojuszników.

Dodatkowym problemem jest możliwość wzrostu rosyjskich przychodów eksportowych. Choć większa sprzedaż diesla nie oznacza automatycznie proporcjonalnego wzrostu dochodów budżetu, może poprawić sytuację finansową rosyjskich przedsiębiorstw i pośrednio zwiększyć zasoby pozostające do dyspozycji państwa. Dla Kijowa oznacza to paradoksalną sytuację i powtórkę z historii: zachodni sojusznik próbując ograniczyć inflację, pomaga odbudowywać część potencjału gospodarczego przeciwnika. Największym sukcesem Moskwy byłoby doprowadzenie do sytuacji, w której kolejne zachodnie rządy zaczęłyby traktować współpracę gospodarczą z Rosją jako konieczny warunek stabilizacji światowej gospodarki. Z perspektywy Polski i całej zachodniej cywilizacji przegrana Republikanów w wyborach połówkowych i potencjalnie rychły powrót polityki zagranicznej USA na lewacką ścieżkę także nie jest jednak pożądanym rozwiązaniem.

REKLAMA



300/0326/F

eprasa.pl e047054f7a



Walizka PAWŁA KĘSKI

świeckiego teologa, historyka sztuki, dziennikarza Radia Warszawa

Zawsze miałem wiele pomysłów na życie i udało mi się je realizować. Kiedy pomysły się kończą, to czuję, że ginę. Na szczęście się nie kończą. Uwielbiam rysować, wciąż uczę się grać na nowych instrumentach i odkrywam nowe dziedziny. Wszystkie rzeczy, miejsca i wydarzenia łączy jedno: szukanie prawdy o człowieku. Odbywam podróż, podczas której staram się przekonać i udowodnić, że człowiek jest dobry, piękny i niepowtarzalny. Zawsze o tym wiedziałem, ale potrzebowałem wciąż większej liczby dowodów. Kiedy je mam, to trąbię o nich i szepczę, i rozrzucam wokół siebie. Dziewięć lat temu zacząłem pracować w Muzeum ks. Jerzego Popiełuszki i zrozumiałem, że moim zadaniem jest odczytać jego historię na nowo z opowieści świadków, nieznanych dokumentów, rękopisów i nagrań. Opowiedzieć ją, jakby się wydarzyła dziś. Bo dziś, tak jak wtedy, mamy problem z kłamstwem i nienawiścią. Dlatego tak ważna jest dla mnie praca z młodzieżą, która zawsze jest szczera.



PASZPORT

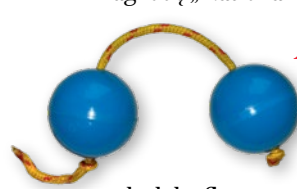
Ukrainę znam z bliska. Zacząłem tam jeździć w 2014 r. jako rzecznik Caritas Polska. Przed 2022 i po 2022 r. prywatnie oraz we współpracy z MSZ odwiedziłem prawie wszystkie duże miasta, w tym Mariupol, Charków, Kramatorsk, Chersoń. Brałem udział w szkoleniach z bezpieczeństwa prowadzonych przez GROM. Przekraczam granice i ryzykuję, żeby zobaczyć na własne oczy i lepiej zrozumieć. Wojna kojarzy mi się z ludzkim dramatem, ze zmęczeniem i z psychozą.

APARAT



Zawsze chciałem być artystą, ale przez kompleksy nie poszedłem na ASP. Żeby ratować marzenie, przed trzydziestką zrobiłem dobre studia fotograficzne. Robię portrety studyjne i reportaże. Dostałem nagrodę „National Geographic".

ASALATO



Kolekcjonuję instrumenty muzyczne i gram na nich od zawsze. Bębny arabskie, afrykańskie, polskie, gitary, ukulele, flety proste, duduk, szałamaja, pianino. Grzechotka asalato to mistrzowski instrument perkusyjny z Ghany, bardzo popularny w Japonii.

eprasa.pl e047054f7a



DYKTAFON



Jako dziecko bardzo się zacinałem. Jednak jako 17-latek zacząłem pracę w radiu, na początku jako producent i realizator, twórca słuchowisk i reportaży. Po wielu latach zacząłem pracę przed mikrofonem. Od 10 lat prowadzę „Wywiad z Człowiekiem" na antenie Radia Warszawa.

FAJKA



Pierwszą kupiłem, gdy płynąłem w morski rejs. Potem kolejne. Ta na zdjęciu to prezent od Ernesta Brylla, z którym się przyjaźniłem przez długie lata. Na studiach pisałem wiersze, nałapałem sporo nagród. Dziś piszę do szuflady.



MŁODZI KS. JERZEGO

Będąc w muzeum, zacząłem prowadzić projekty edukacyjne. Stworzyliśmy grupę Młodych ks. Jerzego. To dla mnie jedna z najważniejszych misji w życiu. Organizuję z młodzieżą Szkoły Letnie ks. Popiełuszki, spotkania i zjazdy. Młodzież wiele mnie nauczyła i wiele ode mnie wymaga.



ŚW. JERZY

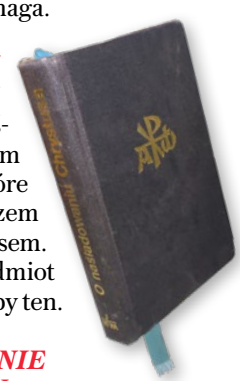
Kupiony na targu w Atenach. Z nim się wiąże tajemnica.

SKRZYNKA

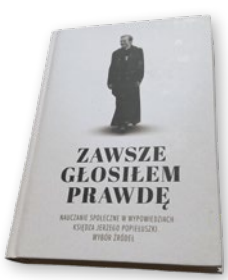


Kupiłem ją w Katmandu, w Nepalu po trzęsieniu ziemi w 2015 r., gdzie dotarliśmy z Caritas kilka dni po katastrofie. Po raz pierwszy zobaczyłem, jakim dramatem jest utrata wszystkiego. Nikt mi nie powie, że wszyscy uchodźcy są niebezpieczni. Nie wolno mieszać idei z rzeczywistością.

„O NAŚLADOWANIU CHRYSTUSA"



XV-wieczny poradnik życia chrześcijańskiego. Pierwszy raz przeczytałem go na rekolekcjach ignacjańskich, na które jeżdżę regularnie od 20 lat. Jest kluczem do wiary i do relacji z Chrystusem. Gdybym miał wybrać tylko jeden przedmiot – to byłby ten.



„ZAWSZE GŁOSIŁEM PRAWDĘ"

Gdy zacząłem pracę w Muzeum ks. Popiełuszki, odnalazłem wiele niepublikowanych rękopisów i nagrań dźwiękowych ks. Jerzego. Opublikowałem je w tej książce. Moją misją jest odczytanie i przekazanie tego, co powiedział kapelan Solidarności.



STOWARZYSZENIE PSYCHOLOGÓW CHRZEŚCIJAŃSKICH

Najlepszą kawę i precle znajdziesz w SPCh. Od roku wspólnie tworzymy cykl podcastów „21 gramów" o fenomenie ludzkiego życia. Za chwilę będzie z tego piękna książka.

„37 SCEN Z ŻYCIA POPIEŁUSZKI"



To 37 krótkich, jednostronicowych reportaży. Książka powstała dzięki rozmowom z blisko setką świadków życia ks. Jerzego. Czasem były to całodzienne wywiady. Przeczytałem wiele tysięcy stron dokumentów bezpieki i Kościoła. Wszystko po to, żeby lepiej zrozumieć ks. Jerzego jako człowieka.

ODZNACZENIE

Za zasługi dla Archidiecezji Warszawskiej.





SPINKI

Prezent od Prezydenta RP Karola Nawrockiego. Miły, wiele dla mnie znaczący gest.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Michał Korsun, prywatne archiwum Pawła Kęski

eprasa.pl e047054f7a

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Jak wyśmiać to, o czym nie wolno mówić?



Jan ***Pietrzak***

W internecie pojawiła się polemika z moim felietonem, a w niej niezbyt przyjemne określenie „pisowska menda". W zasadzie nic już mnie nie dziwi ze strony zwalczających mnie opryszków. Jeżeli oni nieustannie opisują okoliczności mojej śmierci, widać, jak bardzo ich wkurzają moje wypowiedzi. Marzą, by mnie ukatrupić. Z braku rozumnych argumentów posługują się obelgami.

Na ogół nie chce mi się odpowiadać na ataki agenturalnych łajdaków, ale czasem należy wyjaśnić publiczności, gdzie leży granica obelżywego słownictwa, stosowanego przez odmóżdżonych gnojków na polecenie niejawnego sztabu mającego nas zniszczyć. Najprościej – uniemożliwiając dogadanie się Polaków z Polakami.

Od 67 lat pracuję w słowach. To moje tworzywo, bardzo elastyczna materia. Ale też wymagająca umysłowej równowagi. W peerelu sprawa była prosta. Władza decydowała, które słowa są niecenzuralne, i kropka. Jeżeli chciało się w tym obszarze pracować... trzeba się było podporządkować formalnie, co nie znaczy – faktycznie. Powstał cały styl omijania trefnych tematów, tak by dotarła do publiczności zakazana przez komunę myśl. Powrócił ezopowy język, w cenie rosła sztuka aluzji.

To był główny problem mojego kabaretu; jak wyśmiać to, o czym nie wolno mówić. Naubliżać brzydkimi słowami było najłatwiej... Czasami cenzorzy przepuszczali wulgaryzmy, gdy łagodził je kontekst. Kiedy w 1976 r. przepychałem piosenkę „Muszę przeżyć jeszcze paru sku...synów", wyjaśniałem cenzorowi, że chodzi o naturalne emocje społeczne, niemające żadnego związku z polityką, bo to utwór folklorystyczny, z gatunku folku warszawskiego. O dziwo, przez parę przedstawień utwór był grany, aż jakiś ubek na widowni złapał się za głowę, skapował, o kogo chodzi, i nas przegnano w trybie pilnym z lokalu Melodia. Lokal został zamknięty na gruby łańcuch, na długi czas, choć bilety były sprzedane kilka tygodni do przodu. Przy czym głównym powodem wściekłości komuny była pieśń „Żeby Polska była Polską", która tam właśnie miała premierę. Dodam, że brali udział w tym wydarzeniu Krystyna Janda, Marlena Miarczyńska, Piotr Fronczewski, Kazimierz Kaczor, Krzysztof Jaroszyński, Jacek Kaczmarski, Stanisław Klawe i Włodzimierz Korcz, kompozytor. Obecnie, żeby było śmiesznie, mieści się tam klub Hustler for Gentlemen. *Signum temporis*. Ciekawostka taka.

Kolejna ciekawostka – od tamtej pory przez pół wieku szalonych przemian, głębokich reform, zmian ustrojowych... mój kabaret nawet nie ma co marzyć o lokalu w Warszawie. Absolutny zakaz. Jedyne, na co mogę liczyć, to na wyzwiska wypierdków peerelu, berlińskich konfidentów, szujowatych redaktorów...

Od kiedy do publicznego użytku udało się wprowadzić nikczemne „osiem gwiazdek", wyjące czarne macice, ohyda opanowała publiczne obyczaje. Jest pilna potrzeba kolejnej edycji „bluzgu" z czasów 13 grudnia 1981 r., zwłaszcza że obecna ekipa dumnie nawiązuje do tamtej tradycji... Ty nędzna kanalio, pajacu brukselski, gaduło załgana, sługusie niemiecki... itd., itp.

Suwerenność ginie w małych krokach



Samuel ***Pereira***

Gdy dyskutuje się o sprawie transkrypcji związków jednopłciowych, dużo mówi się o wartości rodziny. I słusznie. Umyka jednak wtedy inna kwestia, równie istotna, bo dotycząca samostanowienia polskiego narodu. Podobnie rzecz wygląda w sporze o Trybunał Konstytucyjny i debacie o uznawaniu lub nie wyroków i opinii instytucji europejskich. Bo nie chodzi tylko o personalia.

Jedna sprawa to spór demokratyczny o to, czego obywatele chcą od swojego państwa – o kształt rodziny, kompetencje sądów czy granice integracji. Druga, zupełnie odmienna, to pytanie, czy rozstrzygamy te problemy wewnątrz, w ramach polskiego prawa i przy urnach, czy prosimy o „pomoc" zagranicę. Obóz dzisiejszej władzy, kiedy nie daje rady wygrać w kraju, regularnie szuka wsparcia w instytucjach zewnętrznych, traktując je jako instancję odwoławczą od woli wyborców i konstytucji.

Wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 7 października 2021 r. (sygn. K 3/21), opublikowany w Dzienniku Ustaw, już tę podstawową rzecz rozstrzygnął: Konstytucja RP jest najwyższym prawem Rzeczypospolitej, mającym pierwszeństwo obowiązywania i stosowania. TK orzekł, że przepisy Traktatu o Unii Europejskiej są niezgodne z Konstytucją RP w zakresie, w jakim: organy UE działają poza kompetencjami przekazanymi przez Polskę, ustawa zasadnicza przestaje być najwyższym prawem, a nasz kraj nie może funkcjonować jako państwo suwerenne i demokratyczne. Wyrok ten jest fundamentalny i obowiązuje (a przynajmniej powinien) wszystkich w Polsce. Ignorowanie go dla zewnętrznych opinii nie jest „europejskością", lecz akceptacją mechanizmu, w którym polski spór polityczny rozstrzyga się poza Polską.

Taki zwyczaj jest niebezpieczny. Każde kolejne odwołanie się do zagranicy w zagadnieniach ustrojowych osłabia zdolność państwa do samodzielnego decydowania. Ktoś powie, że to nic takiego, ale suwerenność nie znika jednym aktem. Ginie w małych krokach: gdy ktoś mieni się „demokratą", a na demokrację się obraża. To nie jest kłótnia o poglądy. To podstawowy spór o to, czy Polacy rządzą w Polsce.

eprasa.pl e047054f7a

Trybunał? Przecież tu nie chodzi o budynek...



W walce o Trybunał Konstytucyjny niektórym łatwo zapomnieć o tym, co najważniejsze. Nie chodzi o gmach, gabinety czy stanowiska, jak chce to przedstawić Polakom rządowa telewizja w likwidacji. Przede wszystkim chodzi o sędziów, którzy stoją na straży Konstytucji RP.

Pamiętajmy: dzisiejszy Trybunał to niezawiśli i odważni sędziowie. Pomimo pozbawienia ich środków na wynagrodzenia i wstrzymania publikacji orzeczeń nadal wykonywali swoje obowiązki, pozostając wierni Konstytucji i złożonemu ślubowaniu.

Broniąc sędziów TK, bronimy niezależności Trybunału, ciągłości jego orzecznictwa i dorobku. A jest to dorobek niezwykle istotny z punktu widzenia polskiej suwerenności.

W październiku 2021 r. Trybunał orzekł, że określone interpretacje traktatów unijnych, pozwalające instytucjom UE przekraczać przekazane im kompetencje i podważać nadrzędność polskiej konstytucji, są z nią niezgodne. W lipcu 2021 r. zakwestionował możliwość stosowania środków tymczasowych TSUE ingerujących w ustrój polskiego sądownictwa. W listopadzie 2021 r. sprzeciwił się interpretacji Europejskiej Konwencji Praw Człowieka umożliwiającej zewnętrzną ocenę wyboru sędziów TK. W grudniu 2023 r. podważył określone podstawy traktatowe dotyczące nakładania przez TSUE kar finansowych na Polskę.

Orzeczenia te wywoływały spory prawne i polityczne, ale dla patriotycznej, suwerennościowej części naszego społeczeństwa stanowiły wyraz fundamentalnej zasady: Polska będąc członkiem Unii Europejskiej, nie przestała być suwerennym państwem.

Dziś, wobec działań rządu Tuska zmierzających do zmiany składu Trybunału, powraca pytanie o przyszłość tej linii orzeczniczej. Dodatkowo za nieważny należy uznać wybór Macieja Berka, bo nie spełnia ustawowych wymogów. Widzimy też lekceważenie roli prezydenta i zwyczajne robienie cyrku z najważniejszych instytucji państwa.

Spór o TK nie powinien przesłaniać najważniejszego: potrzeby ochrony jego niezależności i ciągłości konstytucyjnego porządku.

Bo tu nie chodzi o budynek, nie chodzi o prezesa TK. Chodzi o Konstytucję RP, suwerenność Rzeczypospolitej i granice władzy, zarówno w Warszawie, jak i w Brukseli.

Arkadiusz Mularczyk

Wszystko idzie w dobrym kierunku

Z aktorem Karolem Dziubą
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna



Podobno nie ma to jak być zweryfikowanym przez najsurowszego oceniającego, czyli serialowego Aleksa.

Karol Dziuba: To prawda, ale jakoś nie miałem dużych obaw w związku z tym, bo jestem psiarzem, kocham psy. Mam dwa.

Jakiej rasy?

Kundel i lagotto romagnolo.

Opiekunów „komisarza" Aleksa było już kilku. Jak przejmuje się taką rolę?

Granie w towarzystwie psiej gwiazdy może się wydawać zadaniem podobnym – z racji formuły – ale za każdym razem w postać wchodzi inny człowiek. Buduje się inna relacja. Nie miałem więc jakiś specjalnych oporów, wątpliwości czy lęków.

A jak wyglądało wasze pierwsze spotkanie i z którym z psów – bo nie jest to jeden, prawda?

Pierwsze było na castingu z Falkusiem.

Jak on się nazywa?

Jeden to Falco, a drugi – Tao.

Falco – jak prof. Falkowicz, grany przez Michała Żebrowskiego w „Na dobre i na złe"?

A, no tak. Nie skojarzyłem... A przed zdjęciami miałem już treningi z oboma psami.

Zdarzały się na planie spektakularne sceny?

Tak, ale to nie ja byłem ich „beneficjentem", bo serialowy komisarz Artur Dębiec tylko spuszcza Aleksa, a kto inny jest przez niego widowiskowo łapany. Do takich akcji zostaje wyznaczony jeden z psów, odpowiednio wytrenowany, a także nasz pozorant, czyli skutecznie zabezpieczony kaskader.

A jakie zadanie dostał pan w serialu „Rodzinka"?

Gram terapeutę. Jest trochę zabawnych nieporozumień, trochę abstrakcyjnych, komediowych sytuacji, ale wszystko idzie w dobrym kierunku.

Fot. Witold Baczyk

eprasa.pl e047054f7a

Gdyńskie festiwale filmowe



Ze względu na szczupłość mojej rubryki podsumowanie 51. Festiwalu Filmów Fabularnych w Gdyni ograniczę do przytoczenia wypowiedzi Tomasza Raczka, wybitnego znawcy polskiego kina: „Nie jest dobrze. Ten festiwal należy do mniej udanych. Ja nie widzę tu żadnego arcydzieła”. „Hollywood dla ubogich” – tak z kolei mój przyjaciel skwitował mizdrzenie się naszych gwiazd na ściance i czerwonym dywanie.

Na tle FFF prawie pozbawiona finansowania feta filmów patriotycznych – Festiwal NNW (Niepokorni, Niezłomni, Wyklęci) – wypadła zadziwiająco świeżo i szczerze. Kręcone przez pasjonatów historii dokumenty o żołnierzach wyklętych, Wołyniu, Holokauście, warszawskim getcie, Monte Cassino czy meandrach ruchu Solidarności uwiarygadniały wywiady z ostatnimi żyjącymi jeszcze świadkami historii. Licznie reprezentowane było kino międzynarodowe, zwłaszcza węgierskie.

Mnie osobiście zachwycił film Patricka Neya i Stefana Tompsona „Przysięga krwi”, opowiadający o ostatnich żołnierzach II wojny światowej, walczących zbrojnie aż do 1963 r. z komunistyczną władzą PRL. Dwaj producenci, reżyserzy i zarazem narratorzy, peregrynując po miejscach kaźni polskich bohaterów, ukazali ich odwagę, poświęcenie i tragiczną śmierć. Nagrany za składkowe pieniądze anglojęzyczny dokument docelowo jest adresowany do zagranicznego widza.

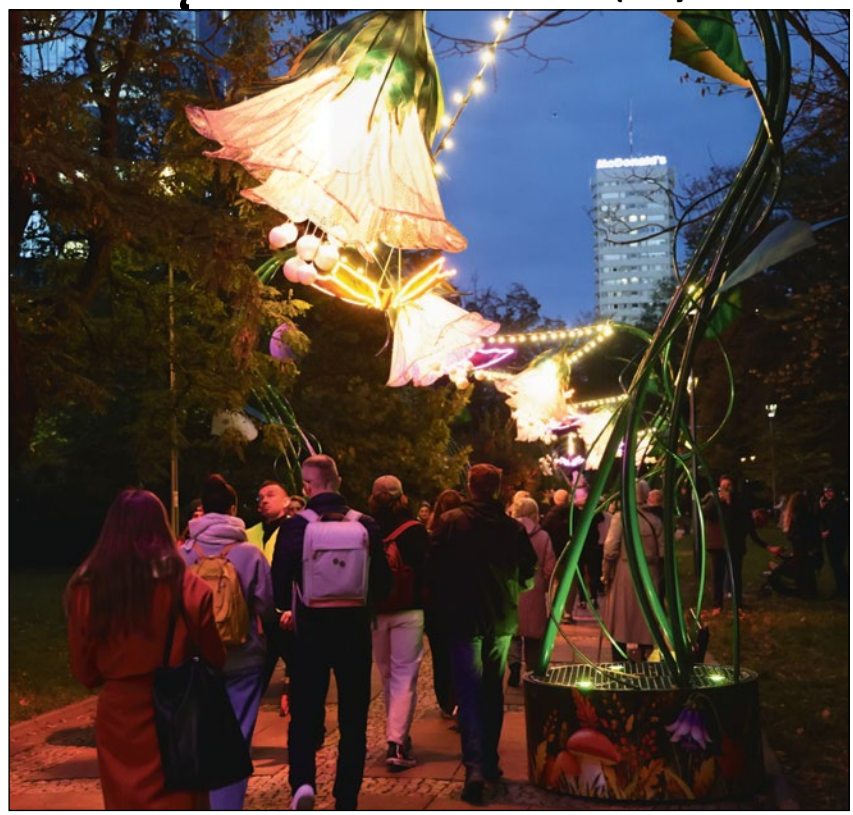
Jedyny film fabularny NNW – poruszająca „Apolonia” Arkadiusza Gołębiewskiego – nie został dopuszczony do prezentacji na FFF! A szkoda, bo wstrząsająca opowieść o odkrywaniu po latach mogił ofiar komunistycznego terroru mogłaby zmienić opinię Tomasza Raczka o poziomie festiwalu.

PS Paramount Skydance, nowy właściciel TVN, zobowiązał się do produkcji 30 filmów fabularnych rocznie. Lobbujmy za ekranizacją losów amerykańskich generałów: Kościuszki i Pułaskiego, lotników z USA walczących w bitwie warszawskiej oraz zadziwiającej kariery pewnego gdańskiego boksera („Nawrocky”) – z blokowiska wprost na fotel prezydenta RP.

Lech Makowiecki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Warszawa: Całoroczny ogród świateł w Parku Świętokrzyskim



Fot. Wojciech Olkuśnik/East News

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, JERZY SZMIT, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA S.A.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA S.A., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA S.A. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR X 2, ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, RYSUNEK MICHAŁ KORSUN

Zamów prenumeratę Sieci!

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl e047054f7a



Fot. Robert Gołaszewski

Posprzątam Polskę

Moje hasło brzmi: jedność i pokój na prawicy. Tylko w ten sposób odsuniemy Tuska i ocalimy Polskę

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Przemysławem Czarnkiem, posłem, kandydatem Prawa i Sprawiedliwości na urząd premiera

Wróciło stare polskie pytanie. Wejdą czy nie wejdą? Pytam oczywiście o Trybunał Konstytucyjny.

Przemysław Czarnek: Sądzę, że Donald Tusk jest w pewnej pułapce. Cokolwiek by zrobił, będzie miał kłopoty. Jeśli uderzy, wbrew prawu, jeśli siłowo przejmie Trybunał, przyspieszy swój upadek.

Uderzy?

Będzie dążył do przesilenia, dużo w to zainwestował, ale po wydarzeniach z ostatniej środy ma trudniej. Są informacje o odmowie wykonania poleceń przez funkcjonariuszy warszawskiego garnizonu policji. Wiemy też o fali zwolnień L4 – policjanci nie chcą pacyfikować niezależnej instytucji. No i znów może zaważyć czynnik ludzki.

Ma pan na myśli prezesa TK Bogdana Święczkowskiego?

Tak – to człowiek o niezwykle silnej woli i stalowych nerwach. Gdyby to był ktoś o silnej woli, ale o słabszych nerwach, to mielibyśmy już dzisiaj pozamiatane, i czworo sędziów, którzy złożyli przysięgę przed Włodzimierzem Czarzastym, wydawałoby wyroki. Wkrótce dołączyłby do nich Waldemar Żurek, bo on także ma ochotę na sędziowanie w TK. Jednostka ma znaczenie. Jednostka może zmienić bieg dziejów. Ale ważne jest też to, że prezes TK nie jest sam, że przed budynkiem dzień i noc pełnią straż ci bohaterscy Polacy, którzy powiedzieli, że nie zgadzają się na bezprawie. Dołączają do nich kolejne środowiska, Solidarność i nie tylko. Są również posłowie Prawa i Sprawiedliwości – jako jedyna partia opozycyjna dyżurujemy przed TK.

eprasa.pl e047054f7a

Dlaczego tak bardzo zależy im na TK?

Z wielu przyczyn. Być może chodzi o to, żeby obalić prezydenta. Podważą ustawę o Sądzie Najwyższym i na tej podstawie podważą ważność wyborów prezydenckich i zrobią nowe wybory. Chcą też uśmiercić naszą konstytucję, wprowadzając wyższość prawa unijnego. To będzie koniec naszej suwerenności.

Co zrobicie z Trybunałem po przejęciu władzy? Jak odbudować tę instytucję po tym, jak Koalicja Obywatelska wydała na nią wyrok śmierci. A wydała, bo straciła nad nią kontrolę.

Wystarczy egzekwować jasne prawo. Posprzątamy wokół tej instytucji, damy jej normalnie funkcjonować. O ile nie zostanie podeptana przez siepaczy Tuska. Bezprawia akceptować nie będziemy.

Na celowniku władzy jest także Narodowy Bank Polski. Chcą naszego złota?

Przed NBP stanie jeszcze więcej Polaków, bo tam jest 650 ton polskiego złota, tam są nasze rezerwy walutowe warte 1 bln zł – nie pozwolimy Tuskowi na to, by je ukradł albo oddał na Zachód. To jest mateczny, potężny majątek Polski, którego trzeba bronić do nieprzytomności. I znów: gdyby tam nie było prezesa Adama Glapińskiego, ale ktoś słabszy mentalnie, ktoś o słabszych nerwach, to Tusk już miałby klucze do polskiego złota.

Polską wstrząsnęła fala ataków nożowników w szkołach. Zdaniem byłego ministra edukacji: skąd to się wzięło? Jakie są przyczyny?

Najpierw zadam inne pytanie: jak to jest, że musiało dojść do nieszczęścia, by służby zaczęły robić to, co do nich należy, czyli przeczesywać internet? Przecież gdy się do tego wzięły, natychmiast odkryły kilka bardzo niebezpiecznych przypadków, a kilkudziesięciu młodych ludzi zatrzymano. Musiało dojść do nieszczęścia, żeby służby zaczęły działać.

Może służby nie wiedziały, że coś się szykuje?

Nie. Wiem, że rodzice z różnych organizacji zwracali uwagę na problem, na „challenge" na TikToku związany z nożami i przemocą. Zgłaszali to służbom, zgłaszali to ministerstwu i nic. Państwem nie wstrząsnęło nawet brutalne zabójstwo jedenastolatki dokonane przez dwunastolatkę. Nic za tym nie poszło, nie zrobili nic w sferze prewencji.

Szef ABW pół roku temu mówił w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej", że młodzież się radykalizuje. Ale nie doprecyzował, o co mu chodzi, czy o politykę, czy o przemoc.

Szef ABW nie jest socjologiem z Uniwersytetu Warszawskiego, który udziela wywiadu, bo właśnie przeprowadził ciekawe badania naukowe. Szef ABW jest od tego, żeby przeciwdziałać tej radykalizacji. Ale nie zadziałał. W świecie, w którym rozmowa o pralce sprawia, że w naszym telefonie pojawiają się reklamy pralek, służby nie wyłapały filmików, w którym ktoś zapowiada, że weźmie nóż i będzie zabijał rówieśników. Gdzie my jesteśmy?!

Ta bierność zaczyna być dużym problemem: mamy rozdęty aparat państwa, urząd siedzi na urzędzie, agencja na agencji, ale realnie nikt nic nie robi.

Ale Centralne Biuro Zwalczania Cyberprzestępczości ma 37 proc. wakatów. Tam brakuje ludzi. A przecież nie mieszkamy na rajskiej wyspie, ale w kraju, który dotyka strefy wojennej, który jest atakowany przez rosyjską agenturę i rosyjski wywiad. To jest wielka kompromitacja.

Ale te zdarzenia muszą mieć także głębsze przyczyny. Coś bardzo nie działa, skoro dzieci sięgają po noże i zabijają.

Zgadzam się z Rafałem Ziemkiewiczem, który powiedział, że od kilkudziesięciu lat fascynujemy się Zachodem i bierzemy z Zachodu wszystko, co tylko można wziąć. A później się dziwimy, że jest jak na Zachodzie. To jest dokładnie to. Przez ostatnie dekady wielu ludzi ciężko pracowało, żeby osłabić polską szkołę. Szczególnie wiele złego zdarzyło się w ciągu ostatnich trzech lat.

Co to znaczy: osłabili polską szkołę?

Główną zasadą edukacji stał się brak odpowiedzialności. Brak prac domowych, brak wymagań wobec uczniów, bezstresowe wychowanie, próby odejścia od oceniania, bo to może stresować ucznia, podkopywanie autorytetu nauczyciela. I jednocześnie nastąpił wściekły atak na tych, którzy próbowali to zło zatrzymać.

Dodałbym także przyzwolenie na agresję, na wulgaryzm. Również na poziomie politycznym. Za rządów PiS dzisiejszy rzecznik rządu Adam Szłapka wychodził do tłumu i pytał: „Po co tu przyszliście?", a tłum odpowiadał, skandując osiem gwiazdek.

Hodowali to chamstwo, tę wulgarność, z wielkim zapałem. Panią Lempart celebrowali i popierali politycy najwyżsi rangą, z obecnym premierem na czele. Brała w tym udział obecna minister edukacji Barbara Nowacka. Wielu nauczycieli zabierało całe klasy na tzw. strajki kobiet. To trwa nadal. Pan Zembaczyński wyciąga do nas pięść. To można ciągnąć bez końca.

A sam premier Tusk namiętnie używa słowa „bejsbol". W istocie mówi: będę was bił bejsbolem. Ten przekaz jest czytelny. Ale czy z tą falą chamstwa, agresji, zła można walczyć?

Trzeba walczyć i będziemy z nią walczyli. Trzeba także zatrzymać demoralizację, którą wprowadza do szkół wiele „organizacji pozarządowych". Często są to po prostu narzędzia lewicy, realizujące program inżynierii społecznej. Chciałem to zatrzymać, ale niestety dwa razy zderzyłem się z wetem prezydenta Andrzeja Dudy. No i także wypychanie religii ze szkół odnosi swoje skutki.

Wypchnięto lub zohydzono religię, wiarę, dekalog, a gdy pojawiają się kłopoty, receptą ma być pomoc psychologiczna. To pomoże?

Psychologowie też są potrzebni. Wychowanie religijne ma jednak znaczenie fundamentalne. Uczeń dostawał porcję wiedzy o tym, co jest dobre, a co złe, co jest grzechem, a co jest

eprasa.pl e047054f7a

zachowaniem dobrym, właściwym. Co jest prawdą, a co fałszem. W głowach dzieci zawsze coś zostawało.

Wiele problemów przyniosła także edukacja włączająca. Ten problem narastał także w czasie, gdy to pan był ministrem edukacji. Intencje są pewnie szlachetne, ale skończyło się na destabilizacji klas, osłabieniu dyscypliny, podważeniu norm, obniżeniu poziomu nauczania.

Ten problem pojawił się znacznie wcześniej, na początku lat dwutysięcznych, kiedy postanowiono, że decyzja o tym, do jakiej szkoły posłać dziecko niepełnosprawne, należy wyłącznie do rodziców. Wyeliminowano z tego procesu ekspertów, lekarzy, nauczycieli. A w tle były niedoinwestowane szkoły specjalne. Programy europejskie wręcz zakazywały inwestowania w szkoły specjalne, wszyscy mieli się uczyć w zwykłych szkołach.

Pan uważa, że przyczyną są wyłącznie warunki materialne? Wielu rodziców nie chciało posyłać dzieci do szkół specjalnych, bo one jednak stygmatyzują.

Uważam, że warunki edukacji decydują. Rodzice dzieci niepełnosprawnych bardzo kochają swoje dzieci i jeśli mają wybór pomiędzy zaniedbaną placówką specjalną, i to położoną raczej daleko, a miejscową szkołą z nową salą gimnastyczną, to wybierają to, co bliższe i lepsze. A to nie zawsze jest dobry wybór, ponieważ edukacja specjalna może zapewnić specjalistyczną opiekę i ostatecznie lepszy rozwój. Dlatego tak mocno postawiłem na dofinansowanie i rozwój szkół specjalnych. Bardzo je wspierałem, i to z sukcesami.

Ale osobiście znam sytuację, w której rodzice i nauczyciele przez dwa lata walczyli, żeby pozbyć się z klasy ewidentnego przemocowca – dziecko skłonne do agresji, bardzo wulgarne. Dyrekcja, wychowawca, rodzice – nikt nie mógł nic z tym zrobić. Musiała wejść policja. Tak być po prostu nie może, że jedna osoba demoluje klasę, a nawet całą szkołę.

Dlatego, powtarzam, ten przepis o wyłącznym prawie rodziców do decydowania w tych sprawach powinien zostać zmieniony. Wymaga to wydania prawdziwej bitwy, bo lewica za takie decyzje morduje politycznie. Musi być wsparcie społeczne, wyraźne, czytelne, zauważalne. Mam na myśli oczywiście niepełnosprawności natury psychicznej, skłonność do agresji. Niepełnosprawności ruchowe to bardzo często piękna inkluzja, która wzbogaca całą klasę, uczy szacunku do każdego człowieka.

Mamy pokolenie, które poddane jest nieznanym wcześniej przeciążeniom. Pornografia od bardzo młodego wieku, używki, narkotyki, patostreaming, media społecznościowe, które spra-

> Sądzę, że Tusk jest w pewnej pułapce. Cokolwiek by zrobił, będzie miał kłopoty. Jeśli uderzy, wbrew prawu, jeśli siłowo przejmie Trybunał Konstytucyjny, przyspieszy swój upadek

wiają, że punktem odniesienia stają się nie koleżanki z klasy, ale modelki. I ja powiem wprost: żeby młodych ludzi ratować, trzeba wziąć ich w karby. Nie przeciwko nim, tylko dla ich dobra, bo dzieci nie są w stanie rozeznać, co jest dobre, a co złe. Czyli więcej dyscypliny, więcej reguł, prawdziwe dzieciństwo, prawdziwa szkoła, więcej realności, mniej świata cyfrowego. Program ratunkowy jest w zasadzie oczywisty.

To są zasady pedagogiki klasycznej. Ale ich przywoływanie jest przez lewicę piętnowane. Nie można bronić dyscypliny, bo pojawia się zarzut, że chcemy zamordyzmu. A przecież jest zupełnie oczywiste, że wolność to również odpowiedzialność. Prawo to także obowiązek. Nie da się nikogo wychować bez wymagania.

To tak, jakby zanegować prawa fizyki. Lewica udaje, że tego nie rozumie. Dlaczego?

Człowiek, który nie działa w ramach reguł, jest łatwy do manipulowania. Trzeba dziecku powiedzieć, co jest dobre, a co złe. Trzeba karać za zło, stosować system nagród i kar. Jeśli od tego odejdziemy, jeśli będą tylko nagrody, to stracimy społeczeństwo. Rezygnacja z prac domowych jest tu jasnym sygnałem. Próba wprowadzenia ocen opisowych zamiast ocen tradycyjnych także podminowuje fundamenty edukacji. Coraz mniej odpowiedzialności, coraz mniej obowiązkowości, a na końcu rozpad wszystkiego.

Zastanawiałem się, dlaczego w kontekście ataków nożowników nie pojawił się Jerzy Owsiak. Przecież „róbta, co chceta" oznacza, że można wszystko. Można taplać się w błocie na festiwalu, ale dlaczego na tym poprzestać? Owi „rozpieprzacze społeczeństwa", przepraszam za słowo, znikają, gdy pojawiają się skutki ich działań.

Wolność to nie jest prawo do robienia tego, co się chce robić, tylko prawo do robienia tego, co się powinno robić. I jeśli ja, choć byłem dobrym uczniem, bałem się, co powie mama po powrocie z wywiadówki, to była to oznaka zdrowia systemu. To miało głęboki sens, to prowadziło do wzrostu człowieka.

Dziś nauczyciele boją się zwrócić dziecku uwagę albo postawić zły stopień, bo przychodzą rodzice i robią awanturę.

Musimy postawić świat na nogi. Na pytanie: „kto jest najważniejszy w szkole?", odpowiadam: nauczyciel. Tak, w systemie oświaty najważniejszy jest uczeń, ale w konkretnej przestrzeni szkolnej najważniejsza jest rola nauczyciela. Jeśli do tego nie wrócimy, nie pokonamy patologii.

Czy jako premier prawicowego rządu posprząta pan polską szkołę?

Oczywiście, posprzątam. Mam doświadczenie, mam recepty, wiem, jak to zrobić. I zrobię to, nawet jeśli będę atakowany. Nie jestem zupą pomidorową,

eprasa.pl e047054f7a

żeby mnie lubić. Jestem od tego, żeby funkcję publiczną sprawować w sposób odpowiedzialny. I wiem, że ceną zaniechania jest śmierć. Na tym polega cywilizacja śmierci, że na końcu dzieci zabijają dzieci, dzieci zabijają siebie.

Wracając do polityki. Tę nienawiść, o której mówiliśmy chwilę wcześniej, Tusk eksportuje. To jego ludzie prowadzili kampanię Pétera Magyara. Znajomi Węgrzy nie mogli uwierzyć, że można tak cynicznie wstrzykiwać nienawiść do rodzin, do szkół, do miejsc pracy, że można dehumanizować przeciwnika w takim stopniu. Oni tego nie znali.

Nienawiść, sianie nienawiści to jest najważniejsza metoda Donalda Tuska. To nienawiść, która bazuje na kłamstwie. Bez kłamstwa nienawiść jest nieskuteczna. Kłamstwo jest gorsze niż przemoc, bo przemoc lepiej widać. A przecież demokracja to, cytuję tu włoskiego sędziego, „ustrój ścierania się opinii i poglądów przy wzajemnym szacunku dla osób te opinie i poglądy wypowiadających".

Mamy premiera, który mówi, że dostał raport CIA, a tego raportu nie było. Premier kłamie w obszarze fundamentalnym, czyli w sferze bezpieczeństwa.

To jest dyskwalifikujące w stopniu krańcowym. Przecież ten rzekomy raport miał dotyczyć planów Rosjan, którzy toczą wojnę na Ukrainie. Bomby naprawdę spadają na zachodnią Ukrainę, w Lublinie syreny alarmowe włączają się co chwilę, zresztą zupełnie bez sensu. W normalnej demokracji kłamstwa w sferze bezpieczeństwa skończyłyby karierę polityka. Musiałby odejść.

Czy bardzo wyraźne zwycięstwo Łukasza Gibały w Krakowie to ważny punkt w kalendarzu politycznym? Kandydat PiS zdobył ponad 17 proc. i nie wszedł do drugiej tury.

To bardzo przyzwoity wynik, niewiele niższy od wyniku naszego kandydata z 2024 r., kiedy PiS wygrało wybory samorządowe z rekordowym wynikiem 34 proc. w sejmikach wojewódzkich. A przecież za nami rozłam, pół roku bombardowania opinii publicznej pytaniami, czy PiS się rozpada, czy to koniec tej partii, czy Mateusz Morawiecki wyjdzie, czy też nie wyjdzie. Ci sami ludzie, teraz w ugrupowaniu Mateusza Morawieckiego, którzy popierali Michała Drewnickiego w lipcu, na początku września odwrócili się, wbijając nóż w plecy. Zatem nasz wynik w tych warunkach jest sukcesem.

Też uważam, że to bardzo dobry wynik. I w sumie niezły prognostyk.

I jednak Koalicja Obywatelska przegrała, odwołano człowieka tej partii w dużym mieście, kolejny kandydat przegrał z kretesem. A przecież Kraków nie jest miastem prawicowym. To początek końca tego rządu. Tsunami ruszyło, ono się rozpędza i zatopi ten rząd.

> Nie jestem zupą pomidorową, żeby mnie lubić. Jestem od tego, żeby funkcję publiczną sprawować w sposób odpowiedzialny

Jest pan kandydatem PiS na premiera. Czy nie było tak, że ten rozłam, odejście grupy Mateusza Morawieckiego, był ciosem, który uniemożliwił panu nabranie wiatru w żagle? Trudno coś budować, jeśli wokół pożar.

Miałem pełną świadomość, jakiego zadania się podejmuję. Zostałem kandydatem półtora roku przed wyborami, czyli to było coś nadzwyczajnego. Zostałem wskazany przez Komitet Polityczny PiS jednogłośnie, także ludzie byłego premiera Morawieckiego poparli tę decyzję, oklaskiwali mnie w hali Sokoła. Pociąg ruszył, ale już trzy tygodnie później Mateusz Morawiecki postanowił zaciągnąć ręczny hamulec.

W jaki sposób?

To był pamiętny wywiad dla Wirtualnej Polski. Tuż przed świętami Wielkiej Nocy zostawił Polaków z poczuciem, że PiS idzie w złym kierunku, zbyt mocno na prawo, tymczasem elektorat jest po lewej stronie. Gdy po świętach lekko uspokoiliśmy sytuację, były premier kolejny raz sięgnął po dźwignię hamulca i ogłosił powstanie Stowarzyszenia Rozwój Plus. Co było dalej, każdy dobrze wie. Kolejne samodzielne deklaracje programowe Rozwoju Plus, wycofanie się byłego premiera z prac ciał decyzyjnych w PiS, już otwarte kontestowanie kierownictwa. Kolejne próby porozumienia, rozmowy, kolacje. Wreszcie ten nieszczęsny lipiec i wyjście z PiS. Ale jednak ustaliśmy na nogach, ja też mam poczucie, że ustałem, i teraz wreszcie znów idziemy do góry.

Tak, wielu obserwatorów narzeka na notowania PiS, ale pomija to, że miała być mijanka z Konfederacją, a Rozwój Plus liczył na co najmniej 10–12 proc. wyborców. Teraz raczej nie przekracza progu. Pana zdaniem PiS będzie zyskiwało?

Już zyskujemy. W najnowszym badaniu OGB mamy 25 proc. poparcia. Ten sam poziom wskazują badania Social Changes. Badanie exit poll w Krakowie daje nam także znacznie więcej niż większość sondaży. Utrzymujemy pozycję głównej siły opozycyjnej pomimo rozłamu, pomimo tego wszystkiego, co nam sprokurowali Mateusz Morawiecki i jego ludzie. Gdyby nie rozłam, dziś bylibyśmy na czele sondaży.

PiS walczy z KO, ale widać też, że wokół krążą wilki, czyli obie Konfederacje. Liczą, że jeśli PiS się załamie, one się pożywią.

Moja postawa jest zupełnie inna, moje hasło brzmi: jedność i pokój na prawicy. Gdyby nasi przyjaciele z obu Konfederacji nie oburzyli się tak strasznie na mój apel z Gdańska, w którym wzywałem do wystawienia jednego kandydata prawicy w Krakowie, mielibyśmy wspólnie drugą turę i szansę na zwycięstwo. Ale Krzysztof Bosak i Sławomir Mentzen uznali, że mają znakomitego kandydata i nie potrzebują współpracy. A potem nie zebrali

eprasa.pl e047054f7a

tych 3 tys. podpisów niezbędnych do rejestracji kandydata. Ale ja nadal wzywam: pokój i jedność na prawicy! Tylko w ten sposób odsuniemy Tuska i ocalimy Polskę.

Żadne apele nie wygaszą jednak walki o wyborców na prawicy. Z badań wynika, że wielu waszych wyborców odeszło do Konfederacji Grzegorza Brauna. Teraz widzę, że politycy PiS zaczynają punktować tę partię i jej lidera. Będzie ostre zderzenie?

Jeśli startujemy z odrębnych list, to nie będziemy się głaskać po głowach. Będziemy rywalizować, będziemy się punktować. I to jest normalne. Jeśli ktoś mówi, że nie wpuści imigracji do Polski, a jednocześnie ich koledzy zatrudniają obcokrajowców w firmach albo chcą ściągać siłę roboczą do kraju, to tę obłudę trzeba punktować. Jeśli uważacie, że imigracja legalna jest tak samo szkodliwa jak nielegalna, to dlaczego zatrudniacie Ukraińców, Białorusinów? Robicie to, bo taka jest rzeczywistość i taki jest przymus rynku.

Ja także uważam, że legalna imigracja jest równie groźna jak nielegalna. Birmingham stało się islamskim miastem przez legalną imigrację. Francja utraciła całe obszary za sprawą legalnej imigracji. A w pana Lublinie przybysze z Zimbabwe, osiedlani przez ukraińską panią urzędnik, też za chwilę przejmą jakiś kwartał miasta. Wszystko legalnie.

System musi być całkowicie szczelny. Jeśli coś jest fikcją, musi stać się nielegalne. Jeśli przepisy słabo funkcjonują albo są nieszczelne, muszą być zmienione. Dla mnie legalna imigracja to np. przyjazd Ukraińca do pracy w gospodarstwie szkółkarskim w Kurowie, gdzie nie ma żadnych innych rąk do pracy – tylko pod takim warunkiem. Przyjazd, a potem wyjazd. Praca, składki, potem wyjazd.

Ale to bardzo trudne do praktycznego wprowadzenia. Nadchodzi AI, stawiajmy na robotyzację, automatyzację, płaćmy więcej Polakom. Przecież Polska ma sens tylko jako państwo



Fot. Robert Gołaszewski

Polaków, a nie jako organizator życia różnych mniejszości. Jeśli nie ma ludzi, którzy będą wozili burgery z jednego końca miasta na drugi, to trudno, niech tego nie będzie.

Receptą jest maksymalne ograniczanie migracji legalnej, absolutne uszczelnienie wszystkich dziur.

Dlaczego właściwie doszło do rozłamu z grupą Morawieckiego? Dlaczego oni wyszli? Nieoficjalnie tłumaczą, że czuli się wypychani, miażdżeni, mieleni. I doszli do wniosku, że jeśli czegoś nie zrobią, stracą wszystko.

Kto miałby ich mielić?

Gremia decyzyjne. Grupy, które zdobyły przewagę, miały wpływ na decyzje prezesa Jarosława Kaczyńskiego.

Ale były premier Morawiecki wyszedł z tych gremiów sam. Nikt go nie wypychał.

Mówi, że przestał przychodzić, bo to się zamieniało w seanse połajanek wobec niego. Skakali mu po pagonach.

Żadnych połajanek nie było. Ktoś coś mówił, ktoś polemizował. Normalna debata polityczna. Mateusz Morawiecki miał też swoich obrońców, nie był tam sam.

Dlaczego więc wyszli?

To tchórzostwo, które jest dla mnie zagadką. Przecież tam są także normalni, światli ludzie, wielu moich przyjaciół, którzy widzą nieszczęście Polski pod rządami Tuska. A mimo to postanowili zaryzykować w imię własnego ego, własnych ambicji, przyszłość Polski. Jedna w tym pociecha, że zdarzyło się to latem, a nie jesienią bądź wiosną przyszłego roku. Gdyby rozłam nastąpił bliżej wyborów, Tusk wygrałby na pewno.

Czy z perspektywy czasu błędem nie była krytyka rządów premiera Morawieckiego, którą podjęła część PiS? Chcieli odzyskać wyborców, którzy przesunęli się na prawo, a tak naprawdę Konfederacje dostały zastrzyk legitymizujący krytykę PiS.

Publiczne dyskusje na tematy wewnętrzne nigdy nie są dobre, szczególnie gdy przybierają formę ostrego sporu. Ja też niektóre decyzje krytykowałem, np. zamknięcie cmentarzy na Wszystkich Świętych, zamykanie kościołów. Mówię to jednak spokojnie i pamiętam też, jak to wtedy wyglądało. Były zalecenia ekspertów, nie było wiadomo, jak będzie ewoluował wirus. Ludzie naprawdę umierali. Ale są również rzeczy, których nie da się usprawiedliwić.

Jakie?

Choćby rzucenie potężnej bomby w kierunku małych przedsiębiorców, czyli słynna składka zdrowotna. Ci ludzie bardzo często na nas głosowali, a dostali mocny cios. Dlatego teraz mówimy: my ten błąd naprawimy, nie będziemy w nim tkwili.

Mateusz Morawiecki odpowiada, że w ten sposób zdradzacie ideały PiS. Bo nie może być tak, że ktoś zarabia 40 tys., a na służbę zdrowia płaci mniej niż skromny etatowiec. Płaci symbolicznie.

Nie było słuszną decyzją obciążanie ogromnymi kosztami fryzjerki, która ledwo utrzymuje dzieci. Nie było słuszną decyzją zwiększanie obciążeń sklepikarza, który jedyny dostarcza żywność do niewielkiej miejscowości. Tym ludziom, z dochodami do

eprasa.pl e047054f7a

120 tys. rocznie, chcemy ulżyć, i to zrobimy. Tak samo z podatkami: nigdy już nie pozwolimy, żeby ktoś w naszym imieniu wprowadził system tak skomplikowany, że niemal nikt go nie rozumie.

Uważam jednak, że gdybyście stanęli razem na scenie, pan i Mateusz Morawiecki, byłaby to duża siła. Każdy z was wnosi coś, czego nie ma ten drugi. To mogłoby naprawdę dać duży sukces, nawet 35 proc.

Tłumaczyłem to Mateuszowi Morawieckiemu przez cały kwiecień, maj, czerwiec i jeszcze przez połowę lipca. Mówiłem: „Wyjdźmy razem przed kamery". I nawet go przekonałem na słynnym spotkaniu w nocy z prezesem Jarosławem Kaczyńskim. Mówiłem wiele razy, że możemy łowić z tej samej łodzi: ja na prawo, on na lewo. Bo jeśli będziemy łowić z dwóch łodzi, to się zderzymy i któraś z łodzi może zatonąć. Dziś jest jasne, że miałem rację. Niestety, koledzy nie posłuchali.

Część z nich mówi, że woli odejść z polityki, niż wracać pod stare sztandary. Twierdzą, że w PiS trudno się funkcjonuje, a oni naprawdę chcą bardziej merytorycznej polityki. Sądzę, że mówią to szczerze.

Pojawiło się u nich poczucie „lepszości", coś takiego, co miała Unia Wolności. Przekonanie, że są mądrzy i mają rację. Ale z tej „lepszości" wyszła zdrada, i to rok przed wyborami.

Czy prezydent Karol Nawrocki może wejść do gry? I nie mówię o pakcie senackim, ale np. o liście prezydenckiej w wyborach do Sejmu. Bo obecna mapa prawicy nie napawa optymizmem w kwestii powołania sprawnego, elementarnie zgodnego rządu.

Polskę trzeba ratować. Jak to ujął prezes Jarosław Kaczyński: „Byle nie Tusk". Najlepsza byłaby jedna wspólna lista całej prawicy. My jesteśmy gotowi się dogadać. Ale czy taką gotowość mają też w sobie koledzy z innych ugrupowań? Mateusz Morawiecki już zadeklarował, że do wyborów chce iść sam. Może jednak jeszcze przemyślą sprawę, bo Tusk może zmusić i Lewicę, i PSL, i może nawet Razem do pójścia na wspólnej liście. A wówczas może utrzymać władzę. Dużo ryzykujemy, idąc osobno.

A jeszcze nie ma pewności, czy Mentzen nie pójdzie z Tuskiem.

Dlatego apeluję do elektoratu prawicy: wybierajcie ludzi pewnych, którzy z Tuskiem na pewno nie pójdą. Myślę, że Mentzen jednak nie pójdzie z Tuskiem, ale te podszepty słychać.

> U Mateusza Morawieckiego i jego ludzi pojawiło się poczucie „lepszości", coś takiego, co miała Unia Wolności. Przekonanie, że są mądrzy i mają rację. Ale z tej „lepszości" wyszła zdrada, i to rok przed wyborami

Może się skończyć tak jak z AWS. Cztery lata piekła sporów, kłótni, awantur, a później wybory i do władzy wracają źli ludzie.

Polityka w państwie demokratycznym nie polega na tym, że zawłaszcza się całą scenę polityczną i wyrzuca z niej wszystkich, których nie lubimy. Ale chcę również jednoznacznie powiedzieć: im lepszy wynik wyborczy PiS, tym większa szansa na stabilne rządy prawicy w Polsce. Ale też nie dramatyzujmy: prezydent ma swoje prerogatywy, może wskazać kandydata na premiera, więc myślę, że powtórka z AWS nam nie grozi.

Czy Tusk jest dziś silny czy słaby?

I silny, i słaby. Silny w środku, bo zaprzągł całą koalicję do swojego rydwanu, ale słaby na zewnątrz za sprawą swoich błędów. I także przestępstw. Ostatnio widziałem nawet tytuły w mediach, które nam nie sprzyjają, że rząd po przegranych wyborach musi rozważyć ewakuację. Oni wiedzą, co zrobili.

Tak, wcześniej to były jakieś drobne sprawy, jakieś geszefty, spory prawne, a tutaj mamy łamanie konstytucji, ordynarne naruszanie ustaw, wchodzenie do instytucji bez podstawy prawnej. I wielkie zaniedbania w sferze inwestycji, sabotowanie spraw już rozpędzonych. Jak to rozliczyć? Może potrzebna jest specjalna ustawa rozliczeniowa?

Nie ma potrzeby tworzenia specjalnych procedur. Wystarczy stosować te, które już istnieją. Normalny prokurator generalny z normalnym prokuratorem krajowym, legalnie umocowani, legalni prokuratorzy niższego rzędu. Tu nie trzeba szczególnie wnikliwych śledztw, tu wszystko widać gołym okiem. Ale w sądownictwie też trzeba zadbać o elementarne standardy, musimy wrócić do pełnej, skutecznej odpowiedzialności dyscyplinarnej. Nie może być tak, że ta garstka, te 10 proc., psuje cały stan sędziowski.

Czy nowy, prawicowy rząd zaakceptuje np. faktyczną legalizację tzw. małżeństw jednopłciowych, wprowadzoną prawem kaduka, przy otwartym łamaniu konstytucji? Czy będzie jak na Zachodzie: lewica coś wprowadza, a prawica już tego nie cofa, bo przecież chce polepszyć poziom życia, a nie toczyć wojny ideologiczne?

Nie widzę dziś na prawicy, poza ludźmi z Rozwoju Plus, środowisk, które chciałyby grubej kreski na wzór 1989 r. Raczej widzę ludzi, którzy chcieliby jednak czegoś innego niż CDU w Niemczech. A wszystkim, którzy chcieliby czegoś takiego jak CDU w Niemczech, proponuję, żeby spojrzeli za naszą zachodnią granicę. Tam stare partie upadają, a ich miejsce zajmuje AfD. To ostatecznie czeka prawicę, która zdradza swoich wyborców i ich interesy. Ja mogę powiedzieć, że nie odpuszczę. Posprzątam Polskę.

eprasa.pl e047054f7a

Michał w krainie brudu

Gdy Michał Kołodziejczak był Donaldowi Tuskowi potrzebny, nikt nie badał jego słabości i uzależnień, a gdy brudy się wylały, premier nagle przestał go znać



STANISŁAW JANECKI

Donald Tusk chciał go koniecznie mieć w swoim wojsku przed wyborami parlamentarnymi w 2023 r. Głównie jako bat na wsi na Prawo i Sprawiedliwość. Miał wnieść do wyborczej puli mieszkańców wsi i miasteczek, niezadowolonych nie tylko z rządów PiS (z którego listy w 2014 r. uzyskał mandat radnego miasta i gminy Błaszki), lecz także zbuntowanych w ogóle. W 2023 r. Tusk był dla nich kompletnie niewiarygodny, więc musiał mieć własnego buntownika, i to takiego, który miał i mógł poszerzyć wpływy tam, gdzie nie miało ich Polskie Stronnictwo Ludowe.

Ważniejsze było uderzenie w PiS niż ryzyko. A ryzyko było duże, gdyż Michał Kołodziejczak, założyciel i prezes ruchu społeczno-politycznego Agrounia, był właściwie zawodowym zadymiarzem: blokował drogi, nachodził biura poselskie i urzędy, wysypywał na ulicę produkty rolne. I był człowiekiem o wykształceniu spod znaku Collegium Humanum: formalnie miał maturę, ale prokuratura wzięła go na celownik w związku z medialnymi zarzutami o kupienie licencjatu w Wyższej Szkole Nauk Prawnych i Administracji w Wołominie i o uzyskanie lewego zaświadczenia zaliczenia sześciu semestrów studiów z zarządzania w jednej z uczelni na Śląsku, co miało mu dać możliwość ekspresowego zdobycia dyplomu w Collegium Humanum, którego nie zdążył tylko odebrać, bo w tej uczelni zagościli już śledczy.



Fot. Jacek Dominski/REPORTER/East News

eprasa.pl e04705417a

Ryzyko polegało też na tym, że Kołodziejczak był otwarcie antyamerykański. Pod placówką USA w Warszawie wykrzykiwał: „Ambasada amerykańska kłóci nas z Rosją. Dzisiaj każdy, każdy z nas powinien odważyć się na ten gest i pokazać fucka Amerykanom". I był otwarcie prorosyjski, nie tylko wtedy, gdy oskarżał: „Co zrobiliście z Rosją? Pokłóciliście nas z Rosją, najlepszym klientem". Ryzyko wiązało się także z huśtawką psychiczną Kołodziejczaka, co mogło wskazywać na podejrzane źródła popadania w euforię i apatię.

Donald Tusk to wszystko wliczył w koszty i nie tylko dał Michałowi Kołodziejczakowi jedynkę w okręgu konińskim, ale jeszcze po wyborach zrobił go wiceministrem rolnictwa. Ten przestał nim być, gdy zrobił już swoje, a zaczął się awanturować wewnątrz rządzącego układu. I wtedy się okazało, że Kołodziejczak może mieć nagrabione o wiele więcej, niż ktokolwiek z jego politycznych przyjaciół mógł przypuszczać. A właśnie tym zajęła się w październiku 2026 r. dziennikarka Kanału Zero Monika Krześniak.

„WEŹ TEŻ, WEŹ TEŻ, WEŹ TEŻ"

Do dziennikarki zgłosiły się najpierw dwie kobiety. Jedna z nich przyznała, że jej relacja z Michałem Kołodziejczakiem stała się z czasem intymna. Opisała sytuację, gdy wyciągnął substancję, którą sam określił jako kokainę. Zażył jej dużą ilość i natarczywie nakłaniał kobietę do tego samego. Druga z kobiet potwierdziła, że widziała Kołodziejczaka zażywającego narkotyki. Obie opisały jego niekontrolowane wybuchy furii. Pierwsza twierdzi, że polityk ją uderzył, co później miał tłumaczyć przypadkiem i swoją „psychozą". Druga relacjonowała, że rzucił obok niej puszką, a kiedy zwróciła mu uwagę, wziął nóż i stwierdził: „Gdybym chciał, tobym trafił".

Kobiety oskarżyły Kołodziejczaka o obrzucanie ich wyzwiskami (w tym nazywanie „k...wą") oraz wielokrotne kierowanie pod adresem jednej z nich gróźb typu „zabiję cię". Udostępniły nagrania rozmów telefonicznych dokumentujące presję psychiczną. Jedna wyznała, że nabawiła się PTSD (zespół stresu pourazowego) i musiała się leczyć psychiatrycznie. Między innymi dlatego, że Kołodziejczak miał ją traktować „jak niewolnika", otwarcie mówiąc, że płaci jej na tyle mało, by nie mogła odłożyć pieniędzy i odejść z pracy, ale wystarczająco, by przeżyła kolejny miesiąc.

Ta z kobiet, której znajomość z politykiem przerodziła się w intymną relację, wyjaśniała, że początkowo był wobec niej miły i troskliwy – mówił o wspólnej przyszłości i dzieciach. Z czasem pojawiły się wybuchy agresji, wyzwiska i sytuacje, w których czuła się zagrożona. „Wyjął narkotyki. Wziął przy mnie bardzo dużą ilość i mówił: »Weź też, weź też, weź też«" – opowiadała. Początkowo kilkukrotnie odmówiła, jednak ostatecznie zgodziła się zażyć podaną jej substancję. Wtedy poczuła się bardzo źle, obawiała się o własne życie. „Ja, leżąc na podłodze, myślałam, że umieram. Mówię: »Michał, ja umieram«" – relacjonowała. W odpowiedzi miała usłyszeć, że nic jej nie będzie i powinna wymiotować. Podobna sytuacja miała się powtórzyć kilka tygodni później.

Druga kobieta, współpracownica Kołodziejczaka z czasów Agrounii, twierdziła, że polityk ją regularnie poniżał, wyzywał i wykorzystywał swoją przewagę wynikającą z relacji zawodowej. Opisywała atmosferę stałego napięcia, nieprzewidywalnych reakcji i wybuchów złości. Pod koniec współpracy była kłębkiem nerwów.

Po pierwszych dwóch kobietach opisanych przez Monikę Krześniak zgłosiły się do niej dwie kolejne. Jedna poznała Kołodziejczaka w 2025 r. i dostała pracę asystentki. Przez jakiś czas zajmowała się mediami społecznościowymi posła, pilnowaniem jego terminarza. W rozmowie z Kanałem Zero opowiadała, że później doszło do sytuacji, w której „przyjmowała z Kołodziejczakiem narkotyki i wówczas doszło między nimi do stosunku". A polityk „w czasie zbliżenia domagał się, by targowała się z nim, ile chce zarabiać jako asystentka". Usłyszała, że „jak komukolwiek powie, to ją zabije". Kobieta zapewniła, że „poza tą sytuacją poseł przyjmował przy niej narkotyki jeszcze kilka razy. W tym wtedy, kiedy miał pod opieką małoletnie dzieci". Druga z kobiet powiedziała dziennikarce Kanału Zero, że jako wiceminister rolnictwa „pomiatał swoimi pracownikami i manipulował nimi".

Już po pierwszym reportażu Moniki Krześniak Michał Kołodziejczak został dyscyplinarnie zawieszony w prawach członka Klubu Parlamentarnego Koalicji Obywatelskiej. Goszcząca 12 października w Onet Rano posłanka KO Dorota Łoboda stwierdziła: „U Michała Kołodziejczaka osobiście nie widziałam żadnych niepokojących zachowań. Ale to w żaden sposób nie oznacza, że to, co usłyszeliśmy na nagraniach, nie miało miejsca. Czekamy na działania prokuratury, na wyjaśnienia samego posła Kołodziejczaka. Jeśli to wszystko się potwierdzi, nie ma miejsca dla Michała Kołodziejczaka w Koalicji Obywatelskiej". 12 października 2026 r. Prokuratura Okręgowa w Warszawie z urzędu podjęła czynności sprawdzające „w kierunku zmuszania do określonego zachowania i udzielania środków odurzających".

ALIBI DETEKTYWA RUTKOWSKIEGO

Michał Kołodziejczak w krótkiej wypowiedzi dla dziennikarzy w Sejmie odrzucił wszystkie oskarżenia, nazywając je bezpodstawnymi „pomówieniami". A potem zamiast Kołodziejczaka zaczął się wypowiadać detektyw Krzysztof Rutkowski, przedstawiając się jako jego „wieloletni przyjaciel". Rutkowski tak wszystko tłumaczył, jakby dawał Kołodziejczakowi alibi. Stwierdził, że poseł zgłosił się do jego biura już 4 września 2026 r. Bo „czuł się zagrożony, zaszczuty oraz że padł ofiarą zorganizowanego szantażu ze strony dwóch byłych współpracownic-wolontariuszek z kampanii wyborczej". 11 października 2026 r. Rutkowski towarzyszył Kołodziejczakowi, gdy ten stawił się w łódzkiej delegaturze Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, aby złożyć zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa na jego szkodę. ABW sprawę przekazała prokuraturze. Rutkowski powiedział, że Kołodziejczak po prostu „uległ urokom damskich wdzięków".

12 października Rutkowski zorganizował briefing prasowy w gmachu Sejmu. Bez Kołodziejczaka. Wtedy zaapelował do dilerów narkotykowych, którzy mieli sprzedawać cokolwiek posłowi, aby zgłaszali się do jego detektywistycznego biura. Opowiadał, że tego samego dnia kontaktował się z policją w Łodzi: „Byłem już umówiony z policjantami, Michał nie był jednak wtedy mentalnie przygotowany na taki krok. Ma dobre serce i przekonał mnie, żeby tego zawiadomienia nie składać". I zapewnił, że posiada materiały,

eprasa.pl e047054f7a

które mogą mieć znaczenie dla wyjaśnienia sprawy: „Dysponujemy materiałami filmowymi oraz nagraniami audio i wideo. [...] W związku z tym, że sprawa ta dla ABW stała się bardzo poważna, doszło do spotkania z panem naczelnikiem i złożenia zawiadomienia jako osoby pokrzywdzonej przez ministra Kołodziejczaka". Rutkowski wyjaśniał za Kołodziejczaka: „Jeżeli jesteś konkretny i wymagasz od ludzi, zawsze znajdzie się czarna owca, leń i oszust, która będzie próbowała cię opluć oskarżeniami o mobbing". O kobietach, które zgłosiły się jako pokrzywdzone, Rutkowski mówił, że „mogło im przewrócić się w głowie", bo „liczyły na coś więcej". I pytał, dlaczego nie zgłosiły sprawy organom ścigania.

Monika Krześniak nazwała tłumaczenia Rutkowskiego „stekiem kłamstw". Zastanawiała się, czy to nie jest „polowanie na ofiary". Kobiety nie były i nie są wolontariuszkami, jak twierdził Rutkowski. Jedna została poproszona o robienie rolek i nie chciała żadnego stanowiska. Gdy Kołodziejczak pytał ją, ile chce, rozpłakała się. Za najważniejsze w tej historii dziennikarka uznała to, że Krzysztof Rutkowski ujawnia dane jednej z kobiet i w ten sposób tę osobę szkaluje, nie wiedząc, czy jest osobą właściwą.

SZANTAŻ I WSTĘP DO WERBUNKU?

Jeśli jakiekolwiek materiały dokumentujące zażywanie narkotyków lub przemocowe zachowania seksualne Michała Kołodziejczaka dostały się w ręce tajnych służb Rosji, Białorusi czy Ukrainy, byłby to klasyczny i niezwykle skuteczny instrument szantażu oraz ewentualnie werbunku. Tym bardziej że Ukraińcy zwracali uwagę – m.in. w marcu 2024 r., kiedy Kołodziejczak reprezentował Polskę w negocjacjach z ministerstwem rolnictwa Ukrainy – że zachowywał się tak, jakby był pod wpływem narkotyków. Ukraińskie służby mogły mu też wtedy podsunąć jakieś kobiety oferujące seks i, gdyby skorzystał, wszystko nagrać.

W doktrynach działania służb, takich jak rosyjskie KGB/FSB, białoruskie KGB i ukraińska SBU, pozyskiwanie haków obyczajowych (uzależnienia, sekstaśmy, przemoc) jest standardową procedurą. W żargonie wywiadowczym jednym z fundamentów werbunku są słabości i sekrety (litera „C" w skrócie MICE – Compromise lub Coercion). Posiadanie nagrań kompromitujących polityka pozwala zmusić go do współpracy pod groźbą zniszczenia kariery, rodziny i wizerunku publicznego. Michał Kołodziejczak jako poseł, a zwłaszcza jako wiceminister rolnictwa, brał udział w kluczowych procesach decyzyjnych oraz międzynarodowych negocjacjach (np. wrażliwych rozmowach polsko-ukraińskich dotyczących rynku produktów rolnych). Dla obcych służb kontrola nad taką osobą dawałaby potężne narzędzie wpływu na politykę wewnętrzną i zagraniczną Polski.

> Jeśli jakiekolwiek materiały dokumentujące zażywanie narkotyków lub przemocowe zachowania seksualne Michała Kołodziejczaka dostały się w ręce tajnych służb Rosji, Białorusi czy Ukrainy, byłby to klasyczny i niezwykle skuteczny instrument szantażu oraz ewentualnie werbunku

Ujawnione przez Kanał Zero materiały i nagrania audio zostały zarejestrowane przez byłe współpracownice Kołodziejczaka na ich prywatnych telefonach – jako zabezpieczenie przed jego agresywnym zachowaniem, ale każdy taki materiał można wykraść, jeśli obce służby interesowały się Kołodziejczakiem i np. kontrolowały to, co robi. Sam Kołodziejczak w rozmowie z jedną z kobiet miał twierdzić, że posiada nagrania scen intymnych z nimi, po czym oferował jej pieniądze (10, 20 lub 30 tys. zł) za milczenie. Choć sugeruje to próbę uciszenia ofiary, mogło być wykorzystane przez zewnętrznych szantażystów.

Na razie sprawa ma charakter wewnętrznego skandalu, a polskie służby badają ją pod kątem przestępstw pospolitych (zmuszanie do zażywania narkotyków, groźby, przemoc fizyczna). Ale to wszystko może mieć zewnętrzny kontekst.

Dla obcych służb lub szantażystów Kołodziejczak był łatwym celem. Kiedy już „wszedł w Warszawę", zaczął się zachowywać jak „zawodowi celebryci". A to towarzystwo na co dzień wręcz nurza się w narkotykach i seksie. Wprawdzie sprawa najsłynniejszego warszawskiego „dilera gwiazd", Cezarego P., zakończyła się prawomocnym skazaniem go na karę sześciu lat bezwzględnego więzienia jeszcze w czasach, w których Kołodziejczak nie był posłem, ale gdy już znalazł się w Sejmie, w stolicy działali inni dilerzy celebrytów. Dla wielu ludzi, być może również dla Kołodziejczaka, korzystanie z ich usług było znakiem przynależności do „elity". Podczas procesu wyszło na jaw, że narkotyki Cezary P. dostarczał celebrytom, aktorom, prezenterom telewizyjnym, zamożnym lekarzom i prawnikom, a także politykom. Warszawskie „elity" nic sobie nie robiły z wyroku na Cezarego P. (co mogło zachęcić kogoś takiego jak Michał Kołodziejczak), gdyż mimo że w śledztwie przewijały się nazwiska z pierwszych stron gazet, a prokuratura dysponowała zapiskami w notesach dilera oraz bilingami i nagraniami rozmów telefonicznych, żaden z celebrytów nie usłyszał zarzutów karnych za posiadanie narkotyków.

DRUGIE DNO

Osobną sprawą jest to, dlaczego Michałem Kołodziejczakiem nie zainteresowały się polskie służby (przede wszystkim Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego), a jeśli się interesowały, to dlaczego nie wykryły jego uzależnień w trakcie jego sprawdzania. A to sprawdzanie jest bardzo szczegółowe.

Chyba że polskie służby o wszystkim wiedziały i były zainteresowane posiadaniem haków na Kołodziejczaka, które w odpowiednim momencie można by wykorzystać. Ale coś takiego nie byłoby możliwe bez wiedzy koordynatora służb Tomasza Siemoniaka i z wysokim prawdopodobieństwem samego premiera Donalda Tuska. I to dopiero byłaby afera.

eprasa.pl e047054f7a

Złe wieści z Krakowa dla Tuska

Najpierw wyniki wyborów prezydenckich w Krakowie miały być na żyletki, a teraz obóz władzy udaje, że nic tam się nie stało. Tłumaczy, że to tylko wybory samorządowe i nie można wyciągać z tego szerszych wniosków. Obserwatorzy jednak je wyciągają. I pokazują one ciekawe trendy. Zazwyczaj niekorzystne dla Donalda Tuska i całej jego koalicyjnej ekipy. Choć i prawica ma powody do zastanowienia się nad samą sobą



PIOTR GURSZTYN

Gdyby prawo wyborcze w Polsce ograniczyć do ludzi w wieku ponad 60 lat i przyznać je tylko bardzo zamożnym, to Koalicja Obywatelska oraz Nowa Lewica nie musiałyby się obawiać o reelekcję. Miałyby ją w kieszeni. Można byłoby jeszcze to prawo rozszerzyć na osadzonych w aresztach śledczych. Wtedy wygrana KO byłaby jeszcze pewniejsza.

Takie są wnioski z drugiej tury przedterminowych wyborów na prezydenta Krakowa. Jednak w Polsce ciągle obowiązuje powszechne prawo wyborcze, więc mogą głosować ludzie młodsi i nie tylko mieszkańcy najbogatszych dzielnic w rodzaju Woli Justowskiej. Wyraźnie widać zatem, kim jest elektorat obecnego rządu. To oczywiście hałaśliwe, lecz w sumie nieduże grupki fanatyków spod znaku Silnych Razem. Ale przede wszystkim ci obywatele, którzy są zadowoleni ze swojego statusu materialnego i społecznego. Na tej zasadzie, że czują się elitą, której mogą zagrozić „barbarzyńcy" reprezentowani przez partie będące dzisiaj w opozycji. Albo nie zaliczają się do elit, ale boją się zmian – w myśl reguły, by nie ruszać niczego, bo może być tylko gorzej. To ludzie podatni na perswazję strachem. Ich najłatwiej w ten sposób mobilizować. A jednodniowa panika, której efektem było masowe nieposyłanie dzieci do szkół, udowadnia, że istnieje ogromny potencjał w wykorzystywaniu strachu jako narzędzia wpływu.

KOALICJA OBYWATELSKA: WNIOSKI Z NOKAUTU

Kraków jednak pokazał, że Donald Tusk ma coraz większy problem z własnym zapleczem politycznym. Widać marazm wśród działaczy jego partii oraz postępującą bierność wyborców o poglądach liberalno-lewicowych. To sprawa już oczywista dla bystrzejszych obserwatorów z tamtej strony sporu dzielącego Polskę.

„Wybory w Krakowie dowodzą, że Koalicji 15 Października uciekają wyborcy, zwłaszcza elektrony krążące wokół twardego jądra KO. Trzeba by się z tym skonfrontować i zadać pytanie, jak to ograniczyć, posłuchać różnych głosów, odbyć otwartą debatę, wciągnąć do niej różne środowiska. Nie ma na to większych szans" – napisał w OKO.press Piotr Pacewicz, publicysta uważnie przyglądający się trendom sondażowym.

W Krakowie zobaczyliśmy nokaut: 62,12 proc. głosów na Łukasza Gibałę wo-



Łukasz Gibała wygrał zdecydowanie drugą turę wyborów w Krakowie

Fot. Łukasz Gibała/facebook

eprasa.pl e047054f7a



bec 37,88 proc. na Monikę Piątkowską. A miało być na żyletki – jak prorokował Roman Giertych. Kandydatka KO – namaszczona przez samego Tuska – przegrała wśród tzw. normalnych ludzi, czyli uboższych lub zamożnych tylko w przeciętnym stopniu. Wśród tych wszystkich, którzy mają jeszcze oczekiwania i aspiracje.

No i jest to pytanie, które uporczywie krąży: czy krakowskie wyniki można potraktować jako proroctwo dotyczące całej Polski? Dosłownie nie, ale wiele znaków odnosi się do polityki ogólnokrajowej.

Na pewno nie jest tak, że zniechęcony elektorat Tuska rzuci się w ramiona partii prawicowych. To oczekiwanie nierealne, choć niektórzy komentatorzy z prawej strony jakby się tego spodziewali. Można natknąć się na takie sugestie. To nierealne z tego powodu, że większość wyborców w Polsce, powyżej pewnego wieku, ma trwale ukształtowane poglądy polityczno-społeczne. Albo bardziej w lewo, albo bardziej w prawo. Zatem dlaczego ktoś, kto w świadomy sposób wyznaje idee liberalne bądź lewicowe, miałby głosować na prawicę? To dzisiejsze oczekiwanie jest tak samo nieprzytomne, jak ciągłe zdziwienie komentatorów liberalno-lewicowych w latach 2016–2023, że tzw. lud pisowski nie reaguje na doniesienia o rzekomych aferach rządów Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego. Choć wszystkie media lib-leftowe głośno o tym trąbiły. Niektórzy komentatorzy z tamtej strony ukuli nawet tezę o cynicznym i zdemoralizowanym charakterze elektoratu prawicowego.

Problem jednak nie w tym, że owe afery były dęte i przegrzane przez media lib-leftu. Problem w tym, że jakość rządzenia gabinetów prawicowych była zauważalnie wyższa od tej z czasów obecnych. Dzisiaj nawet wyborcy KO nie mogą twierdzić, że rządy Tuska cechują się profesjonalizmem i szczególną troską o obywateli. Przez pewien czas mogli się łudzić, że to początek kadencji, a dalej wszystko się rozkręci. Przez jakiś czas działała też narracja o trudach związanych z usuwaniem rzekomych przeszkód pozostawionych przez poprzednią władzę. Ale upływ czasu rozbroił również tę „argumentację".

Zatem co tym wyborcom zostaje? Nie mają na kogo innego głosować. Scena polityczna jest ukształtowana na sztywno. W Krakowie mieli, bo Łukasz Gibała nie jest uważany za prawicowca. Ale wyborcy liberalni mogą nie pójść na wybory. I to jest wielka groźba dla Tuska. Bo w Polsce od wielu lat wygrywa się niewielką przewagą głosów, która wynika ze zmobilizowania lub z demobilizacji określonej grupy wyborców. A nie z tego, że ktoś kogoś przekonał i przeciągnął na swoją stronę.

Artur Nowak, antyklerykalny adwokat i autor komentarzy, m.in. w „Gazecie Wyborczej", ostatnio pisał na jej łamach: „Trzy lata po wyborach moi zaangażowani znajomi już nie rozmawiają o Ziobrze, a o państwie, które nie zmieniło się na lepsze". Nowak napisał o znajomych, którzy uczestniczyli w tzw. Marszu Miliona Serc. Byli ślepo zapatrzeni w obecnego premiera, bo wtedy przygotowali – jak sam autor pisał – transparenty z napisem „Tusk! Santo subito". I było to robione poważnie. A teraz Nowak wyjaśnia, że najczęściej od znajomych słyszy, że oni już na żadne wybory nie pójdą. „Słychać napomnienie, że wybory są obywatelskim obowiązkiem. Tylko czy ten szantaż emocjonalny jeszcze działa? Mamy chyba prawo zapytać: co dostajemy w zamian? Po jaką cholerę mamy się angażować?".

Autor „GW" ukazał specyficzną warstwę społeczną, z którą się styka. To prawnicy, przedsiębiorcy, artyści, dziennikarze. Według jego opisu ich wzmożenie dawno minęło, bo wrócili do codzienności. A ta pod rządami Tuska jest dla nich przykra. Jako prawnicy latami czekają na terminy rozpraw dla klientów, jako pacjenci bez znajomości wśród lekarzy są bezradni, a jako przedsiębiorcy padają ofiarami różnych administracyjnych szykan. I nie mogą tego zwalić na PiS.

Ciekawe i charakterystyczne jest to, że „GW" wyłączyła pod tym artykułem – standardową w sumie publicystyką – możliwość zamieszczania komentarzy. Tezy krytyczne wobec „własnego" rządu ze strony jak najbardziej prawowiernej są nie do zdzierżenia dla najbardziej fanatycznej grupy wyznawców Tuska. I jest to problem dla liberałów. Bo to grupa nieszczególnie liczna; prawdopodobnie się kurczy, ale jest najbardziej hałaśliwa. Jest także skrajnie agresywna, również wewnątrz własnego obozu. Zaczyna szkodzić, bo jej fanatyzm jest i groteskowy, i odpychający. Ale jednocześnie to jedyna prawdziwie aktywna i zaangażowana część wyborców Koalicji Obywatelskiej.

Cała reszta – wprawdzie o ukształtowanych poglądach liberalnych, lecz nie tak radykalna – jest zniechęcona i zdemobilizowana. Jej własny rząd co rusz pokazuje, jak bardzo nie liczy się z jej opiniami. Niedawno czymś takim była sprawa nominacji Macieja Berka na sędziego Trybunału Konstytucyjnego. Większa część wyborców obecnej koalicji oceniła ją negatywnie. Teraz splunięciem w twarz wszystkim wzruszonym widzom „Zielonej granicy" będzie ustawa przygotowana przez MSWiA, wprowadzająca ostre represje wobec ludzi pomagających nielegalnym imigrantom. Ma dotyczyć nie tylko tzw. aktywistów (co miałoby sens), lecz także zwykłych obywateli, którzy podaliby posiłek imigrantowi. Oskarżany przez liberałów o najgorsze rząd PiS nigdy nie wpadł na pomysł, aby

eprasa.pl e047054f7a

tak szykanować galopujących dostawców pizzy: panów Szczerbę i Jońskiego.

Krakowskie laboratorium wyborcze przypomniało o jeszcze jednym. Polacy w swojej masie tracą poczucie stabilności. Dotyczy to też wyborców Tuska. Zajrzyjmy do krakowskiego exit poll OGB. W tym wielkim, bogatszym od innych, mieście 1 czerwca 2025 r. ponad 26 proc. badanych zadeklarowało, że ich sytuacja finansowa jest lepsza, niż była wcześniej, a 21,8 stwierdziło, że się pogorszyła. Teraz sytuacja się odwróciła: o poprawie powiedziało 20,5 proc., a 26,4 proc. narzekało na pogorszenie.

Klapą zakończyło się zaangażowanie w krakowską kampanię wszystkich platformerskich notabli – od Tuska począwszy, przez Andrzeja Domańskiego, po Radosława Sikorskiego. W wypowiedziach dla mediów politycy KO pocieszają się, że mogło być gorzej, a Monika Piątkowska zrobiła dobrą robotę, bo ponoć miała trudne warunki. W Krakowie, wielkim mieście, które zawsze głosowało na PO!

Pocieszają się też wynikiem exit poll OGB, który przedstawiają jako dobry dla obozu Tuska. Wychodzącym z lokali wyborczych Krakowianom zadano pytanie o ich preferencje w ewentualnych wyborach parlamentarnych. Ankieterzy pytali o tzw. wspólną listę KO, PSL, Nowej Lewicy i resztek po Trzeciej Drodze. Na listę – nazwijmy ją prorządową – zadeklarowało chęć głosowania 49,5 proc. ankietowanych. To dużo – mógłby ktoś powiedzieć. Więcej niż średnia w innych sondażach. Niestety – dla Tuska – badanie dotyczy określonej próby: mieszkańców Krakowa, w którym te ugrupowania zawsze wygrywały. W wyborach parlamentarnych w październiku 2023 r. padło w Krakowie na Koalicję Obywatelską 34,35 proc. głosów. Na Trzecią Drogę 17,39 proc., a na Nową Lewicę 12,98 proc., czyli razem 64,72 proc. To o 15 proc. więcej niż w deklarowanym exit poll. Albo licząc inaczej – 1 czerwca 2025 r. Rafał Trzaskowski zdobył w Krakowie ponad 62 proc. głosów. Zatem znów widzimy stratę obozu liberalnego. 30 punktów różnicy między self-made manem, czyli Łukaszem Gibałą, a kandydatką wspieraną przez cały system państwowy to katastrofa, niezależnie od tzw. krakowskiej specyfiki. Za duża ta różnica.

OPOZYCJA: KTO ZYSKAŁ, KTO STRACIŁ

Popatrzmy również na innych. Wspomniany exit poll OGB dał PiS 19,1 proc., Konfederacji 15 proc., Partii Razem 9,1 proc., Rozwojowi Plus 4,1 proc., a Konfederacji Korony Polskiej 3,32 proc. Lider tej ostatniej powinien nad tym wynikiem mocno się zastanowić, bo jego kandydat w pierwszej turze – Michał Klimek – uzyskał ponad 4 proc. Mimo że był nierozpoznawalnym i niewyrazistym kandydatem. Coś Grzegorzowi Braunowi zaszkodziło? Czyżby taśmy, na których było słychać, że chce sprowadzić indyjskich imigrantów? Może zachwyt Brauna nad Nord Streamem? A może już mija zainteresowanie rzekomo antysystemowym Braunem.

> Kraków pokazał, że Donald Tusk ma coraz większy problem z własnym zapleczem politycznym. Widać marazm wśród działaczy jego partii oraz postępującą bierność wyborców o poglądach liberalno-lewicowych

Kraków – oprócz satysfakcji z upokorzenia Tuska – to niepokojący sygnał dla Jarosława Kaczyńskiego. W 2023 r. PiS zdobyło w tym mieście 25,07 proc. głosów. Teraz, nawet po czysto teoretycznym zsumowaniu z grupą Mateusza Morawieckiego, byłoby to 23,2 proc. Prawo i Sprawiedliwość ma problem z zagospodarowaniem narastającego niezadowolenia z nieudolnych rządów.

Uradowani za to mogą być Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak. I to mimo wyjątkowej kompromitacji tego pierwszego, związanej z nieudaną zbiórką głosów dla kandydata Konfederacji. Według exit poll na Konfederację chce głosować 15 proc. krakowskich wyborców, podczas gdy jesienią 2023 r. było ich tylko 7,51 proc.

Mimo wszystko partia Razem może mieć powody do zadowolenia. Nie dość, że przeskoczyła establishmentową lewicę Włodzimierza Czarzastego (która doznała w Krakowie zawstydzającej przegranej), to jeszcze widać, że przyciąga najmłodsze roczniki wyborców. Czy wykorzysta to w polityce ogólnokrajowej? Niewykluczone, pod warunkiem że Razem będzie partią polityczną, a nie klubikiem mało aktywnych aktywistów (tak jak dzieje się to teraz).

Last but not least, to też dobra wiadomość dla Karola Nawrockiego. Kraków pokazał, że w polityce idzie czas zmian i coraz bardziej nośne staje się hasło „Każdy, byle nie Tusk". Prezydentowi najłatwiej będzie zostać motorem tych zmian i ich beneficjentem.

ESKALACJA WOJNY

Co dalej może robić Donald Tusk? Nikt w jego obozie nie śmie zakwestionować jego władzy i pomysłów, choć każdy widzi, że Monika Piątkowska była jego autorską kreacją. Tak jak wcześniej Aleksander Miszalski, a także – nie zapominajmy – Michał Kołodziejczak.

Zatem co Tusk może zrobić? Do korekty nie jest zdolny. Jedyne, co umie, to eskalować i odwracać uwagę. Po pierwszej turze, również nieudanej, zamieścił filmik z zapewnieniami, że rozliczenia PiS nie zwalniają: „Mówiłem wam, że będzie drugie danie i deser, nie tylko żurek". Skończyło się śmiesznie, bo dzień później sąd wydał list żelazny Marcinowi Romanowskiemu. A po przegranej drugiej turze obejrzeliśmy kuriozalne nagranie o Pegasusie, łącznie z antysemickimi aluzjami.

Obserwujemy ucieczkę do przodu, czyli eskalację wojny, którą można nazwać domową. Nieustannie podgrzewany jest konflikt z prezydentem. Trwa próba nielegalnego przejęcia Trybunału Konstytucyjnego. Jako następny cel wskazywany jest Narodowy Bank Polski, który Tusk próbuje sparaliżować, odmawiając kontrasygnaty pod nazwiskami kandydatów do jego zarządu. Szkody, które mogą tu nastąpić, dotkną bezpośrednio i natychmiast wszystkich mieszkańców Polski.

Jakie będą reakcje społeczne? To całkowicie nieprzewidywalne, bo nigdy coś takiego nas nie spotkało. Ale jedno można stwierdzić: trwałą regułą jest to, że społeczeństwa oczekują od władzy zapewnienia spokoju, a nie wszczynania awantur.

eprasa.pl e047054f7a



Po atakach w szkołach Tusk zwołał naradę dotyczącą bezpieczeństwa, ale się do niej nie przygotował, więc rzucił coś o agresji Minecrafta. Tę żałosną wpadkę postanowiono przykryć czymś poważnym – planowanym zamachem na premiera

Fot. KPRM

Państwo w stanie psychozy

Zamach na Trybunał Konstytucyjny nie byłby możliwy, gdyby nie postępująca od lat eskalacja przemocy i manipulacji. Donald Tusk nie dba już nawet o zachowanie pozorów. Bezprawie i dyktat przykrywa coraz słabszymi sztuczkami z bogatego arsenału inżynierii politycznej. Zastraszanie, zaszczuwanie, okłamywanie i ciągła polaryzacja mają odwrócić uwagę od demontażu państwa i likwidacji polskiej suwerenności. I choć zakrawa to na obłęd, groźby kierowane pod adresem prezydenta każą spodziewać się wszystkiego



MARZENA NYKIEL

Zaczęło się od trzęsienia ziemi – wyłączenia sygnału Telewizji Polskiej i siłowego przejęcia mediów publicznych. Potem było już tylko gorzej. Od blisko trzech lat rządów koalicji 13 grudnia nie ma tygodnia bez naruszeń prawa, łamania zasad, przesuwania kolejnych granic. Społeczeństwo jest poddawane rządowej dezinformacji i cynicznej tresurze emocjonalnej. Jedne kłamstwa zastępowane są innymi, a wybuchające co rusz afery przykrywane rządowymi sensacjami i manipulacją. Natężenie jest tak duże, że większość z nich wypieramy.

DŁUGA LISTA BEZPRAWIA

Kto dziś jeszcze pamięta, że nielegalnie i pod osłoną nocy zainstalowano prokuratora krajowego, włamano się do Krajowej Rady Sądownictwa i łomami rozbito sejfy, by wydobyć zawartość szaf pancernych zawierających m.in. akta Waldemara Żurka? Kto pamięta o roztrwonionych milionach z KPO czy rozkradzionych środkach dla powodzian? O wielomiesięcznej gehennie aresztowej byłych urzędniczek Ministerstwa Sprawiedliwości czy ks. Michała Olszewskiego? O bezprawnie wstrzymanych dotacjach dla Muzeum „Pamięć i Tożsamość” oraz hojnym wspieraniu antypolskich inicjatyw ze środków publicznych? O skandalicznej aferze pedofilsko-zoofilskiej w Kłodzku? O aferach finansowych i obyczajowych polityków koalicji? Już nawet świeżo ujawniony skandal z Michałem Kołodziejczakiem w roli głównej wydaje się przeszłością, bo w ciągu zaledwie kilku dni uruchomiono karuzelę nowych atrakcji. Te ostatnie wydarzenia stanowią doskonały przykład strategii przykrywkowej rządu.

HISTERIA I DEZINFORMACJA

Patrząc na kumulację ostatnich dni, można sądzić, że żyjemy w zbiorowej

eprasa.pl e047054f7a

psychozie. W sytuacjach awaryjnych Donald Tusk sięga po guzik strachu. Ale tym razem sprawa wymknęła się spod kontroli. Ataki nożowników w szkołach doprowadziły premiera do paniki.

Pierwszego dnia próbowano sprawę zbagatelizować. Minister Barbara Nowacka oświadczyła, że szkoła jest najbezpieczniejszym miejscem. Następnego dnia w jednej z nich doszło do mordu. Życie straciła pracownica jednej z placówek, pani Daria, która zapewne próbowała powstrzymać 15-letniego napastnika, zanim zranił kilka kolejnych osób. Premier rozpętał histerię i obarczył winą prezydenta. Powodem miało być zawetowanie ustawy naruszającej konstytucyjne wolności obywatelskie i wprowadzającej uznaniową cenzurę prewencyjną. Problem jednak w tym, że do rozpoznawania i ścigania przestępców nie potrzeba żadnych nowych przepisów. Wystarczy obecne prawo. Zastosowano je dokładnie dwa dni później wobec emeryta, który rzekomo nawoływał do zamachu na premiera. Wróćmy jednak do szkół.

Cała akcja była kolejnym crash testem oblanym przez rząd Tuska. Wojna hybrydowa trwa od tylu lat, że powinny istnieć elementarne procedury odpierania wszelkich form ataku. Były już podpalenia, wykolejenia pociągów, zatrucia ujęć wody, liczne ataki cybernetyczne. Na żadne z nich służby kierowane przez Marcina Kierwińskiego nie odpowiedziały adekwatnie. Teraz mamy działania terrorystyczne, które na świecie nie są zjawiskiem nowym. Ćwiczona jest przy okazji sprawność wywoływania paniki. Zdolność państwa do zapanowania nad chaosem okazała się zerowa. Do późnych godzin nocnych nie wydano klarownych komunikatów ani instruktaży dla samorządów, dyrektorów szkół i nauczycieli. Media społecznościowe zdominowała informacja o „krwawym piątku", którą sam premier uwiarygodnił wypowiedzią o trwającym rzekomo challenge'u. W rezultacie zamknięto blisko 50 szkół.

W każdym normalnym państwie prawa taki wstrząs stanowiłby impuls do chłodnej diagnozy, audytu służb i wdrożenia systemowych mechanizmów ochronnych. Co zrobił rząd Tuska? Uruchomił machinę manipulacji i emocjonalnego szantażu. Uderzył w prezydenta absurdalnymi zarzutami i wykorzystał histerię do uzasadnienia procedowanej w Sejmie antywolnościowej ustawy. Tymczasem potężna odpowiedzialność jest po stronie rządu.

Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego ostrzegała już pół roku temu. Raport ABW za lata 2024–2025 zwracał uwagę na zagrożenie radykalizacją młodzieży, która dokonuje się także za pośrednictwem komunikatorów, platform społecznościowych i środowisk gamingowych. Służby były jednak bardziej zajęte ściganiem opozycji niż tropieniem realnych zagrożeń. Co więcej, rząd Tuska w lipcu 2024 r. zlikwidował Centrum Prewencji Terrorystycznej ABW. Prawdopodobnie dlatego, że powstało za czasów rządów Zjednoczonej Prawicy. W ten sam sposób pozbawił państwo innych narzędzi rozpoznawczych, a za ich używanie ściga swoich poprzedników. Na komisję ds. Pegasusa wydano 6,5 mln zł. Jedynym jej efektem jest osłabienie bezpieczeństwa państwa.

ŁAŃCUCH PRZYKRYWEK

Donald Tusk, który sam wywołał histerię wokół szkół, dość szybko się zorientował, że jego postawa wcale sprawie nie pomaga. Wybuchła jednak afera związana z człowiekiem, którego on sam wypromował politycznie i któremu dał tekę wiceministra rolnictwa. Michał Kołodziejczak, oskarżony o skandal obyczajowy i narkotykowy, stał się więc sporym obciążeniem. Premier postanowił zatem przekierować uwagę na zagrożenia zewnętrzne. Zwołał naradę dotyczącą bezpieczeństwa, ale nie zadał sobie trudu, by się do niej przygotować, więc rzucił coś o agresji Minecrafta.

Tę żałosną wpadkę postanowiono przykryć czymś poważnym – planowanym zamachem na szefa rządu. Tyle tylko, że kilka godzin wcześniej Donald Tusk mając już wiedzę o zagrożeniu, spokojnie spacerował ulicami Warszawy. Ogniw w tym łańcuchu było znacznie więcej.

Informacja o zamachu miała także inny cel – mobilizację krakowskiego elektoratu. Ta wygrana była Koalicji Obywatelskiej niezwykle potrzebna. Miała podtrzymać przekonanie o słuszności działań. Porażka okazała się jednak porażająca. Łukasz Gibała zdobył ponad-20-procentową przewagę nad Moniką Piątkowską, a to oznacza zjednoczenie wyborców przeciwko kandydatce Tuska.

Ruszyły więc kolejne przykrywki. Z samego rana premier odpalił sprawę Pegasusa, co w obecnych okolicznościach wydaje się aktem politycznego samobójstwa. Gdy okazało się, że limit działań osiągnięto, rząd postanowił zorganizować skok na Trybunał Konstytucyjny i użyć przemocy wobec protestujących. Agresywny szturm nie przyniósł pożądanego skutku, ale przesunął kolejne granice i otworzył nowy front działań.

SPOIWO BEZPRAWIA

Atak na TK nie jest jedynie kolejną demonstracją siły władzy i wyrazem niechęci wobec prezydenta. To krok absolutnie przełomowy. Jest zamachem na państwo, dokonanym na podstawie wskazań obcych organów, działających poza granicami Polski. Stanowi przedostatni etap całkowitego przejęcia państwa przez tych, dla których polska racja stanu jest pojęciem obcym. Nowy układ sił w TK może spowodować cofnięcie poprzednich orzeczeń, np. tych, które potwierdzają wyższość prawa krajowego nad unijnym. Patrząc na oszalałe działania Tuska i Czarzastego, można spodziewać się wszystkiego – uznania prezydenta za niezdolnego do sprawowania swojej funkcji oraz przejęcia kontroli nad zasobami banku centralnego.

Jak to możliwe, że ta przemocowa koalicja, zlepiona z kilku podmiotów, nadal trzyma się przy władzy i od trzech lat niszczy państwo? Pomaga jej w tym zapewne solidne wsparcie Brukseli i Berlina, ale nie tylko. W niektórych środowiskach patologia i wzajemne haki stanowią wyjątkowo mocne spoiwo. Doktryna wzajemnego krycia, wyrażona przez Sławomira Neumanna, widoczna jest nieustannie. Kołodziejczak wpadł przecież dopiero wtedy, gdy zaczął krytykować rząd.

SOCJOTECHNICZNY ARSENAŁ TUSKA

Donald Tusk sprowadził swoje działania polityczne do ciągłego atakowa-

eprasa.pl e047054f7a

nia oponentów. Przed laty z pomocą mainstreamowych mediów wykreował przemysł pogardy i doprowadził go do perfekcji.

Ten tani socjotechniczny zabieg, określany przez ekspertów mianem polaryzacji afektywnej, polega na redukcji złożonych problemów społeczno-politycznych do emocjonalnego, plemiennego starcia. Zamiast rzeczowej debaty i racjonalnych argumentów trwają nieustający konflikt, ośmieszanie i obrażanie oponentów. Rozbudzenie zbiorowej nienawiści sprawia, że nie trzeba się rozliczać z obietnic wyborczych, wystarczy zemsta na PiS.

Zarządzanie samą koalicją również opiera się na brutalnym dyktacie i szantażu emocjonalnym. Tusk narzuca agendę przez polaryzujące wpisy i dzielenie sceny politycznej. Gdy którykolwiek z koalicjantów wyraża wątpliwości wobec siłowych rozwiązań, PR-owa machina natychmiast pozycjonuje go jako „miękiszona" lub „kryptopisowca". Kiedy patrzy się na kadry koalicji rządzącej, widać też innych: „miernych, ale wiernych". Selekcja negatywna oparta na tępej przewadze wyznawców ośmiu gwiazdek wyeliminowała eksperckość na rzecz ślepej lojalności miernych, ale bezwzględnych aparatczyków. Szerokie kompetencje społeczne, polityczne i naukowe ustępują wąskim zdolnościom podporządkowania się aż do użycia przemocy.

METODY MANIPULACJI

W normalnych warunkach siłowe przejmowanie instytucji budzi skrajną niechęć, zwłaszcza w takim kraju jak Polska, który wciąż pamięta komunistyczne zbrodnie. Tusk wypracował więc własne metody manipulacji, dzięki którym drastyczne naruszenia praworządności jeszcze nie doprowadziły do wcześniejszych wyborów. Stosuje w tym celu cztery kluczowe mechanizmy.

Pierwszy to redefinicja pojęć i retoryka „wyższej konieczności". Wejścia kordonów policji do organów konstytucyjnych są w przekazach dnia sprzedawane jako „przywracanie praworządności" i „uzdrawianie instytucji". Rząd zaszczepia wyborcom przekonanie, że „z autokratami nie można walczyć w białych rękawiczkach", co daje twardemu elektoratowi moralne alibi na akceptację bezprawia.

Drugi to totalna delegitymizacja przeciwnika. Zanim doszło do szturmu na Trybunał Konstytucyjny, przez lata odzierano tę instytucję z autorytetu. Sędziów konsekwentnie nazywa się „dublerami" czy „przebierańcami". W efekcie wyborca koalicji nie postrzega działań rządu jako ataku na państwo, lecz jako „sprzątanie nielegalnych bytów".

> Stosowany przez Tuska zabieg socjotechniczny, określany przez ekspertów mianem polaryzacji afektywnej, polega na redukcji złożonych problemów społeczno-politycznych do emocjonalnego, plemiennego starcia. Zamiast rzeczowej debaty i racjonalnych argumentów trwają nieustający konflikt, ośmieszanie i obrażanie oponentów

Trzecim filarem jest doktryna szoku i wizerunek sprawczości. Brutalność i tempo operacji siłowych mają sparaliżować opozycję i postawić ją przed faktem dokonanym. Widok kordonów policji ma być dla własnego elektoratu dowodem na „mocne przywództwo" i realne „rozliczenia".

Czwarty mechanizm jest poniekąd skutkiem wcześniejszych. Określany jest jako „gotowanie żaby" i oznacza normalizację nienormalności. Poprzez ciągłe rozbudzanie opinii publicznej sporem, doniesieniami o kolejnych komisjach, aresztowaniach i przejęciach, rząd doprowadził do przesunięcia granic dyskursu i politycznej przemocy. To, co jeszcze niedawno wywołałoby masowy sprzeciw, dziś staje się codziennością. Bulwersujące akcje pojawiają się z taką częstotliwością, że doprowadziły do obezwładnienia ludzi. Poczuli, że skoro i tak nie mają wpływu na rzeczywistość, muszą się wycofać z działań publicznych i ograniczyć zainteresowanie polityką, aby chronić swoje zdrowie i relacje rodzinne.

ZACIĘTA MACHINA DESTRUKCJI

Donald Tusk wie, że zarządzanie przez rozliczenia i utrzymywanie polaryzacji nie wystarczy. Jego rząd odnotowuje najgorsze wyniki w historii, finanse publiczne są w dramatycznym stanie, mamy najszybciej rosnący dług publiczny w UE, najwyższy kredyt zaciągnięty w euro pod pozorem wzmocnienia obronności, a agencja Moody's po raz pierwszy od 24 lat obniżyła rating Polski. Przedsiębiorcy wyjeżdżają z kraju, bezrobocie rośnie.

W tych warunkach rząd musi szukać kolejnych socjotechnicznych sposobów na zyskanie poparcia. Tusk sięga więc po to, co potrafi najlepiej – zastraszenie. Straszy więc nadciągającą wojną, powołuje się na nieistniejące „tajne raporty CIA", a rząd rozsyła alerty ewakuacyjne, myląc przy tym województwa oddalone od siebie o 600 km. Nie można wykluczyć, że wzmacnianie zagrożenia może służyć wprowadzeniu stanu wyjątkowego, który pozwoli przesunąć termin wyborów.

Wszystko jednak wskazuje na to, że ten teatr nie działa. Machina manipulacji powoli zaczyna się zacinać. W mikroskali pokazały to wybory w Krakowie. Spektakularne zwycięstwo Łukasza Gibały świadczy o tym, że wyborcy jednoczą się ponad podziałami, byle tylko odsunąć od władzy ludzi Tuska. Tak ogromnej przewagi nie przewidywały nawet najśmielsze sondaże. To ważny sygnał dla całej Polski. Oznacza, że ogólnopolskie badania opinii także są niedoszacowane. Patologiczne kłamstwo, manipulacja i toksyczna dominacja są być może skuteczne, ale nie na długo.

eprasa.pl e047054f7a





MACIEJ WALASZCZYK

Rozwój Plus na minusie

Formacja byłego premiera balansuje na granicy progu wyborczego, podążając śladem wcześniejszych rozłamów. Obrana taktyka ujawniła, że Mateusz Morawiecki jest raczej menedżerem wplątanym w politykę. PiS zyskuje na polaryzacji, bo prawdziwym wrogiem Tuska jest partia Kaczyńskiego

Pod koniec 2017 r., gdy okazało się, że Mateusz Morawiecki zastąpi Beatę Szydło na stanowisku szefa rządu, wiadomość ta bardzo ucieszyła Władysława Frasyniuka. Były polityk Unii Wolności, ale też znający Morawieckiego z czasów opozycji antykomunistycznej, wieszczył, że przyspieszenie jego kariery doprowadzi do konfliktu, który zaszkodzi Prawu i Sprawiedliwości oraz Jarosławowi Kaczyńskiemu. Pomijając osobiste złośliwości, do których posuwał się Frasyniuk, jego przepowiednia była trafna.

Konflikt w partii tlił się od wielu lat, a jedną z jego przyczyn były wielkie ambicje rozbudzone w byłym premierze kreowanym na nowego lidera PiS. W lipcu br. ten ambicjonalny spór został ostatecznie zdetonowany. Nie było w tym wielkiego zaskoczenia, bo ludzie z grupy byłego premiera od dawna planowali „iść na swoje". Nie zaakceptowano wysunięcia Przemysława Czarnka na potencjalnego kandydata na szefa rządu, oczekując zmian w partyjnej hierarchii. Akcji tej towarzyszył tzw. grill u Morawieckiego, rodzaj konferencji programowej, służącej przeliczeniu szabel i demonstracji własnej siły.

Fot. Rozwój Plus/Facebook

eprasa.pl e047054f7a

Efekt nowości oczywiście wzbudzał zainteresowanie, także u części zaniepokojonego elektoratu PiS. Ale, jak można było przewidywać, szybko zwietrzał. W sondażu United Surveys dla Wirtualnej Polski, przeprowadzonym w pierwszych dniach października, Rozwój Plus uzyskał 5,7 proc. poparcia, sytuując się obok Lewicy oraz Konfederacji Korony Polskiej. Ale już według październikowego sondażu CBOS inicjatywa ta może liczyć na 3,8 proc., maksymalnie 4 proc. poparcia. Żadna fala, czy nawet dyskretny prąd, już jej nie ciągnie do przodu, a stateczek wypełniony współpracownikami Morawieckiego brnie przez mielizny głównego nurtu polityki, faktycznie uczestnicząc w konfrontacji PiS z KO.

MENEDŻER ZAPLĄTANY W POLITYKĘ

Po kilku miesiącach od rozłamu ugrupowanie nie umocniło swojej pozycji, koncentrując się na budowie wizerunku partii środka, siły reformatorskiej. Program oparty na hasłach rozwojowych miał wzbudzać energię potencjalnych działaczy oraz zwolenników i być akceleratorem budowy, niemal na gruzach PiS, formacji mogącej samodzielnie wystartować w wyborach.

Zastosowano dokładnie te same chwyty, które eksploatowano przez niemal sześć lat premierostwa. Jednak mieszanka technokratycznego języka w rodzaju „przyszłość zaczyna się od działania", czasem sprzeczne pomysły serwowane w kostiumie pragmatycznej prawicy, na dłuższą metę nie zadziałały. To, co było skuteczne jeszcze rok po wyborach, np. próba budowy ponadpartyjnych mostów wokół CPK i szeroko rozumianej modernizacji, wypełniło tylko na chwilę pauzę wakacyjnego sezonu ogórkowego, ostatecznie ulatniając się. Bo tym, co zelektryzowało media, tak ochoczo wspierające inicjatywę byłego premiera, był po prostu głośny rozłam w głównej partii opozycyjnej i nadzieja na rozbicie duopolu KO-PiS, dające w takim układzie przewagę partii Tuska. Nie mówiąc o tak prozaicznym fakcie, jak wymierzenie ciosu prezesowi Kaczyńskiemu przez polityka zawdzięczającego mu karierę.

Im szybciej życie polityczne wracało z wakacji, swoją siłę ujawniły brutalne mechanizmy polaryzacyjne. Mimo zapewnień, że nie będzie żadnych porozumień z Tuskiem, politycy Rozwoju Plus uzyskali od niego blokowane dla PiS stanowisko wicemarszałka Sejmu. Przyjęcie go z rąk koalicji rządowej zostało więc odebrane jako nagroda za rozłam.

W atmosferze ostrej konfrontacji wyborcy prawicy coraz częściej traktują stowarzyszenie Morawieckiego jako grupę pomocników Tuska. U wielu z nich rozłam uprawdopodabnia też kontynuację rządów KO i jej satelitów, o czym nie chcieliby słyszeć.

MITYCZNY WYBORCA Z CENTRUM

Rozwój Plus zamierza więc pozyskiwać wyborców środka, niezdecydowanych czy rozczarowanych dotychczasową sceną polityczną. Pozornie ma to sens, ale faktycznie około połowa jego potencjalnych wyborców rekrutuje się ze zwolenników PiS i prawicy. Tymczasem największym problemem PiS było to, że popularny premier jednocześnie skupiał na sobie niechęć sporej części wyborców, którzy zaczęli odpływać do Konfederacji. Trwało to od lat. Zasilili ją w 2019 r., a potem zwiększyli jej potencjał w październiku 2023 r.

Dziś więc „poszukiwanie nowej dynamiki na prawicy" okazało się raczej sentymentalnym odgrzewaniem politycznej energii z lat 2015–2019, tej sprzed pandemii i wojny w Ukrainie. Zanim Morawiecki zaczął się kojarzyć z radykalnymi decyzjami, takimi jak zamknięcie lasów, z falą ukraińskich uchodźców, inflacją, fatalnym w skutkach Polskim Ładem czy porażką w starciu z Unią Europejską w sprawie KPO.

Wśród potencjalnych wyborców Rozwoju Plus są też osoby, które wcześniej popierały Trzecią Drogę, na co zwróciła uwagę także „Gazeta Wyborcza", niepokojąc się, że każdy procent utracony w centrum jest egzystencjalnym problemem dla PSL. Dlatego już teraz chętnie reanimowałoby przed wyborami pomysł Trzeciej Drogi. Bo, jak się okazuje, popularność wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza jest raczej wykreowana przez media i zupełnie nie ma odzwierciedlenia w sondażowych wynikach ludowców. By jeszcze zagmatwać problem, dodatkowo 1,5 proc. zwolenników formacji Morawieckiego ma też wywodzić się ze środowiska Konfederacji.

LIFTING PROGRAMOWY

To zmusiło środowisko Rozwoju Plus do nerwowego antyszambrowania w dość różnych elektoratach czy grupach potencjalnych działaczy. Bo dziś drzwi do stowarzyszenia są otwarte dla wszystkich niczym dla klientów w supermarkecie. Czasem czuć w tym marketingową desperację, jak w podnoszonych przez byłego premiera całkiem słusznych pomysłach, by w końcu opodatkować sektor bankowy od nadmiarowych zysków w Polsce. Można by pomyśleć, że jest to jeden z fejkowych postów wygenerowanych przez AI, od jakich roi się w mediach społecznościowych. Bo towarzyszące temu postulatowi odgrażanie w tonie: „Banki okradają polskie rodziny! Rozwój Plus z tym skończy! Zabierzemy 20 mld zł z kieszeni banksterów i zwrócimy je Polkom i Polakom!", brzmi w ustach byłego prezesa Banku Zachodniego WBK nie tyle niewiarygodnie, ile niepoważnie. Nawet gorzej orientujący się w polityce wiedzą, czym zajmował się Morawiecki, zanim został premierem. Taka retoryka sprawia wrażenie desperackiej próby odcięcia się Morawieckiego, lidera opozycyjnej grupy, od byłego premiera Morawieckiego.

Sposobem na zapaść demograficzną według formacji Morawieckiego mają być bodźce socjalne. Pensja rodzicielska i emerytalna składka rodzinna. Szczególnie ten pierwszy pomysł, widziany jako powszechne świadczenie w wysokości pensji minimalnej 4806 zł brutto, łączony z dochodem z pracy i obecnymi świadczeniami, wygląda rewolucyjnie. Znów proponowana składka ma pokazać zależność między dziećmi i rodzicami, by pracujące dzieci finansowały w widzialny sposób emerytury rodziców, którzy ponieśli koszty wychowania, na zasadzie im więcej dzieci, tym wyższa możliwa emerytura. To bardzo ciekawe propozycje.

eprasa.pl e047054f7a

Tylko dlaczego pomysł pensji rodzicielskiej nie znalazł się w programie tzw. dwutygodniowego rządu, utworzonego po wyborach 2023 r.? Bo był na stole i miał być jednym z głównych punktów exposé wygłoszonego wówczas przez premiera. Niestety, nie został wzięty na sztandar, ustępując wizji o minimalnym dochodzie gwarantowanym.

Były premier, jadąc slalomem od prawicy do lewicy, postanowił powielić za Yuvalem Hararim i radykalną lewicą propozycje z gatunku politycznych fikcji. Na pewno nie mógł być to ukłon w stronę wyborców skłonnych głosować i na PiS, i na Konfederację, ani dla elektoratów PSL czy liberalnego centrum, mającego alergię na socjalne eksperymenty. Jednak dziś premier, który był przez pewien czas bezradny wobec importu ukraińskich produktów spożywczych, w tym zboża, i który wpakował się w tzw. piątkę dla zwierząt, w pośpiechu odkurza hasła o bezpieczeństwie żywnościowym i rodzinnych gospodarstwach rolnych. Obecni na Ogólnopolskim Forum Rolniczym w Wielkopolsce m.in. Gabriel Janowski, byli działacze Samoobrony czy Jan Krzysztof Ardanowski także byli kolejnym dowodem na polityczną desperację Rozwoju Plus, by w tym przypadku odnaleźć drogę do wyborców PSL zniechęconych poczynaniami koalicjantów Tuska.

Podobnie było z propozycją zakazu wpuszczania do Polski imigrantów obcych kulturowo i nieskłonnych do asymilacji. Pojawiły się nawet słuszny postulat bezwarunkowej integracji kulturowej pod rygorem deportacji i konieczność uzyskania specjalnego certyfikatu Polaka. Tu znów pobrzmiewały refreny z wystąpień działaczy Konfederacji, ale też echa propozycji złożonych w sierpniu przez Tobiasza Bocheńskiego w imieniu PiS.

NIEPEWNE MANDATY POSELSKIE

„Mamy zamiar iść samodzielnie. Przygotowujemy się do samodzielnego startu" – zapowiedział Mateusz Morawiecki w kolejnym już wywiadzie w Kanale Zero, konsekwentnie lansującym nowe ugrupowanie. Choć jest jeszcze kilku posłów poza klubem PiS, którzy być może znajdą się w jego orbicie, fakt jest taki, że dziś spośród 40 parlamentarzystów tworzących klub stowarzyszenia większość nie ma szans na odnowienie mandatu. Nawet przy wyniku sięgającym 7–8 proc., który przy obecnej dynamice politycznej jest celem nieosiągalnym.

Do tego na listach będzie konkurencja, gdyż ugrupowanie werbuje w samorządach. Za trzy lata wielu wójtów i burmistrzów nie będzie mogło kontynuować swojej kariery politycznej na stanowiskach, które zajmowali latami. Teoretycznie dla wielu z nich lista Rozwoju Plus byłaby drzwiami, przez które mogliby prześliznąć się do krajowej polityki, mieć współudział w rządzeniu, obejmowaniu stanowisk i dzieleniu się wpływami. Po to przecież zorganizowano Ogólnopolskie Forum Samorządowe w Tomaszowie Mazowieckim, by zorientować się, na ilu z nich Morawiecki mógłby liczyć. Miejscem werbunku są tu głównie sejmiki wojewódzkie i możliwość włączenia się do rządzących koalicji, powiaty, gminy oraz miasta z drugiej ligi lub miasteczka. A więc to głównie miejsca, w których głosowano na PiS, ale też na obie Konfederacje, PSL i partię Szymona Hołowni. Co oznacza desperackie poszukiwanie poparcia w elektoracie centroprawicowym i radykalnym jednocześnie.

> W atmosferze ostrej konfrontacji wyborcy prawicy coraz częściej traktują stowarzyszenie Morawieckiego jako grupę pomocników Donalda Tuska. U wielu z nich rozłam uprawdopodabnia też kontynuację rządów KO i jej satelitów, o czym nie chcieliby słyszeć

– Wszyscy spotkamy się i tak na jednej liście, której prawdopodobnie patronował będzie prezydent. Ale wtedy liderem i kandydatem na premiera będzie prawdopodobnie Zbigniew Bogucki – komentuje jeden z polityków PiS.

POLARYZACJA SPRZYJA DUOPOLOWI

Możliwych scenariuszy jest dziś wiele, ale Rozwój Plus wpadł w sidła własnych ambicji. Bo w tym samym czasie Donald Tusk radykalnie zaostrzył kurs na konfrontację, ożywił spektakl rozliczeń, wzbudzania wojennej grozy, nasiliła się brutalizacja języka, nie tylko wobec PiS, lecz także prezydenta Karola Nawrockiego.

Złożona przez Rozwój Plus propozycja konstytucyjnego resetu w Trybunale Konstytucyjnym poległa podczas ślubowania Macieja Berka w Sejmie i siłowej próby przejęcia Trybunału Konstytucyjnego przez rząd. W takiej sytuacji kreacja pragmatycznej i modernizacyjnej prawicy, wizje przyszłości i sprawczości, schodzą na dalszy plan. I stają się publicystyką. Zdaje się, że wyborcy też stracili tym zainteresowanie, wracając na wykopane przez 20 lat pozycje. To, co mogło się sprawdzić w zarządzaniu firmą czy dużą strukturą korporacyjną, nie działa w polityce i chaotycznej demokratycznej walce.

Do wyborów pozostał rok i pewne jest tylko to, że linie podziału biegnące według linii polaryzacji będą jedynym obszarem sporu. PiS – zaplątane we własne nogi i początkowo osłabione rozłamem – zmuszone zostało do nowego określania celów programowych oraz przegrupowania, i paradoksalnie się wzmocniło. Przy okazji porzuciło dużą część balastu kojarzonego z byłym premierem oraz ostatnim okresem jego rządów. Rozłam zatrzymał też dalszy potencjalny odpływ elektoratu PiS do obu Konfederacji.

eprasa.pl e047054f7a

Za złudne obietnice bezpieczeństwa żądają daniny z naszej wolności

Aby ponownie uchwalić najbardziej kontrowersyjne przepisy cenzorskie, Sejm cynicznie wykorzystał „krwawy piątek" i strach, który rozlał się po kraju. Faktycznie stosując wobec głowy państwa szantaż: jeżeli tego nie podpiszesz, to znaczy, że chcesz, aby nożownicy zabijali nasze dzieci

Z adwokatem Jerzym Adamem Kwaśniewskim, prezesem zarządu Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, rozmawia Jerzy Szmit

Ma pan sześcioro dzieci. Co się dzieje w polskich szkołach? Ataki nastoletnich nożowników – to już wiemy. Ale skąd to się wzięło?

Jerzy Adam Kwaśniewski: Oczywiście te ataki wywołują bardzo poważne zaniepokojenie. Tyle osób ucierpiało, kobieta została zamordowana. Widzę też bardzo szeroką falę dezinformacji: straszenie dzieci, czego doświadczyłem, obserwując reakcje moich dzieciaków. Ofiarami podbijania napięcia padają najbardziej wrażliwi użytkownicy infosfery, czyli młodzi w wieku 10–15 lat. Zabrakło rozwagi, kiedy potrzeba było spokojnej reakcji ze strony systemu oświaty i rządu.

Padły zapowiedzi, że w szkołach będzie więcej psychologów i policji.

Nie chciałbym, żeby wskutek zbiegu kilku tragicznych incydentów przekształcić nasze szkoły, na wzór francuski, w otoczone zasiekami twierdze. Tym bardziej że policja pokazała daleko idącą skuteczność, uderzając w głównych prowodyrów paniki, którzy doprowadzili do fali strachu i inspirowali przemoc. To pokazało, że organy ścigania mają właściwe narzędzia. W takich sytuacjach trzeba unikać politycznego rwetesu i tonować nastroje. Z pewnością to jest też moment, w którym trzeba szczególnie patrzeć na ręce rządzących. Oni często wykorzystują nasz lęk, by za złudne obietnice bezpieczeństwa żądać daniny z naszej wolności.

W ten fatalny piątek rząd, w atmosferze histerii, przeprowadził przez Sejm ustawę o usługach cyfrowych, która według autorów ma chronić przed szkodliwym wykorzystaniem internetu.

W styczniu tego roku prezydent Karol Nawrocki zawetował pierwszą próbę wdrożenia przepisów cenzorskich, zwracając przy tym uwagę wielu Polaków na poważny problem, jakim jest unijna próba kontroli treści w internecie. Aby ponownie uchwalić najbardziej kontrowersyjne przepisy cenzorskie, Sejm cynicznie wykorzystał „krwawy piątek" i strach, który rozlał się po kraju. Faktycznie stosując wobec głowy państwa szantaż: jeżeli tego nie podpiszesz, to znaczy, że chcesz, aby nożownicy zabijali nasze dzieci. Mam wielką nadzieję, że prezydent nie ulegnie, a politycy uciekający się do takich metod zostaną rozliczeni podczas najbliższych wyborów.



Fot. Materiały prasowe

Jednocześnie mamy ograniczanie czy wręcz eliminowanie religii i etyki ze szkół, czyli swego rodzaju bezpiecznika chroniącego młodzież przed uleganiem szkodliwym presjom.

Tak, mimo że od lat mówiono, iż trzeba wprowadzić obligatoryjność wyboru pomiędzy religią a etyką. Po to, żeby każdy uczeń w Polsce przeszedł podstawowy kurs obiektywnej nauki o tym, co jest dobre, a co jest złe. Rząd atakuje religię, ale też etykę, i daje sygnał, że są bezwartościowe: nie liczą się do średniej, wymiar godzin jest zmniejszony, umieszcza się je na ostatniej albo pierwszej lekcji. Trybunał Konstytucyjny każdy z tych ataków, w osobnych orzeczeniach, uznawał za naruszenie ustawy zasadniczej. Rząd żadnego z tych wyroków nie opublikował i drwi z naszego prawa do religijnego wykształcenia dzieci. Na szczęście społeczeństwo obywatelskie wzięło sprawy w swoje ręce i pod opracowanym przez Instytut Ordo Iuris projektem ustawy „Tak dla religii, tak dla etyki" działacze Stowarzyszenia Katechetów Świeckich zebrali 700 tys. podpisów. To dowód na to, że ludzie przejmujący się oświatą chcą odbudowania prawdziwych fundamentów edukacji.

Czy należy wprowadzić zakaz smartfonów w szkole?

Z dużym zadowoleniem obserwuję te działania rządu, które zmierzają do wprowadzenia częściowego zakazu używania smartfonów w szkołach. Już w 2018 r. proponowaliśmy takie ograniczenia. Nie chcieliśmy całkowitego zakazu i proponowaliśmy, aby tę sprawę w każdej szkole regulowali wspólnie rodzice, nauczyciele i dyrekcja. Również nasza inicjatywa „Stop Narkotykowi Pornografii" została podjęta przez wiceministra cyfryzacji Michała Gramatykę, który przygotował w tej sprawie warty dalszych prac projekt ustawy. Szkoda, że on gdzieś utknął. Najwyraźniej zabrakło woli politycznej, by chronić dzieci przed deprawacją i uzależnieniem od porno.

Od pierwszych dni obecny ośmiogwiazdkowy rząd demoluje porządek konstytucyjny i tworzy chaos prawny. Gdzie są tego granice?

Rząd z pełną determinacją wdraża doktrynę demokracji wojującej. W jej świetle można złamać każdą gwarancję ustrojową i konstytucyjną, jeżeli czyni się to pod parasolem ochronnym międzynarodowego środowiska „demokratów". Dlatego jednoznacznie negatywnie oceniam opinię Komisji Weneckiej w sprawie prerogatyw prezydenckich dotyczących wyboru sędziów Trybunału Konstytucyjnego. To jest gremium doradcze, bez umocowania do wypowiedzi w sprawach uregulowanych ustrojowo. Opinia, która uderza w prezydenckie prerogatywy, nawet jeżeli merytorycznie nieuzasadniona, propagandowo jest rządowi bardzo przydatna. Stała się paliwem do siłowych rozwiązań wobec TK. Wsparcie zagranicy przychodzi zatem dokładnie wtedy, gdy rząd dojrzał do eskalacji bezprawia w celu zabezpieczenia ludzi władzy na wypadek przegranych wyborów, a może nawet w celu niedemokratycznego uderzenia w prezydenta i opozycję.

> Rząd, który łamie konstytucję, opierając się na krajowych i zagranicznych opiniach, niszczy samą tkankę praworządności, odbiera nam kapitał zaufania do państwa i prawa

W sferze programowej agenda rządu jest skrajnie lewacka: aborcja na życzenie, związki jednopłciowe, edukacja seksualna w szkołach, zielone absurdy w energetyce i ochronie przyrody. A nowe pomysły mogą się pojawić?

Najbardziej trwałą destrukcję widzimy w trzech obszarach: ochronie życia, małżeństwie i edukacji. Bezprawnie wprowadzono aborcję na życzenie. Najbardziej odrażającym działaniem środowisk aborcyjnych są abortomaty, Aborcyjny Dream Team, zabijanie dzieci w trakcie porodu czy klinika aborcyjna na wprost Sejmu i z przyzwoleniem policji. Chodzi o normalizację aborcji w Polsce, gdzie ochrona życia jest standardem etycznym i ustrojowym od 30 lat. Dzisiaj jest on podważany za pomocą bezprawnych wytycznych rządowych. Równym temu pogwałceniem Konstytucji jest wpisywanie do polskich akt stanu cywilnego zagranicznych związków jednopłciowych. Pociąga to za sobą łamanie sumień pracowników Urzędów Stanu Cywilnego, a minister Andrzej Domański bezprawnie wydaje interpretacje ogólne, przyznające takim układom przywileje podatkowe. Trzeci obszar to znowu niekonstytucyjny atak na religię w edukacji, wprowadzenie obligatoryjnej edukacji zdrowotnej z całym bagażem ideologicznych treści. Rząd posuwa się nawet do przymusowego sterowania dietą dzieci... w imię dbałości o światowy klimat.

Jaki jest mechanizm wprowadzania tych pomysłów?

Zwykle próbuje się to robić ustawowo. Jednak na tym poziomie rząd często przegrywa. W sprawie aborcji nie potrafi zebrać większości, w sprawie związków partnerskich potyka się o weto prezydenckie, w wypadku edukacji zdrowotnej napotyka masowy opór społeczny, bo 80 proc. rodziców wypisuje dzieci z przedmiotu. Wtedy władza dociska zmiany bezprawiem i przymusem. W przypadku aborcji – wydając nieznane konstytucji wytyczne aborcyjne, w przypadku związków jednopłciowych – wprowadzając poza systemem transkrypcję, w edukacji zdrowotnej – zarządzając obligatoryjność.

Jednocześnie widać brak reakcji ze strony dużej części środowiska prawniczego.

Skutkuje to ogromnym upadkiem autorytetu prawa i prawników. Jeżeli każdy absurd może zostać poparty profesor-

eprasa.pl e047054f7a

skimi opiniami, to szerzy się bolesne przeświadczenie, że prawnicy napiszą wszystko za pieniądze. Co gorsza, wchodzą w grę nazwiska, które do tej pory cieszyły się szacunkiem i zapewniały pewne poczucie bezpieczeństwa i stabilności. Rząd, który łamie konstytucję, opierając się na krajowych i zagranicznych opiniach, niszczy samą tkankę praworządności, odbiera nam kapitał zaufania do państwa i prawa.

Bez reakcji?

Jest odpowiedź. Po raz pierwszy w III RP mamy mobilizację patriotycznych środowisk prawniczych. Widzimy rozwój organizacji zrzeszających sędziów, adwokatów, radców prawnych, komorników, prokuratorów stających po stronie patriotycznej suwerenności. Jest już szeroka koalicja z Trybunałem Konstytucyjnym na czele w obronie praworządności, gdzie te organizacje zrzeszające konkretnych prawników pokazują, że coś się zmieniło. Prawnicy wierni dobru wspólnemu wreszcie zabrali głos, stali się obecni w debacie publicznej.

Stoi pan na czele Fundacji Instytutu na rzecz Porządku Prawnego Ordo Iuris. Jak biblijny Dawid podejmujecie walkę z Goliatem. Czy ten Dawid potrafi wygrywać?

Zawodowy profesjonalizm i wytrwałość przynoszą efekty. Opracowujemy projekty ustaw, piszemy ekspertyzy, opinie. Ponadto dajemy wsparcie procesowe ofiarom niesprawiedliwości. Stawiamy opór gigantom rewolucji obyczajowej i destrukcji państwa. To wywołuje reakcję. Kilka dni temu francuska eurodeputowana, była minister ds. europejskich w rządzie Emmanuela Macrona, próbowała wpisać Ordo Iuris do rezolucji wymierzonej przeciwko islamskiej infiltracji Europy – jako przykład strasznej siły katolickich struktur. Poprawkę oczywiście odrzucono, ale to pokazuje stan umysłu naszych oponentów.

To chyba wyraz uznania dla Ordo Iuris?

Specyficzny i niejedyny. W tym samym czasie w Brukseli opublikowano 500-stronicowy raport grup LGBT+, finansowany przez Komisję Europejską i wymierzony w organizacje konserwatywne w UE. Blisko 70 razy wymieniono nazwę Instytutu Ordo Iuris, co lokuje nas pośród trzech organizacji opisywanych jako szczególnie niebezpieczne i posiadające struktury międzynarodowe, skutecznie uderzające w politykę LGBT+ i gender. Pomyśleć, że polska organizacja, budowana z drobnych składek polskich rodzin, może aż tak przerażać lewicowych potentatów.

Instytucje Unii Europejskiej wywierają coraz silniejszą presję na Polskę i próbują nas pozbawić suwerenności. Pojawiają się przy tym dwa hasła: „praworządność" i „warunkowość".

Od 1 stycznia 2028 r. w Unii będzie obowiązywał nowy budżet. Mechanizm warunkowości będzie dotyczył każdego funduszu europejskiego. Musimy się liczyć z tym, że nowo wybrany polski rząd, który obejmie stery państwa w listopadzie 2027 r., po 1 stycznia 2028 r. usłyszy, że jego projekty oraz przywracanie ładu prawnego i społecznego w Polsce są niepraworządne. Wobec tego od 1 lutego nastąpi np. wstrzymanie dopłat dla rolników, a polscy studenci z Erasmusa będą musieli wracać do kraju. To, czego doświadczaliśmy przy KPO, obejmie wszystkie fundusze UE. To ma być broń atomowa, która będzie mogła zniszczyć każdy rząd.

Do tego cenzorski, jednolity akt o usługach cyfrowych.

Tak, to unijne rozporządzenie wprowadza mechanizmy eliminowania z debaty publicznej głosów niezgodnych z ideą skrajnie lewicowej centralizacji Unii. Do tego w nowym budżecie ramowym już od 1 stycznia 2028 r. do lewicowych organizacji i mediów ma trafić 9 mld euro. Znaczna część do Europy Środkowej. Dziś przewaga finansowa tych sił nad konserwatywnymi i suwerennościowymi jest w relacji sześć do jednego, a będzie 36 do 1.

Co zatem robić?

Tworzyć program naprawy państwa i liczyć, że pojawi się okienko możliwości międzynarodowych. Przed nami wybory we Francji i w Hiszpanii. Jest szansa, że zwyciężą tam ugrupowania i kandydaci patriotyczni. Jeżeli dodamy do tego Włochy i, daj Boże, Polskę, to okienko możliwości może się pojawić. I będzie też możliwość reformy całej Unii.

Jakie inne działania podejmuje Ordo Iuris?

Szykujemy plan naprawy państwa dla przyszłej koalicji. Mówimy o odzyskaniu w możliwie dużym stopniu suwerenności w stosunku do UE, o polityce migracyjnej, Zielonym Ładzie, polityce energetycznej, uporządkowaniu systemu prawnego. Pracujemy także nad instrumentami, które umożliwią Polakom reformy w obszarze rodziny, demografii i ochrony życia.

Ostatnio odmówiliście przyjęcia kilkumilionowego wsparcia z Departamentu Stanu USA.

Mamy wielu przyjaciół w Ameryce i liczne pola współpracy, ale chcemy być partnerami, a nie filią, podwykonawcą polityki rządu USA. Jesteśmy niezależnym think tankiem utrzymywanym przez polskie rodziny. Nie akceptowaliśmy żadnego wsparcia od polskiego, konserwatywnego rządu ani od spółek Skarbu Państwa. Tym bardziej nie możemy zaakceptować pieniędzy obcego rządu.

Macie też siłę, aby codziennie bezpośrednio walczyć o wartości dla was i dla polskich rodzin ważne.

Traktujemy poważnie to, co głosimy. Dlatego stajemy przed sądem, gdy trzeba bronić konkretnej rodziny, której zabierają dzieci. Bronimy lekarza zwalnianego za odmowę aborcji, profesora albo pracownika IKEI usuwanego za głoszone poglądy. Robimy z tego sprawę głośną na cały kraj. Pokazujemy, że ktoś stoi w obronie normalności. Przywracamy prawo, któremu można zaufać. Dajemy poczucie siły tym, którym wmawiano bezsilność wobec lewicowej presji.

eprasa.pl e047054f7a

Efekt Tuska



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Schizofrenię rządów Tuska można zauważyć wszędzie, choćby na warszawskiej ulicy. Z jednej strony mamy osiedla luksusowych apartamentowców i setki drogich samochodów, a z drugiej widzimy ludzi grzebiących w śmietnikach w poszukiwaniu kaucyjnych butelek

Gdyby poczytać suche statystyki, to można by pomyśleć, że Polska pod rządami Donalda Tuska jest rajem na Ziemi. Bo oto bijemy się o wejście do grona dwudziestu największych gospodarek świata, PKB idzie w górę szybciej, niż się spodziewano, a liczba polskich miliarderów rośnie jak na drożdżach.

W ciągu ostatnich pięciu lat liczba osób z majątkiem przekraczającym 30 mln dol. wzrosła w Polsce aż o 109 proc., co – według niektórych wyliczeń – jest światowym rekordem. Z danych brytyjskiej firmy Knight Frank wynika, że podczas gdy w 2021 r. było u nas 1442 dolarowych multimilionerów, to w br. ich liczba skoczyła już do 3017. Wszystko wskazuje na to, że ten trend utrzyma się w kolejnych latach. Jak pisze serwis Money.pl, „do 2031 r. liczba ultrabogatych Polaków może zbliżyć się do 4900. Oznaczałoby to niemal jedną nową osobę w tej grupie każdego dnia. Analitycy przewidują szybszy wzrost jedynie w Indonezji i Arabii Saudyjskiej. W tym samym okresie liczba polskich miliarderów ma zwiększyć się z 13 do 29". To oznacza skok liczby miliarderów aż o 123 proc. w stosunku do br.

STATYSTYCZNE BOGACTWO

Zasobność Polski budzi podziw w europejskich mediach. „Svenska Dagbladet" zachwyca się, że w Warszawie otwarto salon luksusowych samochodów Maybach. Drugi taki salon działa w Szanghaju, w którym mieszka ponad 90 miliarderów. O sukcesie Polski ma także świadczyć rekordowa sprzedaż aut Rolls-Royce'a. Nic więc dziwnego, że do wejścia na nasz rynek szykują się McLaren i Aston Martin. Nabywcy tych pojazdów będą mogli wybierać materiały wykończeniowe nawet z 24-karatowego złota. „Jeszcze kilka lat temu nikt nie mówił o Polsce w kontekście dóbr luksusowych, a teraz ten rynek dynamicznie rośnie" – pisze szwedzki dziennik. Rzeczywiście, gdyby spojrzeć tylko na sprzedaż najdroższych marek samochodów, to Polska bije rekordy sprzedaży. Według danych z 2025 r. co cztery dni na polskie drogi wyjeżdża nowe Ferrari.

Różnie tłumaczy się nagły wzrost liczby milionerów w Polsce. Jedni twierdzą, że to skutek umocnienia się złotego względem dolara. Inni uważają, że w tak zubożałym kraju, jakim przez dziesięciolecia była Polska, próg startu do wyścigu o bogactwo jest zawieszony znacznie niżej niż w państwach, w których wielkie majątki kumulowały się od dawna.



eprasa.pl e047054f7a

Oczywiście do tych najbogatszych ciągle nam wiele brakuje, bo w Polsce prywatnego kapitału nadal jest niewiele. Chodzi raczej o to, że ten, który u nas jest, znajduje się w bardzo nielicznych rękach.

Statystyki są jednak – w zależności od tego, co i jak czytamy – bardzo optymistyczne. Oto rosną nam np. wskaźniki konsumpcji, która w ub.r. sięgnęła już 86 proc. średniej unijnej. Ankiety wskazują też, że 67 proc. Polaków dobrze ocenia własną sytuację materialną.

Gdyby jednak pogrzebać głębiej, okaże się, że konsumpcję napędzają rosnące wydatki (a więc wyższe ceny) i z tego powodu coraz więcej osób musi korzystać z kredytu (a zatem rośnie zadłużenie). Przeciętny Polak nie posiada także zbyt wielu rezerw w gotówce, bo jego bogactwo to najczęściej dom lub mieszkanie wykupione na własność, samochód oraz – rzadziej – biżuteria. Trudno więc mówić, że jesteśmy społeczeństwem krezusów. Większość to raczej ci, którzy wprawdzie nie przymierają głodem, ale też nie mogą sobie pozwolić na jakąkolwiek rozrzutność.



O realnej zamożności Polaków najlepiej świadczy to, że mediana zarobków wynosi u nas 7,5 tys. zł brutto, co daje – w zależności od umowy – ok. 5,5 tys. zł na rękę. Każdy może więc ocenić, ile można za to kupić i czy rzeczywiście jest to kwota pozwalająca na komfortowe życie. Wiele o realnym bogactwie polskiego społeczeństwa mówi również to, że osoby zarabiające powyżej 15 tys. zł brutto (ponad 10 tys. zł netto) na umowie o pracę wchodzą już do grona 10 proc. najbogatszych Polaków.

JAK ŻYĆ, PANIE PREMIERZE?

To, jak widać, mocno statystyczne bogactwo ma także swoje drugie oblicze. Z roku na rok powoli, ale konsekwentnie, poszerza się bowiem sfera ubóstwa. Przy czym nie chodzi o tzw. skrajne ubóstwo – a więc życie poniżej minimum egzystencji – lecz o ubóstwo relatywne, pokazujące, ile osób żyje poniżej średniego standardu życia w danym społeczeństwie.

W 2025 r. w ubóstwo relatywne wpadło w Polsce 13,5 proc. ludności, co stanowi niewielki, lecz pogłębiający się wzrost w stosunku do poprzednich lat. Najlepszy pod tym względem był 2022 r., ale od kolejnego roku sytuacja zaczęła się pogarszać i dziś cofnęliśmy się do poziomu z 2016 r. Wszystko też wskazuje na to, że będzie coraz gorzej, a ludzi, którym wciąż brakuje pieniędzy, będzie z roku na rok przybywać.

Te zjawiska – rosnąca liczba ultrabogatych i jednocześnie wzrost liczby tych, którym żyje się ciężej – są powiązane. Wskazują one m.in. na kierunek transferu pieniędzy, który coraz częściej przebiega dzisiaj z kieszeni uboższej części społeczeństwa do kieszeni bogatych. W ten sposób ubodzy stają się jeszcze biedniejsi, a bogaci – znacznie bogatsi niż do tej pory. Krótko mówiąc, wraz ze wzrostem rozpiętości majątkowych obserwujemy wzrost nierówności.

Prowadzi to do stopniowej pauperyzacji raczkującej klasy średniej w Polsce, która zwykle jest największą ofiarą takich przesunięć majątkowych, bo – w odróżnieniu od najbiedniejszych, którzy niczego wartościowego nie posiadają – można ją jeszcze łupić. Spadek dochodów zagraża także pracownikom zagranicznych korporacji, które – optymalizując koszty – coraz częściej redukują zatrudnienie w swoich polskich oddziałach lub przenoszą miejsca pracy do Azji. W rezultacie perspektywy lepszego, stabilnego życia stają się dla większości Polaków coraz bardziej odległe.

Zawsze jakoś tak się składa, że tego rodzaju zjawiska nasilają się podczas rządów Donalda Tuska. Podczas jego poprzedniej kadencji Polska też rzekomo rosła w siłę. Organizowaliśmy przecież Euro 2012 i budowaliśmy autostrady. W pewnym momencie okazało się jednak, że perspektywy większości Polaków – po odarciu z propagandowego lukru – wyglądają dość ponuro. Symbolem tamtych zakłamanych czasów stała się rozpacz rolnika z Mazowsza, który pytał zakłopotanego Tuska: „Jak dalej żyć, panie premierze?”.

Dziś znów podążamy w tym samym kierunku, co wtedy. Niby jest świetnie, wskaźniki rosną, tyle że tę poprawę odczuwa jedynie wąska grupa osób.

TROSKA O SILNIEJSZYCH

Schizofrenię rządów Tuska można zauważyć wszędzie, choćby na warszawskiej ulicy. Z jednej strony mamy osiedla luksusowych apartamentowców i setki drogich samochodów, a z drugiej widzimy ludzi grzebiących w śmietnikach w poszukiwaniu kaucyjnych butelek. Można też ją dostrzec w szpitalach, które odmawiają przyjmowania pacjentów, bo brakuje pieniędzy na leczenie, co jednak jakoś nie przeszkadza w wypłacaniu lekarzom kosmicznie wysokich stawek. Społeczeństwo jest podzielone na silniejszych i słabszych. A rząd, jeśli w ogóle o kogokolwiek dba, to wyłącznie o tych silniejszych.

Oczywiście obrońców takiego prostackiego darwinizmu społecznego nie brakuje – i to po obydwu stronach politycznej barykady. Tyle że jego skutkiem musi być na końcu zapaść całego państwa. Sytuacja

eprasa.pl e047054f7a

w służbie zdrowia jest chyba najlepszym przykładem kryzysu instytucji publicznych. Większość środków, które przeznaczamy z naszych kieszeni na opiekę medyczną, ląduje dziś w kieszeniach lekarzy. Nic więc dziwnego, że na samo leczenie – jeśli przydarzy się nam jakaś choroba – już nie wystarcza pieniędzy.

To forma ukrytej prywatyzacji służby zdrowia. Zdrowie ma być dostępne tylko dla najbogatszych i najbardziej wpływowych. Słynny salonik VIP w warszawskim Szpitalu Południowym, którego – zdaniem prokuratury – nigdy nie było, może być najlepszym przykładem tego, w jakim kierunku według tuskowych elit powinna zmierzać opieka zdrowotna. Jeśli masz pieniądze i znajomości, to możesz się leczyć, jeśli nie – radź sobie sam. Przy czym, co warto zawsze przypominać miłośnikom prywatnej ochrony zdrowia, leczenie chorób przewlekłych, np. raka, kosztuje dziesiątki lub setki tysięcy złotych. Na takie terapie stać tylko milionerów.

To samo odnosi się do innych usług publicznych, jak choćby edukacja. Jedynym zmartwieniem obecnego rządu są indoktrynacja ideologiczna i eksperymenty edukacyjne w szkołach. Wynika to z głębokiej pogardy tuskowych elit wobec plebsu, który przecież nie zbuntuje się i nie zabierze dzieci z publicznych szkół, bo go nie stać na lepszą edukację. Tuskowa elita, w tym pełne równościowych frazesów działaczki i działacze lewicy, zazwyczaj posyłają swoje potomstwo do elitarnych szkół prywatnych. Dobre wykształcenie ma być zarezerwowane tylko dla nielicznych. To rodzaj reprodukcji liberalnej, bogatej elity, która w ten sposób zabezpiecza swoje wpływy na przyszłość.

PAŃSTWO TEORETYCZNE

Pytanie tylko, czy taka Polska ma przed sobą jakąś przyszłość? Egoizm i pazerność wąskiej, uprzywilejowanej kasty są bardzo krótkowzroczne. Przeciąganie całej kołdry na swoją stronę oznacza przecież, że państwo staje się źle zarządzane i wiecznie niedoinwestowane. A to rodzi pytanie, czy Polska w takim kształcie może w ogóle przetrwać wyzwania, które pojawiły się w związku z napiętą sytuacją międzynarodową?

Można mieć co do tego poważne wątpliwości. Czy rząd poważnie zabrał się za ochronę ludności cywilnej na wypadek wojny? Czy powstają jakiekolwiek schrony? Czy myśli się o kontynuowaniu inwestycji zwiększających naszą odporność na wypadek konfliktu, takich jak choćby CPK?

Na wszystkie te pytania jest jedna, negatywna odpowiedź. Inwestycje stoją w miejscu, jeśli nie liczyć bajdurzenia o Porcie Polska, który pomimo licznych cięć i tak prędko nie powstanie, oraz o Tarczy Wschód, która służy bardziej uspokajaniu nastrojów społecznych niż realnej obronie kraju.

Liberalna elita nie będzie szukać środków na takie przedsięwzięcia, bo trzeba by głębiej sięgnąć do własnej kieszeni. Zamiast tego lepiej wydać bezwartościowy poradnik ewakuacyjny, bo przynajmniej ktoś zarobił przy jego publikacji. A gdyby już doszło do czegokolwiek groźnego, to wszyscy, których na to stać, natychmiast uciekną do swoich apartamentów na Costa del Sol. Stamtąd będą dopingować plebs do wytężonej walki w obronie państwa.

> Niby jest świetnie, wskaźniki rosną, tyle że wyraźną poprawę odczuwa jedynie wąska grupa osób. Ta sytuacja powtarza się za każdym razem, gdy rządzi Tusk

Wszystkie ważne inwestycje w Polsce są zawieszane lub odwlekane. O pierwszej elektrowni jądrowej słyszeliśmy już za pierwszych rządów Tuska, który w 2009 r. obiecywał, że siłownia zostanie uruchomiona w 2020 r. Powstała nawet w tym celu spółka PGE Energia Jądrowa, w której tuskowa ekipa porozdawała sobie synekury. Wszystko ruszyło dopiero za rządów PiS, ale po powrocie Tuska do władzy znów wyhamowało. Dziś mówi się o latach 2036–2038 jako o realnym terminie uruchomienia elektrowni. O ile w ogóle do tego dojdzie, bo jak na razie priorytetem jest droga i niestabilna energetyka odnawialna. W rezultacie ceny energii w Polsce biją europejskie rekordy, co oczywiście odbija się na konkurencyjności gospodarki i przede wszystkim na portfelach Polaków.

Rząd ma na to wszystko jedno usprawiedliwienie – dziurę w budżecie. To zupełnie tak samo jak w 2015 r., gdy Jacek Rostowski, minister finansów w pierwszym rządzie Tuska, oznajmiał wszystkim, że „piniendzy ni ma i nie będzie". Chwilę potem, gdy Platforma Obywatelska straciła władzę, okazało się nieoczekiwanie, że pieniądze są i jest ich całkiem sporo, tyle że nikt w poprzedniej ekipie nie chciał ich szukać, bo uderzyłoby to w zasoby wspierającej Tuska „elity biznesowej". Trudno uciec od wrażenia, że teraz jest bardzo podobnie.

Kilka lat prosperity za rządów PiS okazało się łabędzim śpiewem w naszej najnowszej historii. Za sprawą Tuska wracamy bowiem do naszych dawnych ustawień fabrycznych, a więc do państwa teoretycznego, jak to ujął kiedyś Bartłomiej Sienkiewicz.

DRYF „TITANICA"

Dzisiejsza Polska zbyt często okazuje się bezradna wobec zagrożeń, bo rząd tworzą w większości ludzie reprezentujący wąskie interesy, a przy tym pozbawieni poczucia odpowiedzialności i elementarnych kompetencji. O niskich kwalifikacjach obecnej ekipy mogą świadczyć chociażby kolejne akcje hakerów, którzy – przy widocznej bezradności resortu cyfryzacji – kilkukrotnie wykradali dane osobowe Polaków. Społeczeństwo obawia się ryzyka katastrofy (55 proc. obywateli negatywnie ocenia rząd Tuska), ale wobec słabości innych ugrupowań na razie pozostaje bierne.

Polska pod rządami Tuska przypomina dziś „Titanica" płynącego na spotkanie góry lodowej. Nowoczesny liniowiec, w którym obok luksusowych kabin znajdują się liczne, choć ukryte, kajuty dla biedoty, płynie przez niespokojne wody, dowodzony przez zafiksowanego na swojej władzy kapitana. Kapitan zajmuje się wyłącznie pilnowaniem mostka i traci z oczu kurs. Rezultaty takiego dryfu mogą być dla nas opłakane.

eprasa.pl e047054f7a



Kadr z planu filmu „Młody Dmowski”

Mamy w garści Złoty Róg

Tętni, jedzie, dudni, goni.
Od gościńca, od Krakowa...
Czy to będzie Wernyhora
z Archaniołem?
Czy też znowu czeka nas
chocholi taniec?



MACIEJ PAWLICKI

Fot. Jacek Piotrowski, Picaresque

W agresji władzy, anarchizacji, szarpaninie i nakręcanych przez media pyskówkach, które mają nam zastąpić rozmowy o Polsce, nie widać szerszego obrazu, a on staje się arcyciekawy. Oto pierwszy raz od ponad dwóch dekad przetasowanie na politycznej scenie jest tak głębokie, że może zapowiadać strategiczną zmianę polskiej polityki na długo. Rośnie świadomość tej szansy (dla innych – tego zagrożenia), dlatego – mimo że wybory za rok – kampania wyborcza już trwa.

Pomimo wielu powodów, nie zajmę się tu koalicją rządzącą, koleżeństwo na tych i sąsiednich łamach dobrze opisuje, jak złe są jej rządy. Mnie bardziej interesuje to, co w zamian. Czy polscy wyborcy mają głosować za zmianą władzy tylko dlatego, że jest źle, czy też ze świadomością tego, jak ma być, żeby było dobrze? Z ochotą i determinacją, by pilnować tego, jak ma być. Mówiąc wprost: programu mi trzeba, nie tylko narracji (choć rozumiem, że i one są potrzebne), lecz także konkretów o tym, jak chcemy zmienić zagrożone, chore, źle urządzone polskie państwo. By je uratować, uzdrowić, wreszcie urządzić dobrze.

eprasa.pl e047054f7a

TYLKO POLSKA, TYLKO POLACY

Właśnie – „chcemy". Liczba mnoga, osoba pierwsza. Nie jak „chcą" politycy opozycyjnych ugrupowań, ale jak chcemy my, wyborcy. My, Naród. Wynajmujemy polityków na umowy długoterminowe za niezłe pieniądze nie po to, by mieli rację, by się przez kolejne cztery lata w pluszowych ławach opozycji należycie oburzali na bezeceństwa rządzących. Wynajmujemy ich po to, by rządzili. By zdobyli władzę i potrafili dobrze ją wykorzystać. Dobrze, to znaczy dokładnie tak, jak się z nami umówili. Nie inaczej, nie zmieniając po swojemu, bo już są wybrani, już czują się pomazańcami odpowiedzialnymi jeno przed Bogiem i historią. Albo – wbrew umowie z nami – stają się bardziej lojalni wobec rozmaitych organizacji, gremiów czy innych grup interesu. Nie, są odpowiedzialni tylko wobec nas i wobec nas obowiązuje ich stuprocentowa lojalność. Dlatego w kwestii formowania i realizacji politycznego programu proponuję, by ładne hasło „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy" skorygować na „Tylko Polska, tylko Polacy".

Nie, drogi Europejczyku, który zadygotałeś ze zgrozy, nie ma to nic wspólnego z ksenofobią i nienawiścią do innych. Bycie Polakiem to bycie Europejczykiem, a polski rząd ma się zajmować wyłącznie dobrem Polski i Polaków. Relacje i współpraca z innymi narodami i państwami mogą wynajętemu przez nas politykowi zajmować czas pracy wyłącznie wtedy (i wyłącznie w takim celu), gdy są z korzyścią dla jego pracodawcy, czyli Polski i Polaków. Trudno się tak myśli? Aż tak nam mózgi wyprali? Wmawiane nam przez zaborców dawnych i nowych kompleksy oraz zewnątrzsterowność są polskim syfilisem postępującym od trzech wieków. Czas go wyleczyć, bo pacjent nie przeżyje.

Skąd wziął się ów nieznośny polski brak asertywności w polityce zagranicznej? Ta automatyczna, jakby podkorowa, zewnątrzsterowność, niekiedy przybierającą formę służalczej gotowości nadstawiania zadka samcowi alfa. Roman Dmowski wyjaśniał ją przeniesieniem na sferę międzynarodową naszej słynnej bezinteresowności, z której tacyśmy dumni. Gdy w relacjach osobistych może być ona uznawana za cechę szlachetną, nawet za wielkoduszność, przeniesiona na relacje między państwami staje się głupotą i zbrodnią wobec własnego narodu. Tak wielu polskich polityków w swym permanentnym błagalnym spazmie „lubta mnie!" nie potrafi zrozumieć, że silni szanują tylko tych, którzy szanują sami siebie. A drgającym z gorliwości, obślinionym służalcom rzucają ochłapy i nawet pierścienia do pocałowania skąpią, bo się brzydzą.

ALE JAKA?

Juliusz Słowacki profetycznie pisał: „Szli krzycząc: Polska! Polska! [...] Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka, spojrzał na te krzyczące i zapytał: „Jaka?". Zatem – program. Dwie dekady temu, po aferze Rywina, żądaliśmy wielkiej zmiany, ale wystarczyły nam trzy cele: precz z komuną, uczciwe państwo i jak najszybciej na Zachód. Ten ostatni punkt w praktyce oznaczał: niechże nas już tam jak najszybciej wpuszczą, róbmy więc wszystko, wszyściusieńko, co tylko każą. Była na to przygniatająca zgoda, sceptyków obficie opluwano jako głupków lub agentów.

Tym razem, po dwóch dekadach sprawdzania na naszym żywym organizmie, co nam ów wymarzony Zachód daje, co rozwija, a co zabiera i co blokuje, przy tej nadchodzącej strategicznej zmianie polskiej polityki, wiemy i rozumiemy o wiele więcej. I nie może już nam wystarczać kilka haseł jak wiecowe okrzyki. Nie wolno nam dać się znowu sprowadzić do anonimowej czerni kotłującej się na majdanie i wiwatującej, gdy starszyzna z balkonu ogłasza nam swoje wyroki i decyzje. Tym razem chcemy i będziemy tę strategię współtworzyć. Niniejszy tekst nie jest wotum nieufności wobec świata polityki. Wręcz przeciwnie: jest wotum zaufania do siebie samych, do Narodu. Wotum zaufania do polityków – gdy są z nami.

Dwa lata temu, przed wyborami do europarlamentu, wraz z grupą ludzi myślących, wśród których byli Witold Gadowski, Jacek Karnowski, Cezary Krysztopa, Jerzy Kwaśniewski, Paweł Lisicki, prof. Andrzej Nowak, Marzena Nykiel, Jan Pospieszalski, Rafał Ziemkiewicz, sformułowaliśmy krótką, ale treściwą Honorową Instrukcję Poselską, czyli zalecenia dla kandydatów starających się u nas o pracę europosła. W kilkugodzinnej debacie na Krakowskim Przedmieściu wzięli udział politycy Konfederacji, Prawa i Sprawiedliwości oraz Solidarnej Polski, którzy w pierwszej godzinie debaty nie mówili, ale słuchali, jakie – my, Naród – stawialiśmy przed nimi zadania. Czego od nich chcemy, a czego im zabraniamy. Po co ich wynajmujemy. Politycy odpowiedzieli, a na koniec Honorową Instrukcję Poselską podpisali, gwarantując, że zadane im zadania będą dla nas realizować. Nadszedł czas, by zacząć formułować taką Honorową Instrukcję dla kandydatów na wybory 2027 r. Ale tym razem jest zadanie jeszcze pilniejsze. Wobec układu sceny politycznej po prawej stronie czas opisać pole wspólne tych wszystkich, którzy chcą Polski niepodległej, wolnej, sprawiedliwej i silnej.

11 MILIONÓW

Sondaże i wyliczenia socjologów dają szeroko rozumianej prawicy ogromną szansę na zdobycie władzy i długie rządy, może nawet na zmianę Konstytucji. Pod jednym wszakże warunkiem: że politycy będą współdziałać, przynajmniej przy pakcie senackim. Liderzy ugrupowań srożą się na konkurencję zabiegającą o ten sam lub podobny elektorat, wskazują jej błędy. I to jest zrozumiałe, nawet wskazane, niech walczą na argumenty, elegancka walka o zaufanie wyborców to kwintesencja polityki. Gorzej, gdy – mając świadomość układu sił i warunków koniecznych zdobycia władzy – jedni politycy żądają wykluczenia drugich polityków.

Nie oni będą o tym decydować, ale wyborcy. Na Karola Nawrockiego oddano 10 606 877 głosów, plus ok. 100 tys. głosów uznanych za nieważne. Zatem dziś celem prawicy ma być owych 11 mln Polaków, którzy chcą Polski według Nawrockiego (zwłaszcza że po roku sprawowania urzędu prezydent 50,83 proc. głosów potrafił podnieść do 56 proc. społecznego zaufania). Żaden głos nie jest ważniejszy od innego, żadna grupa jego wyborców nie jest lepsza od innej. Żadnej nie należy marginalizować jako mniej mądrej. Choćby dlatego, że karma wraca. Zaryzykuję deklarację: my, wyborcy Karola

eprasa.pl e047054f7a

Nawrockiego, chcemy poważnego traktowania ze strony ugrupowań, na które mamy oddać swój głos. Nie haseł, ale szczegółowych rozmów i odpowiedzi.

O czym? O robocie, jaka jest do wykonania przez cztery lata. Jedni (Prawo i Sprawiedliwość, Rozwój Plus) rządzili długo, mają na koncie wiele pozytywnych dokonań, ale i potężne błędy, których nie nazwali, nie wiemy więc, czy będą kontynuowane. Inni (dwie, a właściwie trzy Konfederacje) ciekawie recenzują poprzednie i obecne rządy, mają dobre pomysły, lecz także pomysły ryzykowne, wymagające doprecyzowania, debat, weryfikacji. Ale przede wszystkim – jak dotąd – nie pokazali drogi i determinacji zdobycia władzy. A – powtórzę – polityka wynajmujemy po to, by potrafił zdobyć władzę.

Dlatego, jako świadomy pracodawca, który wie, po co chce wynająć polityków i w jakich celach dać im władzę, zaczynam oto opisywać Pole Wspólne, które – mam nadzieję – istnieje dla wszystkich ugrupowań pragnących Polski niepodległej, wolnej, sprawiedliwej i silnej. Jak jest ono duże? Tego nie wiemy, dopóki nie sprawdzimy. Być może w pewnych sferach politycy będą unikać deklaracji, kalkulując, że bardziej opłaci się im pozostawienie mgławicy, z której można wyczarować każdą odpowiedź. To więc nasza sprawa, by odpowiedź wydobyć. A jak się nie da – odebrać kandydatowi punkty w kategoriach szczerość i kompetencja. Może skreślić z listy. Najważniejsze, by tę poważną rozmowę o Polsce zacząć, nasze potrzeby i cele wyraźnie nazwać.

POLE WSPÓLNE 1, 2 I 3

Szukanie Pola Wspólnego zacznijmy – na rozgrzewkę – od opisania trzech punktów. Takie oto – chyba oczywiste – zobowiązanie: „Polskie władze nie będą wykonywały jawnych i niejawnych poleceń innego państwa, organizacji międzynarodowej, branżowej, społecznej czy podmiotu gospodarczego, które są sprzeczne z polską Konstytucją i polskim interesem narodowym". Podpiszą się pod nim? Mam nadzieję.

Punkt drugi: „Polskie władze nie będą oddawały fragmentów polskiej suwerenności, podpisując dokumenty wyrzekające się władzy nad polskim bezpieczeństwem, obronnością, bezpieczeństwem energetycznym, gospodarką, ochroną środowiska, geologią, polityką społeczną, rolną, zdrowotną, edukacją i kulturą". Tu przewiduję kłopoty. No, ale jakże to, sformułowanie zbyt ogólne, mamy podpisane międzynarodowe umowy, są reguły i zobowiązania unijne. Dobrze więc, dokonajmy przeglądu tychże umów, żądajmy od aplikujących o pracę znajomości pełnej listy sfer, w których oddaliśmy władzę innym. Które prawnie, które bezprawnie. Niech będzie to temat rozmów kwalifikacyjnych dla kandydatów do pracy w Sejmie i Senacie.

> Wobec układu sceny politycznej po prawej stronie czas opisać Pole Wspólne tych wszystkich, którzy chcą Polski niepodległej, wolnej, sprawiedliwej i silnej. Zaryzykuję deklarację: my, wyborcy Karola Nawrockiego, chcemy poważnego traktowania ze strony ugrupowań, na które mamy oddać swój głos. Nie haseł, ale szczegółowych rozmów i odpowiedzi

I punkt trzeci: „Wypowiedziane zostaną wszelkie dokumenty, które polską suwerenność oddały i są narzędziem gospodarczej czy politycznej dominacji innych państw lub podmiotów zewnętrznych, a oparte są na ideologicznych obsesjach, a nie na naukowych podstawach i fundamentach etycznych. Chodzi m.in. o ETS, „Fit for 55", Zielony Ład, kamienie milowe, pakt migracyjny. Wszelkie decyzje Unii Europejskiej wykraczające poza dotychczasowe traktaty zostaną ogłoszone jako niemające prawnych podstaw, a więc i prawnych skutków. Wszelkie zgody, jakich udzieliły polskie władze na pozatraktatowe działania UE, zostaną wycofane jako wymuszone, a władze Unii zostaną wezwane do zaprzestania bezprawnych działań, ewentualnie wypłaty odszkodowań".

Wystarczy na początek. Sądzę, że blisko 11 mln Polaków, którzy zagłosowali na Karola Nawrockiego, podpisze się pod tymi trzema punktami. Czy prawicowe partie także?

INO SZNUR...

Strategiczna zmiana w polskiej polityce, na którą jest wielka szansa, polega na tym, że Polacy nie dadzą się już nabrać na perkal i koraliki dla tubylców, jakie dał nam Zachód, byśmy się mu całkowicie podporządkowali, oddali gospodarkę, przemysł, rynki, handel, rolnictwo, rzemiosło, transport, zasoby naturalne, zdrowie, kulturę, cywilizację, edukację, a więc nowe pokolenia. Czyli prawie wszystko. Byśmy byli szczęśliwi, że w Lidlu jest promocja ma myjki do mopa, i w blokach reklamowych sprawdzali, co na zgagę, a co na infekcję dróg moczowych.

Mamy w garści Złoty Róg, ale może zostać ino sznur, możemy znowu skończyć w chocholim tańcu. Partie prawicowe mogą za rok władzę zdobyć i punkt po punkcie rzetelnie wykonać nasze polecenia, budując z nami wolną, silną i sprawiedliwą Polskę. Ale mogą też w naszym imieniu i dla nas przerżnąć z kretesem, przez swe potępieńcze swary Polskę spuścić w kiblu. Jeśli im tylko swoją biernością na to pozwolimy. Zatem, skoro wreszcie muszą mocno rywalizować o nasze głosy, zmuśmy je, by rywalizowały konkretnymi odpowiedziami na pytania, które im zadamy. Zmuśmy siebie, byśmy o Polsce myśleli w każdym jej fragmencie i konkrecie, zadawali pytania, planowali rozwiązania, domagali się ich zrealizowania. Strategiczna zmiana polega na porzuceniu owej polskiej bierności, o której tyle pisał Dmowski. Polega na przyjęciu trudnej, ale pięknej funkcji Narodu.

eprasa.pl e047054f7a

Dżuma czy coś więcej?

Być może to, co się wydarzyło na Syberii, to nieistotny, choć tragiczny, incydent. Coraz więcej danych przemawia jednak za tezą, że Rosja nie tylko realizuje nielegalne programy rozwoju broni biologicznej, lecz także zwiększa swoje wysiłki i nakłady



MAREK BUDZISZ

W tej sprawie wszystko wygląda inaczej, niż przedstawiają oficjalne komunikaty. Na początku października br. w miejscowości Szelechow pod Irkuckiem zmarła Daria Szipiłowa, pracująca w Instytucie Badawczym ds. Zwalczania Dżumy na Syberii i Dalekim Wschodzie. Wkrótce po jej zgonie Rospotrebnadzor, odpowiednik naszego Sanepidu, poinformował, że 28-letnia kobieta zmarła w wyniku „zapalenia płuc nieznanego pochodzenia". W oficjalnym komunikacie dodano, iż ze względu na jej działalność zawodową przeprowadzono dodatkowe badania, „ale nie znaleziono żadnych mikroorganizmów związanych z jej pracą".

Jednak lokalne media zaczęły pisać, że związek jednak był, bo Szipiłowa

eprasa.pl e047054f7a

pracując w laboratorium, przypadkowo stłukła próbkę i w efekcie zaraziła się dżumą płucną. Na dodatek lokalną opinię publiczną zaniepokoiły działania podjęte przez władze, które przeczyły uspokajającym komunikatom.

Najpierw gubernator sąsiedniej Buriacji napisał w sieciach społecznościowych, że zmarła chorowała na dżumę, a potem zmodyfikował wpis, usuwając odwołanie do tej choroby. W tym samym czasie na trzy dni wszyscy pracownicy instytutu, w którym miał się wydarzyć incydent, zostali poddani kwarantannie, którą objęto też personel i pacjentów szpitala, w którym leczono Szipiłową. W jej domu służby sanitarne trzykrotnie przeprowadzały dezynfekcję, a media pisały o ludziach ubranych w pełne kombinezony ochronne, używających nieznanej substancji. W znajdującej się w Szelechowie fabryce wyrobów aluminiowych wprowadzono nadzwyczajne obostrzenia, nakazując wszystkim pracownikom noszenie maseczek, a władze Bajkalska, miasteczka leżącego w odległości 140 km, opublikowały komunikat, później usunięty, w którym „doradzały" mieszkańcom wstrzymanie się od podróży do Irkucka.

W tym samym czasie w oficjalnym stanowisku skierowanym do WHO władze Rosji informowały, że „w mieście Irkuck nie odnotowano ani jednego przypadku" dżumy.

DO PRZESADY OSTROŻNA

Rosyjska władza nie słynie z prawdomówności, a w tym konkretnym przypadku więcej jest pytań niż wiarygodnych odpowiedzi.

Po pierwsze, Szipiłowa nie była laborantką, która przez nieuwagę stłukła próbówkę, jak sugerowały niektóre media. W 2022 r. ukończyła Uniwersytet Medyczny w Irkucku, zdobywając, z bardzo dobrym wynikiem, dyplom ze specjalności biochemia medyczna, a w 2024 r. ukończyła program rezydentury i uzyskała dyplom z wyróżnieniem. Na początku tego roku zaś, podczas zjazdu epidemiologów w Moskwie wygłaszała wykład, który był poświęcony zwalczaniu dżumy, a latem wzięła udział w międzynarodowych ćwiczeniach zespołów szybkiego reagowania na sytuacje kryzysowe o charakterze sanitarno-epidemiologicznym.

Jej znajomi z kolei mówili lokalnym mediom, że „Daria była do przesady ostrożna" i bojąc się zarazić, drobiazgowo przestrzegała procedur.

Jak powiedział w Radiu Swoboda Andrij Aleksandrin, założyciel Ukraińskiej Narodowej Grupy Ekspertów ds. Kontroli Zakażeń, dżumą nie jest wcale tak łatwo się zarazić, bo „to nie COVID-19 ani grypa". Potrzebny jest bliski kontakt, a okres inkubacji choroby trwa od jednego do siedmiu dni. Jego zdaniem albo środki wprowadzone przez władze były „przesadzone", albo w całej sprawie może chodzić o coś zupełnie innego. Co więcej, niemożliwe jest rozbicie próbówki, bo szklanych pojemników w takich laboratoriach jak to, w którym pracowała Szipiłowa, już się dawno nie stosuje. Obecnie używane są pojemniki plastikowe, których nie można, nawet gdyby ktoś bardzo chciał, rozbić.

Alisa Litowka, urodzona w Rosji mikrobiolożka, która obecnie mieszka i pracuje w Bułgarii, zwraca uwagę na jeszcze inne wątpliwości, które rodzą się w związku z oficjalnym komunikatem rosyjskich władz. Zazwyczaj w laboratoriach tego rodzaju pracownicy mający kontakt z niebezpiecznymi patogenami profilaktycznie są poddawani kuracji antybiotykowej, a nawet gdyby zdarzyło się rozbicie pojemnika, to zaraz uruchamiane są procedury leczenia, niezależnie od tego, czy nastąpiła inkubacja choroby.

Nie jest możliwe jej zdaniem to, co w świetle oficjalnych komunikatów wydarzyło się w Szelechowie, gdzie Szipiłowa miałaby rozbić próbówkę, pójść do domu, z którego po czterech dniach choroby została przewieziona do szpitala. „Wypadek w takim laboratorium to nie: och, posprzątałem i poszedłem dalej do pracy" – powiedziała Litowka mediom. „Są to natychmiastowe leczenie, protokół awaryjny, raport, izolacja, profilaktyka antybiotykowa w nagłych przypadkach".

Na dodatek koledzy i współpracownicy zmarłej powiedzieli niezależnemu portalowi Sibir. Realii, że wszyscy pracownicy instytutu, w szczególności mający kontakt z bakteriami dżumy, byli obowiązkowo przeciw tej chorobie szczepieni. Co prawda nie daje to stuprocentowej odporności i infekcja, zwłaszcza płucna, jest możliwa, ale wątpliwości nie nikną.

PRACE NAD BRONIĄ BIOLOGICZNĄ

Administracja Stanów Zjednoczonych mimo uspokajających komunikatów poprosiła Rosję o wyjaśnienie, „co się stało" pod Irkuckiem, najwyraźniej nieusatysfakcjonowana wcześniejszymi przekazami. Z kolei władze Mongolii, Kirgistanu, Tadżykistanu i Uzbekistanu wprowadziły dodatkowe kontrole na przejściach granicznych z Rosją.

John O'Brien i Isobel Sowells, pracujący w Zespole ds. Obrony Biologicznej Atlantic Council, napisali, że „wyjaśnienia rosyjskich władz" dotyczące tego, co się wydarzyło, „należy oceniać sceptycznie" i społeczność międzynarodowa „winna domagać się niezależnego dochodzenia". Amerykańscy eksperci przypomnieli też, że Rosja ma „długą tradycję" programów badań nad dżumą jako bronią biologiczną. Natomiast portal Axios zaznaczył, że „sytuację monitoruje Biały Dom", co byłoby reakcją przesadzoną, gdybyśmy mieli do czynienia wyłącznie z wypadkiem w lokalnym laboratorium.

Do Irkucka z Moskwy poleciała także Anna Popowa, szefowa Rospotrebnadzoru, co raczej świadczy o tym, że doszło do sytuacji nadzwyczajnej, w przeciwieństwie do tego, co głosiły uspokajające komunikaty.

Raymond A. Zilinskas, amerykański ekspert ds. broni biologicznej, jeszcze w 2006 r. napisał w artykule naukowym, że rosyjskie instytuty badające dżumę, a pośród nich ten w Irkucku, realizują też programy badawcze związane z bronią biologiczną. Fakt przystąpienia przez ZSRR w 1972 r. do międzynarodowej konwencji zakazującej prac badawczych i rozwojowych nad bronią biologiczną nie spowodował wygaszenia tych programów. Dowodem jest choćby to, co wydarzyło się w kwietniu 1979 r. w Swierdłowsku, gdzie doszło do awaryjnego uwolnienia aerozoli *Bacillus anthracis* z tajnego wojskowego kompleksu mikrobiologicznego. Ludzie umierali z powodu wdychanej formy wąglika, a władze do czasów Borysa Jelcyna trzymały

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e047054f7a

się oficjalnej wersji, według której zgony były rezultatem spożycia „zakażonego mięsa z nielegalnego uboju".

W październiku 2024 r. dziennik „The Washington Post" opublikował serię zdjęć satelitarnych przedstawiających nowe budynki o łącznej powierzchni ponad 23 tys. m^2, znajdujące się w kompleksie wojskowym Siergijew-Posad na północny wschód od Moskwy. Eksperci wypowiadający się na ten temat są zdania, że ich konstrukcja odpowiada standardom laboratoriów o wysokim stopniu zabezpieczeń, choć strona rosyjska twierdzi, że prowadzone tam prace mają charakter „wyłącznie obronny".

We wrześniu br. dziennikarze Radia Swoboda napisali z kolei o uruchomionym przez rosyjskie władze nowym kompleksie laboratoryjnym pod Twerem. Jest on zlokalizowany na Zbiorniku Wyszniewołockim i kieruje nim Władimir Maksimow, oficer rosyjskich sił zbrojnych (sam ośrodek podlega też armii), który został objęty amerykańskimi sankcjami w związku z podejrzeniem o kontynuowanie nielegalnych programów rozwoju broni biologicznej. Sam Maksimow jeszcze w 2006 r. publicznie mówił o pracach nad wirusem Ebola „jako najbardziej prawdopodobnym" środkiem wojny bakteriologicznej.

Po tym jak kilka europejskich krajów, w tym Niemcy i Szwecja, oficjalnie oskarżyło rosyjskie władze o to, że otruły opozycjonistę Aleksieja Nawalnego toksyną wypreparowaną z jadu żaby południowoamerykańskiej, co w świetle międzynarodowych porozumień jest równoznaczne z kontynuowaniem przez Rosję programów rozwoju broni biologicznej, amerykański Departament Stanu w corocznym raporcie na temat zagrożeń dla USA również wspomniał o nielegalnych programach Moskwy.

Ken Alibek, który do 1992 r. pracował w rosyjskim koncernie Biopreparat produkującym broń biologiczną, a następnie uciekł do Stanów Zjednoczonych, powiedział mediom, że „Rosja bez wątpienia pracuje nad bronią biologiczną, inaczej nie budowałaby tak ogromnych obiektów w ostatnich latach". W jego opinii naukowcy pracujący w Szelechowie „z pewnością" modyfikowali bakterie i wirusy wywołujące znane choroby, w tym dżumę, na potrzeby wojskowe.

SYGNAŁ OSTRZEGAWCZY

Sprawa jest tym bardziej niepokojąca, że rozwój sztucznej inteligencji według większości ekspertów skokowo przyspieszy możliwości rozwoju broni biologicznej. W maju 2026 r. tygodnik „The Economist" zwrócił uwagę międzynarodowej opinii publicznej na zagrożenie, które wiąże się z jednym z aspektów rozwoju AI.

> Szipiłowa nie była laborantką, która przez nieuwagę mogła stłuc próbówkę, jak sugerowały niektóre rosyjskie media. Jej znajomi mówili, że „Daria była do przesady ostrożna" i bojąc się zarazić, drobiazgowo przestrzegała procedur

Jak zauważyli autorzy artykułu, wielkie modele językowe (LLM) „wyszkolone na nieograniczonej wiedzy naukowej, w tym specjalistycznych informacjach wirusologicznych i bakteriologicznych, [...] mogą z dnia na dzień przekształcić początkujących użytkowników w ekspertów" w zakresie biotechnologii, co może prowadzić wprost do powstania nowych, groźnych szczepów bakterii i drobnoustrojów. Największy postęp zachodzi w zakresie „protokołów laboratoryjnych", czyli instrukcji „krok po kroku", jak prowadzić badania – także w laboratoriach mokrych, z których, jak argumentują niektórzy specjaliści, „uwolnił się" COVID-19.

W kwietniu 2025 r. tygodnik „Time" informował, że nowe badania potwierdzają, iż modele językowe w rodzaju ChataGPT i Claude'a przewyższają wiedzę ekspertów dotyczącą zdolności analizowania substancji chemicznych i materiału biologicznego. Naukowcy z Centrum Bezpieczeństwa Sztucznej Inteligencji (Center for AI Safety) i organizacje społeczne skonstruowali trudny test praktyczny, który sprawdzał umiejętność rozwiązania problemów odnoszących się do protokołów laboratoryjnych i złożonych procedur badawczych. Wirusolodzy z tytułem doktora osiągnęli w jego rozwiązywaniu średni wynik 22,1 proc., podczas gdy OpenAM 43,8 proc., a Google Gemini 2.5 Pro – 37,6 proc.

W pierwszych miesiącach br. świat nauki zaniepokoiła też perspektywa zaangażowania się państw uznawanych za rewizjonistyczne, takich jak Rosja, Iran czy Chiny, w „wyścig zbrojeń" w obszarze broni biologicznej. Miesięcznik „Nature" napisał o zagrożeniu związanym z laboratoryjną syntezą (zapowiedzianą przez chińskich naukowców) konotoksyn – białek, które mogą blokować kanały jonowe w układzie nerwowym i powodować szybką śmierć zainfekowanej osoby.

Już w 2018 r., w trakcie swojego wystąpienia na corocznym spotkaniu Klubu Wałdajskiego, Władimir Putin, potwierdzając wzięcie przez Rosję udziału w wyścigu technologii AI, deklarował, że jej rozwój umożliwi nie tylko produkcję indywidualnych lekarstw, lecz także toksyn zdolnych zgładzić „wybranych" przeciwników.

Być może to, co się stało pod Irkuckiem, to nieistotny, choć tragiczny, incydent. Coraz więcej danych przemawia jednak za tezą, że Rosja nie tylko realizuje nielegalne programy rozwoju broni biologicznej, lecz także zwiększa swoje wysiłki i nakłady. To z kolei na pewno nakazuje obserwację tego, co się w Rosji dzieje. Ale powinno też nasze władze skłaniać do refleksji na temat bioodporności. Założenie, iż epoka broni biologicznej to historia, w nowych realiach wydaje się niepoprawnym optymizmem. Wydarzenia pod Irkuckiem muszą być dla nas sygnałem ostrzegawczym.

eprasa.pl e047054f7a

Babilon BND

Śledczy oskarżają byłego szefa Federalnej Służby Wywiadowczej Augusta Hanninga o szpiegostwo i zdradę stanu. Skandal wybuchł w momencie, w którym Bundestag debatuje nad przyznaniem BND większych uprawnień



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Jest wtorek, 6 października, godzina 8.58. Zamaskowani funkcjonariusze Federalnego Urzędu Kryminalnego wyprowadzają starszego mężczyznę z jego domu w gminie Nordwalde niedaleko Münster w Nadrenii Północnej-Westfalii. Dom jest niepozorny. Czerwona cegła, zadbany ogród. W okolicy takich domów jest wiele. Mężczyzna także wygląda niepozornie: siwe włosy zaczesane na bok, biała koszula. Wyprostowany, bez kajdanek, wsiada do czarnego policyjnego minibusa.

Jego zatrzymanie wywołało w Niemczech szok. Bo August Hanning, tak się nazywa, był jedną z najważniejszych osób w niemieckim aparacie bezpieczeństwa. 80-latek piastował stanowiska w Urzędzie Kanclerskim, Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, a przede wszystkim był szefem BND w latach 1998–2005. Przez ostatnie pięć miesięcy prokuratura federalna prowadziła przeciwko niemu śledztwo i gromadziła obciążające go materiały.

Hanning jest podejrzewany o szpiegostwo, próbę uzyskania tajemnic państwowych, a nawet zdradę. Śledczy badają również, czy dostarczał informacje służbom wywiadowczym Azerbejdżanu, kraju, który od dziesięcioleci znajduje się pod rządami autorytarnymi. Według prokuratury federalnej, jak pisze tygodnik



„Der Spiegel", Hanning mógł pozyskiwać tajne informacje od BND jeszcze wiele lat po zakończeniu kariery i przekazywać je (bądź sprzedawać) w ramach działalności konsultingowej.

KŁOPOTLIWE DRZWI OBROTOWE

Jego informatorem miał być Manfred D., kryptonim Augner, dawniej szef kancelarii Hanninga w BND, a następnie szef kancelarii jego następców: Gerharda Schindlera (2012–2016) oraz Bruna Kahla (2016–2025). On także został 6 października zatrzymany przez policję w swoim domu w Bad Tölz w Bawarii. Manfred D. miał przekazać Hanningowi do 2022 r. „prawie 2 tys. dokumentów", w tym informacje zaklasyfikowane jako tajne. Jak twierdzi „Der Spiegel", były to m.in. notatki sporządzone dla kierownictwa BND w celu przygotowania tzw. raportu o sytuacji wywiadowczej, przedstawianego co tydzień w Urzędzie Kanclerskim. Były tam omawiane najważniejsze kryzysy globalne, od wojny na Ukrainie po irański program nuklearny. „Takie notatki często zawierają bardzo wrażliwe informacje, w tym pochodzące od zagranicznych agencji partnerskich. W związku z tym sprawa może mieć poważne reperkusje międzynarodowe" – czytamy.

Na domiar złego kierownictwo wywiadu nie tylko wiedziało, że Manfred D. pracuje dla Hanninga, lecz także mu na to zezwoliło, po tym jak były szef BND przeszedł w 2009 r. do sektora prywatnego. W Stanach Zjednoczonych nazywa się to efektem „drzwi obrotowych" (revolving door): polega on na przechodzeniu pracowników i decydentów pomiędzy stanowiskami publicznymi (rządowymi, regulacyjnymi) a sektorem prywatnym.

Hanning nie jest oczywiście jedynym, który po państwowej karierze wygodnie się urządził w roli „doradcy" czy lobbysty w republice federalnej. Takich jak on było wielu.

KŁOPOTLIWE ZLECENIE

Wystarczy wymienić Gerharda Schrödera, byłego kanclerza, który dziś jest członkiem Rady Nadzorczej rosyjskiej spółki Hyperglobus, prowadzącej sieć hipermarketów, a wcześniej lobbował dla koncernu Rosnieft. Wymieniony wyżej następca Hanninga w BND Gerhard Schindler zatrudnił się w agencji lobbingowej Friedrich30. Günter Heiss, były koordynator wywiadu w Urzędzie Kanclerskim, również dołączył do tej agencji po zakończeniu kariery. Podobnie jak były generał Bundeswehry Hans-Lothar Domröse. Oferuje ona usługi w zakresie „spraw publicznych, bezpieczeństwa korporacyjnego oraz wielotorowej dyplomacji".

Dawne kontakty i doświadczenie wywiadowcze posłużyły także Hanningowi do zbudowania nowej kariery. Przeniósł się do branży doradztwa w dziedzinie bezpieczeństwa, gdzie odegrał kluczową rolę. Jego sieć kontaktów rozciągała się od Wielkiej Brytanii, przez obszar postsowiecki, po Bliski Wschód i Chiny. Wśród firm, z którymi był powiązany, znajdują się Prevent, Delta International, G3, Augustus Intelligence, Pluteos AG w Szwajcarii i System 360 AG. Ta ostatnia

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl e047054f7a



Funkcjonariusze Federalnego Urzędu Kryminalnego przed domem Augusta Hanninga

zajmuje się szeroko pojętą „przestępczością gospodarczą" i stała się źródłem obecnych kłopotów Hanninga.

Według dziennika „Der Tagesspiegel" Christina Block, znana przedsiębiorczyni i właścicielka sieci restauracji stekowych, miała zlecić Systemowi 360 AG porwanie jej dzieci przebywających u ojca w Danii, któremu sąd przyznał nad nimi opiekę. Przy okazji mieli mu „dać nauczkę", czytaj: pobić go. Hanning zlecenie zrealizował z pomocą byłych izraelskich agentów, ale dopiero za drugim razem, bowiem pierwszych porywaczy zatrzymała duńska policja. Block miała zapłacić za tę usługę 100 tys. euro, za co odpowiada obecnie przed sądem. Twierdzi, że jest niewinna.

KŁOPOTY FINANSOWE

Dla byłego szefa BND był to jednak początek końca. We wrześniu 2025 r. w ramach śledztwa ws. Christiny Block przeszukano łącznie osiem lokali mieszkalnych i firmowych Hanninga, w których zabezpieczono liczne dokumenty. To one ostatecznie doprowadziły do podejrzeń o szpiegostwo. Wśród nich były bowiem notatki wyniesione z BND przez Manfreda D. Według niemieckich mediów główną motywacją Hanninga były pieniądze. Miał on bowiem poważne kłopoty finansowe. W 2017 r. dołączył do rady nadzorczej łotewskiego banku, wówczas Norvik Banka, później PNB. Jego właścicielem był rosyjski bankier Grigorij Guselnikow. Kontakt został nawiązany za pośrednictwem Systemu 360 AG. Później obok Hanninga w radzie nadzorczej zasiadał zresztą także były premier Danii i sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen. Guselnikow zaczął toczyć zacięty spór z łotewskim państwem. Twierdził, że ówczesny prezes banku centralnego Ilmārs Rimšēvičs zażądał od niego pieniędzy i go niszczy. Problem bankowy przerodził się w konflikt polityczny. A w centrum sporu znalazł się były szef niemieckiego wywiadu zagranicznego. W końcu PNB zbankrutował.

Już jesienią 2020 r. łotewska telewizja publiczna LTV informowała, że syndyk masy upadłościowej pozwał Hanninga, Rasmussena i innych byłych dyrektorów o odszkodowanie w wysokości ok. 32 mln euro. Sąd nakazał zajęcie ich majątku w celu zabezpieczenia potencjalnych roszczeń. W przypadku Hanninga obejmowało to jego dom w Nordwalde oraz udziały w spółkach. Później zajęto również znaczną część jego emerytury.

Jak pisze dziennik „Die Welt", były szef BND starał się zabezpieczyć dzieci i rodzinę finansowo, do tego służyła m.in. jego firma HanningConsult, której prezesem jest jego żona, a dzieci są właścicielami. Mimo to jego problemy finansowe się pogłębiały.

KŁOPOTY Z ROSJĄ

Dla BND cała sprawa jest wysoce niezręczna. Tym bardziej że od lat szeptało się, jak pisze dziennik „Nordkurier", że Hanning dalej utrzymuje kontakty agenturalne w Rosji, Chinach, Izraelu i na Kaukazie. Jeden z byłych agentów od dawna oskarżał go o to, że został zwerbowany przez sowieckie, a później rosyjskie służby specjalne już w latach 80. Wówczas Hanning pracował jako oficer ochrony w Stałym Przedstawicielstwie Republiki Federalnej Niemiec w Berlinie Wschodnim. Zarzuty te nigdy nie zostały udowodnione, sam Hanning twierdził, że to „zemsta z osobistych powodów".

Wiadomo jednak, że po tym jak przeszedł do sektora prywatnego, wielokrotnie jeździł do Rosji, a także do Kazachstanu i Azerbejdżanu. Choćby wspólnie z Samuelem Danilowitschem, założycielem spółki Pluteos AG z siedzibą w Lucernie, której, jak pisze szwajcarski „Tagblatt", Hanning przez jakiś czas prezesował. Mężczyźni w 2019 r. wzięli udział w spotkaniu w Moskwie poświęconym stosunkom europejsko-rosyjskim, w którym uczestniczyli rosyjscy politycy i biznesmeni. Aneksja Krymu została tam przedstawiona jako „konieczność". Później Hanning został zaproszony jako „gość honorowy" na spotkanie organizowane przez Radę Bezpieczeństwa Rosji, w któ-

Fot. Christoph Reichwein/DPA/PAP

eprasa.pl e047054f7a

rym uczestniczyli urzędnicy i eksperci z państw Rady Arktycznej. Wydarzeniu przewodniczył były sekretarz Rady Bezpieczeństwa Rosji Nikołaj Patruszew.

Po pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę Danilowitsch swoją spółkę zamroził. Według „Tagblatt" z obawy, że znajdzie się na celowniku sankcji.

OLIGARCHOWIE I NORD STREAM 2

Oleg Deripaska, rosyjski oligarcha, był kolejną z osób, której Hanning pomagał. Deripaska cudem awansował z asystenta elektryka na jednego z najbogatszych rosyjskich oligarchów surowcowych, ściśle powiązanego z Kremlem. W 2012 r. walczył w londyńskim sądzie z innym oligarchą, Michaelem Cherneyem, o pieniądze za udziały w największym wówczas rosyjskim konglomeracie aluminiowym. Był to skutek niesławnych wojen aluminiowych z lat 90., kiedy podczas prywatyzacji rosyjskiego przemysłu menedżerowie i gangsterzy dziesiątkami kończyli w kałużach krwi. Deripaska przetrwał. Cherney pozwał swojego byłego partnera biznesowego o miliardy, a Hanning zeznawał w obronie Deripaski, składając pisemne oświadczenie na jego korzyść.

Były szef BND był też cenionym ekspertem w niemieckich mediach, w których m.in. zarzucał Polsce udział w zamachu na gazociąg Nord Stream 2. W sierpniu 2024 r. przekonywał w rozmowie z Welt TV, że operacja wysadzenia gazociągów musiała korzystać z polskiego wsparcia logistycznego. Sugerował również porozumienie na najwyższym szczeblu między ówczesnym prezydentem RP Andrzejem Dudą a prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim. Posługiwał się określeniem „terroryzm państwowy" i postulował, aby Niemcy domagały się od Polski oraz Ukrainy odszkodowania. Niebawem ruszy w Hamburgu proces przeciwko jednemu z ukraińskich nurków, Serhijowi K., któremu Berlin zarzuca „współsprawstwo w zbrodni wojennej polegającej na ataku na obiekty cywilne, spowodowania eksplozji oraz zniszczenia infrastruktury". Chorwacja niedawno wydała Niemcom drugiego nurka, Wołodymyra Żurawlowa.

WSPÓLNE INTERESY

Niektórzy, jak Roderich Kiesewetter, poseł CDU i jeden z nielicznych krytycznych wobec Rosji polityków chadecji, uważają, że problem dotyczy nie tylko Hanninga, lecz jest szerszy. „Wielu byłych polityków i wysokich rangą urzędników, w tym w służbach, monetyzuje swoje kontakty i posiadaną wiedzę. Albo lobbuje dla firm, za którymi kryją się Rosja czy Chiny. A Hanning zapewne nie czuje się winny. W końcu to, co robił po 2009 r., odzwierciedlało politykę ówczesnych koalicji rządzących Niemcami" – zaznaczył Kiesewetter w rozmowie z „Frankfurter Rundschau". Hanning był szefem BND za kanclerstwa Schrödera, a potem przyszła Angela Merkel wraz z polityką „Russia First", znaną także pod określeniem „zmiana przez zbliżenie".

> Hanning mógł pozyskiwać tajne informacje od BND jeszcze wiele lat po zakończeniu kariery i przekazywać je (bądź sprzedawać) w ramach działalności konsultingowej

W Komisji Kontroli Parlamentarnej Bundestagu, która ma nadzorować służby wywiadowcze, posłowie wielokrotnie poruszali kwestię emerytów ze służb. W 2023 r. wydali nawet publiczne ostrzeżenie: istnieje ryzyko, że „oficjalnie zdobyte" informacje zostaną udostępnione „reżimom autorytarnym". Może to stanowić poważne zagrożenie dla bezpieczeństwa Niemiec. Jednak żaden rząd federalny nie odważył się położyć kresu tej praktyce. Oficjalnie nie wiadomo, na rzecz którego państwa miał szpiegować Hanning. Dziennikarze tygodnika „Der Spiegel" twierdzą, że chodzi o jego nielegalne kontakty ze służbami Azerbejdżanu. Hanning był członkiem zarządu Niemiecko-Azerbejdżańskiego Forum, które organizowało spotkania z reżimem w Baku, jego notorycznie skorumpowaną spółką naftową i przedstawicielami Niemiec. Były szef BND regularnie podróżował również do Chin. Odwiedzał tam Wanga Jianzhenga, emerytowanego generała dywizji i byłego attaché wojskowego w Berlinie. Na emeryturze oficer przetłumaczył na język chiński wspomnienia przedostatniego szefa rządu NRD Hansa Modrowa i wydał książkę z rozmowami z byłym kanclerzem Schröderem. Prowadzili też wspólne interesy: obaj zasiadali w radzie doradczej niemiecko-chińskiego parku ekologicznego w Qingdao. Ekspertka ds. bezpieczeństwa Birgit Jennen podczas badań do swojej książki „Marionetki Putina" („Putin's Marionetten") wielokrotnie natknęła się na Hanninga.

WEGETARIAŃSKI WYWIAD

Jego aresztowanie nastąpiło zdecydowanie w nieodpowiednim momencie zarówno dla BND, jak i rządu federalnego. Służba ledwo otrząsnęła się po kompromitującej sprawie szefa departamentu oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Rosji. Proces toczy się w Wyższym Sądzie Krajowym w Berlinie od grudnia 2023 r. A Hanning uchodził za „ojca chrzestnego niemieckiej architektury bezpieczeństwa" po atakach terrorystycznych z 11 września 2001 r. Niedawno niemieccy parlamentarzyści rozpoczęli debatę nad nową ustawą zaproponowaną przez rząd kanclerza Friedricha Merza, która ma przyznać agencji szersze uprawnienia. Ma to być odpowiedź na nasilającą się wojnę hybrydową Rosji. Bundestag ma przegłosować 732-stronicowy projekt do końca 2026 r. Nie jest tajemnicą, że BND nie ma dobrego wizerunku. Uchodzi za źle zorganizowaną, nieudolną i zależną od USA. Sam Hanning nazywał BND „wegetarianinem wśród wywiadów". To ma się niebawem zmienić, ale obecny skandal powoduje, że w niemieckich mediach pojawiło się pytanie, czy należy nadawać szersze uprawnienia służbie wywiadowczej, która nawet nie zauważyła, że jej pracownik przekazuje tajne dokumenty swojemu byłemu szefowi. Ani nie wie, dokąd one potem trafiły. Zaufanie do Niemiec jako partnera w NATO i UE bez wątpienia mocno na tym ucierpi. I raczej nie wystarczą tu „wyrazy ubolewania" obecnego szefa BND Martina Jägera.

eprasa.pl e047054f7a



Światowy poczet polityków degeneratów

Sprawowanie władzy obniża empatię, zwiększa impulsywność i poczucie bezkarności. Uwalnia to, co wcześniej było kontrolowane. Narkotyki stają się paliwem do pracy, a seks z podwładnymi manifestacją wysokiego statusu



DARIUSZ MATUSZAK

Drugiego takiego polityka jak Milton Orkopoulos to chyba w naszych czasach na świecie jeszcze nie było. Przynajmniej oficjalnie. W latach 1990–2000 ten australijski sędzia, poseł Partii Pracy, minister w rządzie stanu Nowa Południowa Walia, gwałcił chłopców, w tym tych, którzy mieli mniej niż 13 lat. Odrażające były nie tylko same czyny, lecz także sposób, w jaki polował na ofiary i zastawiał na nie pułapki. Lewicowy polityk szukał ich w rodzinach patologicznych, wśród sierot, których rodzice zmarli, często z powodu narkotyków, i zwabiał do domu, hotelu, a nawet do swojego biura poselskiego. Tam ich odurzał narkotykami, najpierw miękkimi, jak marihuana (w ciągu kolejnych lat zaczął też serwować twarde). I gwałcił. Chłopcom dawał także pieniądze, papierosy albo przekupywał ich obietnicami, np. zbudowania placu zabaw.

W 2008 r. Orkopoulos został skazany na 14 lat więzienia, a w 2023 r., po wykryciu kolejnych spraw, dorzucono 20 lat, więc zwyrodnialec ma spore szanse zdechnąć za kratami. Ta sprawa ma jeszcze inne ponure tło – policja Nowej Południowej Walii miała informować Partię Pracy o toczącym się śledztwie, by ta miała czas przygotować się na skandal.

Oczywiście historia zna wśród ludzi władzy nieporównanie gorszych degeneratów, których wynaturzenie przekracza wszelkie granice i przy których były wiceminister rolnictwa, wybraniec Donalda Tuska, poseł Michał Kołodziejczak to ptaszę boże. Ot, rzymski cesarz Tyberiusz urządzający orgie z dziećmi w swojej willi na Capri i mordujący współbiesiadników, XV-wieczny władca Rimini Sigismondo Malatesta, który m.in. gwałcił swoje córki i zięciów, albo bohater narodowy Francji Gilles de Rais walczący u boku Joanny D'Arc przeciwko Anglikom, który, jak się okazało, w czasie satanistycznych rytuałów gwałcił chłopców i ponad 140 z nich zamordował. Dawni władcy byli ludźmi, których nie obowiązywały normy, oni byli ponad nimi, choć zdarzały się i przypadki, jak właśnie Gilles'a de Rais, który stanął przed sądami kościelnym i świeckim, a te skazały go na powieszenie i poćwiartowanie.

DRAPIEŻCY I PSYCHOPACI

To nie jest jednak artykuł historyczny, więc wracamy do naszych czasów, a jeśli przywołaliśmy zamierzchłe, to po to, by pokazać, że pewien wzorzec powtarza się od zawsze: ci, którzy zdobywają władzę, częściej niż inni przekraczają granice. Nie tylko dlatego, że polityka bardziej przyciąga degeneratów albo psychopatów, lecz także dlatego, że władza osłabia hamulce, które u zwykłych osób działają jeszcze względnie sprawnie.

Jednak paradoksalnie okazuje się, że statystycznie wśród ludzi władzy jest więcej drapieżników, ale nie więcej przestępców niż wśród całej popula-

eprasa.pl e047054f7a



cji. W Norwegii jest ich nawet mniej. Podobno w tym skandynawskim państwie system wyborów i awansów na szczyty władzy jest na tyle rozwinięty, że odsiewa co bardziej zaburzonych kandydatów.

Jeśli wierzyć rzetelności badań, to wśród osób na wysokich stanowiskach w biznesie jest nawet 8–12 proc. przekraczających kliniczny próg psychopatii. Nie ma podobnych badań dotyczących ludzi władzy, bo zwyczajnie nie chcieli im się poddać, ale można domniemywać, że odsetek jest podobny. O ile psychopaci mają większy ciąg na władzę, szybciej potrafią ją zdobyć, to osiągają gorsze wyniki w jej sprawowaniu, więc system ich wyrzuca. Oczywiście są wyjątki: takich, którzy mimo nędzy dokonań potrafią trwać, o czym w Polsce doskonale wiemy.

Niektóre cechy ze spektrum psychopatii są w polityce pożądane, np. odporność na stres, ale także decyzyjność, niski poziom lęku, większa skłonność do podejmowania ryzyka, co może mieć też negatywne skutki. Ale są i cechy bardzo destrukcyjne: brak empatii i wyrzutów sumienia, okrucieństwo, impulsywność, notoryczne, kompulsywne kłamanie i manipulowanie otoczeniem. Wszystko zależy więc od balansu pomiędzy ciemną a jasną stroną mocy. W grę wchodzi jeszcze jedna rzecz, którą potwierdzają wszystkie badania: władza deprawuje. Prace z psychologii społecznej Adama Galinsky'ego, Jorisa Lammersa i Dachera Keltnera pokazują ten mechanizm z kliniczną precyzją: sprawowanie władzy obniża empatię, zwiększa impulsywność i poczucie bezkarności. Uwalnia to, co wcześniej było kontrolowane. Narkotyki stają się paliwem do pracy, seks z podwładnymi manifestacją wysokiego statusu, a nagrywanie ekscesów to chwalenie się zdobyczą, ale też narzędzie kontroli.

Sama władza staje się narkotykiem. Zasady są traktowane jako coś, co dotyczy tylko tych na dole. Nie jest to jednak patologia jednostek, lecz systemu, w którym okazja, stres i brak codziennej kontroli są naturalnym środowiskiem jednostek o wysokiej potrzebie dominacji. System wciąż też tworzy warunki sprzyjające eskalacji – podsuwa okazje w czasie podróży służbowych, przyjęć, konferencji, hotelowych nocy. Immunitet opóźnia odpowiedzialność albo zapewnia bezkarność, a kultura partyjnej lojalności znosi presję środowiska

Są jeszcze dwa inne wyjaśnienia paradoksu, iż zwyrodniali ludzie władzy nie popełniają więcej przestępstw niż zwykli obywatele. Otóż wiele z odrażających czynów, jak np. uprawianie seksu z dorosłymi stażystami (w Kongresie i w amerykańskiej administracji to najczęściej panowie z panami, rzadziej panie polujące na panów) i ze stażystkami (np. prezydent Bill Clinton i Monica Lewinsky), nie jest przestępstwem. No i druga sprawa, że sprawy są tuszowane, nikt ich ze strachu czy dla korzyści nie tyka, a śledztwa pełzną pod dywan, jak choćby słynna w latach 90. XX w. historia belgijskiego mordercy i pedofila Marca Dutroux. Wtedy w Belgii było powszechne przekonanie o istnieniu siatki pedofilskiej, chronionej przez polityków i sędziów. Dziś podobnie jest w sprawie Jeffreya Epsteina. Partia Republikańska przez lata ukrywała ekscesy naszego rodaka Marka Foleya, kongresmena z Florydy, który zawzięcie zwalczał dziecięcą pornografię, pisał projekty ustaw mające zapobiegać pedofilii w internecie, a sam wysyłał obleśne teksty nastoletnim chłopcom, którzy zgodnie z tradycją przyjeżdżali na wakacje do Kongresu, by pomagać w codziennych pracach. Zboczeniec nie poszedł siedzieć tylko dlatego, że mieli więcej niż 16 lat.

PERMANENTNA EKSTAZA

Sam system w jakimś stopniu broni się przed zaburzonymi osobowościami. W USA Komisja Etyki Izby Reprezentantów regularnie prowadzi dziesiątki spraw dotyczących seksu i używek. Po wybuchu skandalu z Michałem Kołodziejczakiem nie dziwi więc propozycja, którą zgłasza m.in. Przemysław Czarnek, aby posłów poddawać testom na obecność alkoholu i narkotyków.

Ciekawe doświadczenie przeprowadziła niemiecka telewizja SAT, której reporter pobrał próbki z toalet w siedzibie Bundestagu. W 22 na zebranych 28 wykryto takie ilości kokainy, że nawet zdechły pies, który za życia szukał narkotyków, wpadłby w ekstazę. Największe stężenia były tam, gdzie swoje sprawy – takie, jak kiedyś Włodzimierz Czarzasty na polu – załatwiali posłowie ówczesnej lewackiej frakcji PDS (dzisiaj Die Linke) i Zielonych.

Doniesienia z Polski musiały zrobić wrażenie na premierze Péterze Magyarze, bo chce, by takie testy wprowadzić w węgierskim parlamencie. Sprawa o tyle ciekawa, że powszechne są opinie, iż on sam lubi sobie baraszkować na białych łąkach czy w magazynach mąki. W lutym 2026 r., kilka tygodni przed wyborami, w sieci zaczęły krążyć zdjęcia z pewnego apartamentu w Budapeszcie i pojawiła się strona internetowa zapowiadająca ujawnienie kompromitujących Magyara nagrań. Polityk uprzedził jednak skandal i w wystąpieniu na Facebooku przyznał, że po imprezie swojej partii TISZA poszedł ze swoją byłą – modelką Evelin Vogel – do prywatnego mieszkania i tam z nią to i tamto. Było tam też sporo ludzi, co widać na zdjęciach, i to oni pili alkohol, a nie on, i to oni utytłali stół, rozsypując na nim cukier puder czy co tam. Magyar

eprasa.pl e047054f7a

przekonywał, że była to operacja służb specjalnych – ruska „pułapka z miodem" (honey trap) – i oskarżył rządzący Fidesz o próbę jego skompromitowania.

Ostatecznie nagrania nie ukazały się, a wszystko skończyło na poziomie oskarżeń, zdjęć i oświadczeń. Magyar wybory wygrał i teraz ma kryminalną sprawę o kradzież. Dwa miesiące przed imprezą w owym mieszkaniu z chmurami cukru pudru tak zabalował w nocnym klubie Otkert w Budapeszcie, że w czasie awantury ukradł pewnemu mężczyźnie telefon, a potem wrzucił do Dunaju. Policja telefon wyłowiła i jak raz wyszło na jaw, że wszystko się pięknie nagrało. Tym bardziej należy więc docenić troskę Magyara o alkoholową i narkotykową czystość posłów.

TAŚMY PRAWDY

Tak czy owak, to właśnie nagrania są największym źródłem wiedzy o przygodach polityków degeneratów. Albo ktoś ich nagrał – służby czy ludzie, z którymi mieli do czynienia – albo sami to zrobili. To jakiś szczególny rodzaj perwersji, by rejestrować i pokazywać własne zachowania.

Takim przypadkiem jest historia homoseksualisty, działacza niemieckiej partii FDP, Martina Neumaiera. Niemiec opublikował w sieci zdjęcia pokazujące, jak... no cóż, nie da się tego inaczej opisać, no więc... taaaa... pokazał zdjęcia... Jeśli państwo czytają ten tekst w samolocie, to można wyciągnąć z oparcia siedzenia papierową torebkę specjalnego użytku... No więc opublikował fotografie pokazujące, jak wylizuje pisuary i deski klozetowe w dworcowej toalecie.

Kongresmen demokratów Anthony Weiner, jeszcze jako mąż Humy Abedin – najbliższej współpracowniczki sekretarz stanu Hillary Clinton – rozsyłał pornograficzne zdjęcia, także swoje, nieletnim dziewczętom. Zwyrodnialec poszedł siedzieć na dwa lata.

Nagrania przedstawiające, jak sam sobie dogadza, wysyłał swojej kochance żonaty i dzieciaty deputowany do Zgromadzenia Narodowego, rzecznik prezydenta Emmanuela Macrona i kandydat na mera Paryża, Benjamin Griveaux.

Lorda Johna Stewela, wicespikera Izby Lordów i szefa komisji etycznej, w nagraniach wyręczyły prostytutki. To one dla bulwarówki „Sunday Sun" zarejestrowały figle z 69-letnim mężem i ojcem czworga dzieci: sceny, w których niczym odkurzacz wciąga kopce białego proszku, w których paraduje w damskiej bieliźnie i rynsztokowym językiem – jak nie przymierzając Radosław Sikorski w nagraniach z restauracji Sowa & Przyjaciele – opowiada o sprawach damsko-męskich. Anglik sam płacił paniom, a przecież mógł je wciągnąć na jakąś państwową posadę. Tak zrobił odsiadujący obecnie 25 lat za łapówy hiszpański minister socjalista, Luis Ábalos, który w kierowanym przez siebie resorcie zatrudnił panie specjalnego przeznaczenia.

> Ciekawe doświadczenie przeprowadziła niemiecka telewizja SAT, której reporter pobrał próbki z toalet w siedzibie Bundestagu. W 22 na zebranych 28 wykryto takie ilości kokainy, że nawet zdechły pies, który za życia szukał narkotyków, wpadłby w ekstazę

Kamery monitoringu odmieniły los Francuza Dominique'a Strauss-Kahna. Szef Międzynarodowego Funduszu Walutowego, murowany faworyt w wyścigu do Pałacu Elizejskiego, został nagrany, gdy opuszczał hotel w Nowym Jorku po tym, jak miał w nim napaść pokojówkę. Potem na jaw wyszedł jeszcze jego udział w zbiorowych imprezach z damami. Niektóre, żeby było zabawniej, zwoziła policja w Paryżu, Lille, Brukseli czy Waszyngtonie. I tak oto monsieur Dominique musiał się pożegnać z marzeniami o prezydenturze Francji.

Z karierą w Parlamencie Europejskim musiała się rozstać kolejna ofiara kamer monitoringu. József Szájer, węgierski europoseł, został nagrany, jak w Brukseli spuszczając się po rynnie, ucieka z mieszkania, do którego nocą z powodu donosu o naruszeniu covidowego reżimu wbiła się policja. W środku, w tumanach białej mgły, trwał balet ponad 20 panów, a wśród nich właśnie węgierskiego kota, męża sędzi Trybunału Konstytucyjnego, jednego z autorów konstytucji, a w niej artykułu o tym, iż małżeństwo to wyłącznie związek kobiety i mężczyzny, głównego ideologa Fideszu – Józka Szájera. Ale narkotyki, które w jego plecaku znalazła policja, oczywiście mu ktoś podrzucił.

Wielu wspomnianym przez nas sprawom towarzyszą tragedie, czy to ofiar, którym życie połamano, czy rodzin sprawców, którym runął świat. I mogłoby się wydawać, że opisujemy je zbyt frywolnie. Jeśli tak, to przepraszamy, ale jak tu się nie śmiać, gdy okazuje się, że na zabawach z ukraińskimi prostytutkami zostaje przyłapany taki Michel Friedman, prezes Europejskiego Kongresu Żydów i działacz CDU. Tak czy owak, oddzielamy przestępstwa czy dramaty, jak choćby pań, które na swojej drodze spotkały posła Kołodziejczyka, od spraw dorosłych i ich wyborów, które współczucia nie budzą i na które nie może być paragrafów, choćby moralną, a nawet fizyczną odrazę wywoływały.

Te porno-narko kroniki moglibyśmy ciągnąć przez cały tygodnik, a może nawet po kresy internetu, i niestety musimy stwierdzić, że wciąż jesteśmy zacofani, bo polscy politycy dostarczyli stosunkowo niewielu wrażeń. Jeśli już, to nasi rodacy skrzydła rozwijają za granicą, jak wspomniany Friedman, którego rodzice po wojnie wyjechali z Krakowa. U nas w kraju nadal kołtuństwo oraz zaścianek i gdybyśmy chcieli rozwinąć temat, musielibyśmy oprzeć się na plotkach. Z kolei udokumentowane opisy przygód polskich polityków pominiemy, a to dlatego, że ich bohaterowie w większości już odeszli z tego padołu łez i narkoseksu.

eprasa.pl e047054f7a

Gdy Polski nie było na mapach Europy, walka o jej niepodległość toczyła się nie tylko na polach bitew i ulicach miast. Równie ważne było ocalenie narodowej pamięci, zabytków i pamiątek przypominających o dawnym istnieniu państwa. W szwajcarskim Rapperswilu powstało miejsce, którego celem stało się zachowanie dziedzictwa narodowego i podtrzymywanie ducha w czasach zaborów



STANISŁAW PŁUŻAŃSKI



Fot. marekusz/Shutterstock.com

Muzeum w Rapperswilu.

Jak Polacy walczą za granicą o narodowe dziedzictwo

W XIX w. państwa zaborcze wielokrotnie podejmowały działania wymierzone w polskość. Szczególnie dotkliwe represje następowały po kolejnych powstaniach narodowych. Władze ograniczały rozwój polskiego szkolnictwa, ingerowały w życie publiczne i administrację, a także zwalczały inicjatywy patriotyczne. Mimo tych trudności Polacy nie przestawali pielęgnować własnej tożsamości. W rodzinach przekazywano kolejnym pokoleniom opowieści o dawnej Rzeczypospolitej, przechowywano dokumenty, portrety, odznaczenia i pamiątki po uczestnikach walk o niepodległość. Rozwijały się tajne nauczanie, działalność literacka i społeczna.

BEZCENNE ARCHIWALIA I PATRIOCI NA EMIGRACJI

W tych warunkach szczególnego znaczenia nabrała ochrona historycznych zbiorów. Dokumenty, dzieła sztuki i przedmioty związane z przeszłością stanowiły świadectwo ciągłości polskiej kultury i przypominały, że rozbiory oznaczały utratę państwowości, ale nie kres polskiej wspólnoty narodowej. W czasach, w których na ziemiach polskich ograniczano swobodę posługiwania się językiem ojczystym i represjonowano działaczy patriotycznych,

eprasa.pl e047054f7a

ważnymi ośrodkami polskości stały się instytucje powoływane poza granicami kraju. Jedną z najważniejszych było Muzeum Polskie w Rapperswilu.

Klęski powstań, represje polityczne i brak perspektyw na odzyskanie niepodległości sprawiły, że tysiące Polaków opuszczały kraj. Szczególne znaczenie miała Wielka Emigracja, która rozpoczęła się po upadku powstania listopadowego. Do Francji, Szwajcarii, Wielkiej Brytanii i innych krajów Europy wyjeżdżali żołnierze, politycy, pisarze, artyści i działacze społeczni. Na obczyźnie kontynuowali działalność patriotyczną, zakładali stowarzyszenia i biblioteki oraz wydawali książki i czasopisma. Starali się także chronić materialne ślady polskiej przeszłości. Dokumenty, rękopisy i dzieła sztuki były na ziemiach polskich narażone na zniszczenie, konfiskatę lub rozproszenie. Dlatego za granicą zaczęto organizować instytucje, które miały ocalić narodowe dziedzictwo do czasu odzyskania niepodległości.

SZWAJCARSKI ZAMEK

Muzeum Polskie w Rapperswilu powstało z inicjatywy hrabiego Władysława Platera. Pochodzący z Wilna uczestnik powstania listopadowego po jego upadku wyjechał na Zachód, gdzie zaangażował się w działalność polityczną i wydawniczą na rzecz Polski. Współpracował z księciem Adamem Jerzym Czartoryskim, wydawał pisma patriotyczne i zabiegał o poparcie sprawy polskiej w Europie. Po wybuchu powstania styczniowego pomagał w przerzucie polskiej młodzieży do kraju, a w 1864 r. został przedstawicielem emigracyjnego Rządu Narodowego w Szwajcarii. W sierpniu 1868 r., w stulecie konfederacji barskiej, Plater ufundował Kolumnę Barską, wzniesioną nad Jeziorem Zuryskim w miejscowości Rapperswil. Szwajcarskie miasto, położone w kantonie Sankt Gallen, zapewniało polskim emigrantom warunki do prowadzenia działalności patriotycznej z dala od represyjnych władz zaborczych. W miejscowym średniowiecznym zamku Plater urządził siedzibę polskiej placówki. 23 października 1870 r. otworzył tam muzeum pamiątek historycznych i dzieł sztuki, nazwane Muzeum Narodowym Polskim.

Dzięki darom polskich emigrantów placówka szybko się rozwijała. Gromadzono w niej dzieła sztuki, pamiątki historyczne, dokumenty i książki, świadczące o bogatej przeszłości Polski i jej dorobku kulturalnym. W 1874 r. Plater zakupił zbiory Leonarda Chodźki, a w 1883 r. przekazał muzeum własne archiwalia dotyczące powstania styczniowego i dziejów polskiej emigracji w Szwajcarii.

Pozyskał również od Krystyna Ostrowskiego znaczną darowiznę finansową, dzięki której uruchomił tzw. stypendia rapperswilskie. Przeznaczono je dla Polaków w kraju i na emigracji, którzy zamierzali podjąć studia w renomowanych uczelniach europejskich.

W skład powołanej przez Platera rady muzealnej weszli m.in. członek Rządu Narodowego podczas powstania styczniowego Agaton Giller, antykwariusz Henryk Bukowski oraz pisarz Józef Ignacy Kraszewski. W związku z napływem kolejnych darów utworzono bibliotekę i rozbudowane archiwum. Biblioteką opiekował się Henryk Bukowski, a wśród osób związanych z jej działalnością znaleźli się m.in. Stanisław Grabski i Stefan Żeromski. Ten ostatni pracował w Rapperswilu w latach 1892–1896, a część z jego dzieł powstała właśnie podczas pobytu w Szwajcarii. Doświadczenia emigracyjne i obserwacje życia polskich środowisk na obczyźnie znalazły odzwierciedlenie w jego twórczości, m.in. w powieści „Ludzie bezdomni".

CENTRUM POLSKIEJ KULTURY

W 1895 r. w zamkowej wieży umieszczono urnę z sercem Tadeusza Kościuszki. Po śmierci Władysława Platera w 1889 r. opiekę nad muzeum sprawowali kolejni kustosze. W latach 1892–1914 funkcję tę pełnił Włodzimierz Rużycki de Rosenwerth. Placówka pozostawała ważnym ośrodkiem życia polskiej emigracji. Organizowano w niej spotkania i uroczystości patriotyczne, m.in. obchody stulecia uchwalenia Konstytucji 3 maja w 1891 r., w których uczestniczyła Maria Konopnicka. Wśród osób zaangażowanych w działalność placówki znalazł się Roman Dmowski. Rapperswil odwiedzali także Józef Piłsudski i Gabriel Narutowicz.

Zbiory Muzeum Polskiego w Rapperswilu były ogromne, obejmowały archiwalia związane z ważnymi postaciami i wydarzeniami z historii Polski. Szczególnie cenne były akta, listy, pamiętniki i wydawnictwa dokumentujące walkę o niepodległość, działalność emigracji oraz rozwój polskiej kultury i myśli politycznej.

Wiele eksponatów przekazywali emigranci, którzy przywozili je z ojczyzny lub oddawali pamiątki rodzinne, pragnąc ocalić narodowe dziedzictwo i pamięć o utraconej ojczyźnie. Wśród zgromadzonych materiałów znajdowały się dokumenty królewskie z XV–XVIII w., źródła dotyczące konfederacji barskiej, Sejmu Czteroletniego i uchwalenia Konstytucji 3 maja, a także materiały związane z insurekcją kościuszkowską i działalnością Legionów Polskich we Włoszech. Ważną część kolekcji stanowiły dokumenty dotyczące powstania listopadowego i styczniowego, w tym archiwalia Rządu Narodowego z 1863 r. oraz tajna prasa z lat 1863–1864. Muzeum gromadziło również materiały poświęcone polskiej emigracji w Europie i Ameryce, a także pamiątki związane z Tadeuszem Kościuszką i Adamem Mickiewiczem. W zbiorach znajdowały się ponadto autografy, materiały biograficzne, książki, mapy, atlasy, nuty i fotografie, a także dzieła sztuki oraz militaria.

Muzeum pełniło nie tylko funkcję archiwum narodowej pamięci, lecz także ważnego ośrodka promocji polskiej sprawy na arenie międzynarodowej. Pokazywało europejskim społeczeństwom, że Polacy mają własną historię, język i tradycję państwową, a rozbiory nie oznaczały końca polskiej wspólnoty narodowej. Zwiedzający mogli poznawać dzieje Rzeczypospolitej, oglądać materialne świadectwa jej kultury i dowiadywać się o wydarzeniach, które doprowadziły do utraty niepodległości. W ten sposób zgromadzone eksponaty stawały się argumentem w walce o zachowanie pamięci o Polsce i przypomnienie Europie o jej prawie do wolności.

POWRÓT ZBIORÓW DO POLSKI

Po zakończeniu I wojny światowej i upadku mocarstw zaborczych w 1918 r. Polska odzyskała niepodległość. Zgodnie z wolą Władysława Platera zasadniczą część zbiorów Muzeum Polskiego w Rapperswilu przewieziono do kraju w 1927 r. Transport zorganizowany specjalnym pociągiem nadzorował Kazimierz Brokl. W trzynastu wagonach znalazła się ogromna kolekcja dokumentów, książek i pamiątek. Szczególnym przewożonym przedmiotem była urna z sercem Tadeu-

eprasa.pl e047054f7a



sza Kościuszki, eskortowana przez szwajcarskich oficerów. W zbiorach muzeum znajdowało się wówczas m.in. 91 tys. druków, ponad 27 tys. rękopisów i autografów, ponad 22 tys. rycin i sztychów, ok. 1,5 tys. map i atlasów, ponad tysiąc zapisów nutowych oraz blisko 10 tys. fotografii. Zbiory trafiły do Warszawy, gdzie zostały umieszczone jako depozyt w Centralnej Bibliotece Wojskowej, znajdującej się w gmachu Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich.

Powrót kolekcji do kraju nie oznaczał jednak końca działalności muzealnej w Rapperswilu. Opiekę nad zamkiem przejęło polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a w 1936 r. z inicjatywy warszawskiego Bloku Zawodowych Artystów Plastyków zorganizowano tam wystawę współczesnej sztuki polskiej. Z czasem powstała stała ekspozycja prezentująca sztukę, życie i dorobek odrodzonego państwa. Nową placówkę nazwano Muzeum Polski Współczesnej, a jej kustoszem została Halina Jastrzębowska-Kenarowa. Muzeum miało odtąd pokazywać nie tylko przeszłość, lecz także osiągnięcia niepodległej Polski.

KOLEJNA PRÓBA OCALENIA PAMIĘCI

II wojna światowa przyniosła dramatyczne straty polskiemu dziedzictwu kulturowemu. Większość zbiorów rapperswilskich, w tym archiwalia i księgozbiór przewiezione do Warszawy, została zniszczona przez Niemców. Część spłonęła we wrześniu 1939 r., podczas obrony stolicy w gmachu Centralnej Biblioteki Wojskowej. Kolejne straty nastąpiły po upadku powstania warszawskiego w 1944 r., gdy Niemcy spalili zbiory przechowywane w Bibliotece Ordynacji Krasińskich przy ulicy Okólnik 9. W ten sposób zniszczeniu uległa znaczna część kolekcji, którą przez dziesięciolecia gromadzili polscy emigranci. Nieliczne zachowane fragmenty zbiorów znajdują się dziś w Bibliotece Narodowej w Warszawie, m.in. spuścizna Seweryna Goszczyńskiego, materiały po Joachimie Lelewelu, dwa listy Fryderyka Chopina, 330 woluminów starodruków, ponad 1 tys. druków z XIX w., rękopisy muzyczne, ok. 200 obiektów ikonograficznych i kilka kartograficznych.

Wojna zmieniła również działalność muzeum w Szwajcarii. W 1940 r. internowano tam ok. 13 tys. polskich żołnierzy, którzy walczyli we Francji, głównie w szeregach 2. Dywizji Strzelców Pieszych. Placówka zaangażowała się w działalność edukacyjną na ich rzecz, organizując m.in. objazdową bibliotekę. W muzeum otwarto także dział poświęcony polskim żołnierzom internowanym w Szwajcarii.

LIKWIDACJA I ODRODZENIE

Po zakończeniu II wojny światowej, 25 sierpnia 1945 r., Muzeum Polskie w Rapperswilu przejął rząd komunistyczny w Warszawie. Próby podporządkowania placówki władzom PRL i przekształcenia w instytucję propagandową doprowadziły do sporu z władzami szwajcarskiej gminy. Po przegranym procesie o dzierżawę zamku muzeum zakończyło działalność 28 września 1951 r., a w lutym 1952 r. jego zbiory przewieziono do Polski. W odpowiedzi na likwidację placówki 30 stycznia 1954 r. polscy emigranci i szwajcarscy sympatycy Polski, z inicjatywy Szwajcarki Marii Hohl, powołali Towarzystwo Przyjaciół Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Dzięki jego staraniom oraz wsparciu lokalnych władz 21 czerwca 1975 r. otwarto na zamku nową placówkę.

Kolejnym krokiem było powołanie 13 stycznia 1978 r. Polskiej Fundacji Kulturalnej „Libertas" wspierającej muzeum i polskie instytucje kulturalne na emigracji. Odtworzona instytucja zaczęła gromadzić nowe zbiory, przede wszystkim dzięki darowiznom Polonii ze Szwajcarii, z innych krajów Europy i Ameryki Północnej. W ten sposób, mimo powojennej likwidacji i utraty dawnej siedziby na wiele lat, Rapperswil ponownie stał się ważnym ośrodkiem polskiej kultury i pamięci historycznej za granicą.

GORZKIE ZAKOŃCZENIE

Upadek komunizmu nie przyniósł końca problemów Muzeum Polskiego w Rapperswilu. W 2008 r. pojawiły się trudności z przedłużeniem umowy dzierżawy zamku, a w 2017 r. władze miasta zdecydowały o jego remoncie i zmianie sposobu użytkowania. 30 czerwca 2022 r. muzeum musiało opuścić swoją historyczną siedzibę, w której działało z przerwami od 1870 r.

Po latach starań o zachowanie polskiej obecności w Rapperswilu pojawiła się szansa na znalezienie nowego miejsca dla placówki. Polski rząd zdecydował o zakupie kompleksu Schwanen, położonego niedaleko zamku, z zamiarem zapewnienia muzeum warunków do dalszej działalności. Nieruchomość zakupiono w 2022 r., rozważając ulokowanie tam zarówno muzeum, jak i oddziału Instytutu Pileckiego.

Plany te nie zostały jednak zrealizowane. Po zmianie władzy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wycofało się z przyjętej koncepcji. 4 października 2024 r. ówczesna minister kultury Hanna Wróblewska poinformowała, że uwarunkowania finansowe i geopolityczne nie pozwalają na kontynuowanie projektu, a hotel Schwanen powinien zostać sprzedany. W konsekwencji szwajcarska spółka Instytutu Pileckiego rozpoczęła reorganizację i przygotowania do sprzedaży nieruchomości oraz wycofania się z działalności.

Fot. Muzeum Polskie w Rapperswilu

eprasa.pl e047054f7a

Czy ukraińskie latyfundia wygrają bój o unijny rynek rolny?



AGNIESZKA ŁAKOMA

Kijów właśnie otrzymał zielone światło na rozpoczęcie negocjacji z Brukselą w najbardziej kontrowersyjnej dziedzinie, jaką jest rolnictwo. Nie boi się stawiać warunków ani żądać otwarcia rynku. – To większe zagrożenie niż umowa z Mercosurem – ostrzega szef rolniczej Solidarności



Fot. Shutterstock

Powiedzieć, że otwarcie unijnego rynku na ukraińskie produkty rolno-spożywcze to bardzo wrażliwa kwestia dla polskich i europejskich rolników, to nic nie powiedzieć. Bo w praktyce mamy do czynienia z dwoma różnymi rzeczywistościami, a różnic i dysproporcji jest tak wiele, że może się okazać, że w trakcie negocjacji nie uda się odpowiednio zabezpieczyć interesów europejskich gospodarstw. I to nawet pomimo dobrych chęci czy optymistycznych zapowiedzi komisarz ds. rozszerzenia UE Marty Kos.

Każdy, kto choć trochę uczył się geografii, wie, że Ukraina to „zbożowy spichlerz Europy" i najlepsze na kontynencie gleby – czarnoziemy. Ale indywidualne gospodarstwa rolne tam to margines, gros ziemi wykorzystują wielkie firmy – agroholdingi, nastawione na jak najwyższą produkcję. I co najważniejsze, na terenie kraju naszego wschodniego sąsiada nie obowiązują wyśrubowane unijne normy produkcji, tak dotkliwe dla polskich rolników.

– Ukraina ma zupełnie inne standardy i to się szybko nie zmieni. Nie mam wątpliwości co do tego, że nie uda się tam w pełni wdrożyć norm i wymogów unijnych – przewiduje przewodniczący NSZZ „Solidarność" Rolników Indywidualnych Tomasz Obszański. I dodaje, że Unia Europejska musiałaby wprowadzić przynajmniej 15-letni, a może nawet 20-letni okres przejściowy, by można było mówić o równych możliwościach konkurowania naszego rolnictwa z ukraińskim. – Te ogromne koncerny niemieckie, francuskie, izraelskie czy amerykańskie, które tam gospodarują na wielkich połaciach ziemi, tylko czekają, by słać jak najwięcej produktów do UE – mówi nam Obszański.

POWIERZCHNIA NIE DO OGARNIĘCIA

Gdy w Polsce średnia powierzchnia gospodarstwa rolnego wynosi ok. 12 ha, to w Ukrainie największy z holdingów Kernel, notowany na warszawskiej Giełdzie Papierów Wartościowych, posiada ponad

12/1026/F

eprasa.pl e047054f7a

500 tys. ha ziemi. Na podium są też MHP (Mironowski Chleboprodukt), który ma w sumie ok. 370 tys. ha w 12 regionach kraju, oraz Ukrlandfarming – 330 tys. ha. Zaś kolejne agroholdingi z pierwszej dziesiątki gospodarują na obszarach od 116 tys. do 250 tys. ha. Dla porównania: ponad 90 proc. gospodarstw rolnych w Polsce stanowią te o powierzchni do 30 ha.

– Nie możemy przymykać na to oczu i ignorować rzeczywistości – podkreśla Robert Telus, były minister rolnictwa, poseł PiS.

Pszenicę, kukurydzę, jęczmień i żyto uprawia się w Ukrainie na obszarze ponad 11 mln ha, a zatem – jak informuje portal Agro&Konsument – większym „niż cała powierzchnia zasiewów zbóż w Polsce i Niemczech" (łącznie).

– My nie wygramy z Ukrainą, dlatego jako Solidarność opowiadamy się za tym, by nie przyjmować Ukrainy do Wspólnoty. Przegra na tym nie tylko polskie, lecz także całe rolnictwo unijne – zaznacza Obszański.

BRUKSELA PROPONUJE, A KIJÓW ŻĄDA

Gdy kilka dni temu Bruksela opublikowała wstępne założenia dotyczące negocjacji z krajami starającymi się o członkostwo, w tym dotyczące ukraińskiego rolnictwa, niemal natychmiast z Kijowa popłynęła ostra riposta. A to dlatego, że komisarz Marta Kos zaproponowała „ukierunkowane ustalenia", które „powinny znacznie ograniczyć wsparcie finansowe i dostęp Ukrainy do rynku dla wrażliwych produktów rolnych". I wskazała, że Ukraina „będzie i może członkiem Wspólnej Polityki Rolnej", ale „przedmiotem dyskusji będzie to, na jakich warunkach". „Musimy również chronić rolników w Unii Europejskiej" – tłumaczyła komisarz.

Tymczasem ukraiński wicepremier ds. integracji Wsiewołod Czencow i minister odpowiedzialny za rolnictwo Taras Wysocki jednoznacznie dali do zrozumienia, że Ukraina nie zgodzi się na członkostwo, jeśli ma to oznaczać trwałe ograniczenie dla eksportu jej płodów rolnych i produktów żywnościowych.

„Wszelkie mechanizmy przejściowe powinny być uzasadnione, proporcjonalne i ograniczone czasowo" – stwierdził wicepremier Czencow, cytowany przez ukraińskie media. A minister Wysocki przekonywał, że „między okresem przejściowym a trwałym ograniczeniem jest zasadnicza różnica". „Ukraina jest przygotowana na to pierwsze. To drugie byłoby sprzeczne z samą logiką pełnego członkostwa w Unii Europejskiej" – stwierdził w oświadczeniu opublikowanym przez portal Politico. Jego zdaniem „Ukraina nie może się zgodzić na takie podejście".

Poseł Telus uważa wypowiedź ministra Wysockiego za skandaliczną i przejaw „ukraińskiej buty". Przypomina, że Ukraina to nie jest kraj potentat, ale kandydat do członkostwa w UE, a mimo to już na wstępie stawia, a nawet próbuje dyktować całej Unii warunki, co jest nie do zaakceptowania.

– Ze zdziwieniem odbieram fakt, że władze w Kijowie w ogóle stawiają Komisji

REKLAMA

KALENDARZ-PORADNIK NA 2027



miejsce na notatki | niedzielne Ewangelie z komentarzami | motta dnia | patroni na każdy dzień | odnośniki do czytań liturgicznych | przepisy kulinarne | użyteczne rady, ciekawostki i sentencje

CENA:
~~25,00 zł~~
18,00 zł*

*Cena promocyjna – najniższa z ostatnich 30 dni.

ZAMÓW:
tel.: **34 369 43 22** w godz. 7-15
e-mail: **sekretariat@niedziela.pl**

Z nami ***odkryjesz piękno*** *każdego dnia!*

eprasa.pl e047054f7a

Europejskiej jakieś warunki – mówi poseł PiS Zbigniew Kuźmiuk. I dodaje: – Dobrze by było, aby Komisja Europejska zajęła się losem rolników i kondycją gospodarstw w krajach członkowskich, zamiast martwić się o przychody gigantycznych koncernów na Ukrainie, na których budżet tego kraju zyskuje niewiele.

Do negocjacyjnej gry o otwarcie unijnego rynku włączyła się również główna organizacja branżowa UCAB, która reprezentuje interesy ponad 200 „najważniejszych uczestników" z sektora rolnego Ukrainy, w tym potentata – koncernu Kermel. Co ciekawe, na liście członków UCAB jest też nawet Ambasada Holandii, banki Credit Agricole i oraz dostawcy sprzętu rolniczego spoza Ukrainy.

Organizacja ta proponuje 10-letni okres przejściowy dla rolnictwa ukraińskiego, lecz także stawia warunki. W oficjalnym oświadczeniu na stronie internetowej czytamy wręcz, że „nie można oczekiwać, że ukraińscy rolnicy w pełni dostosują się do standardów Unii, co wymagałoby miliardowych inwestycji w zakłady produkcyjne, technologie i praktyki rolnicze", jeśli nie otrzymają „jasnej perspektywy pełnego uczestnictwa w jednolitym rynku" Wspólnoty.

TO UKRAINA MA SIĘ DOSTOSOWAĆ

Negatywne reakcje Ukrainy tylko na samą zapowiedź unijnej komisarz Kos dotyczącą możliwych ograniczeń dla importu towarów rolno-spożywczych z tego kraju to sygnał, że władze w Kijowie uznały, iż mogą sobie na to pozwolić i że nie zamierzają ustępować.

– Każde państwo zabiegające o członkostwo musi spełnić warunki i wymogi unijne, zanim wejdzie do Wspólnoty. Tak samo musi zrobić Ukraina, czyli przystąpić na zasadach unijnych. I to nie my mamy się do niej dostosować – wyjaśnia Robert Telus.

Teraz wiele będzie zależeć z jednej strony od postawy unijnych negocjatorów, a z drugiej od rządów państw członkowskich, szczególnie Polski, Francji i państw graniczących z Ukrainą. Bo to one mają najwięcej do stracenia po otwarciu rynku.

Jakie mogą być skutki nierozważnego otwarcia rynku, przekonali się polscy rolnicy w latach 2022–2023, kiedy to przez nasz kraj zboże ukraińskie miało być przewożone tylko tranzytem, a tymczasem znaczna część dostaw zamiast trafić do państw trzecich i na rynki w Afryce czy na Bliskim Wschodzie, pozostała w Polsce. Doprowadziło to do drastycznego spadku cen zbóż.

– Nie można pozwolić, by to się powtórzyło – mówi Tomasz Obszański. – Po otwarciu rynku dla towarów z Ukrainy większość dostaw trafi do Polski, tu pójdzie główne uderzenie. Pierwsi przyjmiemy zboże, cukier, miód, drób, a do tego olej rzepakowy, słonecznikowy, sojowy. Negatywne skutki odczuje też polski przemysł cukierniczy. Już teraz rolnicy mają problemy, a po otwarciu drzwi dla Ukrainy, gdy będzie największy zalew produktów, grozi nam po prostu bankructwo – wyjaśnia.

> Każde państwo zabiegające o członkostwo musi spełnić warunki i wymogi unijne, zanim wejdzie do Wspólnoty. Tak samo musi zrobić Ukraina. I to nie my mamy się do niej dostosować – mówi były minister rolnictwa Robert Telus

Poseł Kuźmiuk przypomina, że od wybuchu wojny ukraińskie rolnictwo korzysta z warunków lepszych niż unijne, gdyż tylko w niewielkim stopniu ma ograniczony dostęp do rynku europejskiego, a jednocześnie nie zostało objęte obostrzeniami. – I to już jest gigantyczna preferencja dla ukraińskich producentów – dodaje.

CO NA TO RZĄD?

Trudno ocenić, jaką postawę przyjmie w najbliższych tygodniach i miesiącach rząd Donalda Tuska. Posłowie opozycji raczej nie mają złudzeń.

– No cóż, nie spodziewam się żadnego protestu ani próby zablokowania integracji ukraińskiego rolnictwa. Polski rząd zrobi to, co Niemcy, bo tradycyjnie idzie z głównym nurtem Brukseli i Berlina – przewiduje Zbigniew Kuźmiuk.

Natomiast Robert Telus wskazuje, że szansą byłoby zbudowanie silnej koalicji państw w samej Unii Europejskiej, która mogłaby zablokować import ukraiński, tak jak to się udało wcześniej we współpracy z Rumunią, Słowacją i Węgrami.

Na razie polskie władze nie zgłaszają takiego planu. Natomiast już wiadomo, że gdyby doszło do zmiany rządu po wyborach we Francji, to sojusznikiem mogłoby być Zjednoczenie Narodowe Marine Le Pen. Ona sama kilka dni temu w poście na portalu X napisała wręcz, że gdyby Ukraina przystąpiła do UE, Francuzi „byliby pierwszymi, którzy ucierpieliby, i to dwukrotnie". Jej zdaniem Francja będzie z jednej strony musiała stawić czoła „zaciętej, nieuczciwej konkurencji", a z drugiej część budżetu Wspólnej Polityki Rolnej przeznaczona na rolnictwo francuskie będzie „znacznie zmniejszona".

SYTUACJA KRYTYCZNA

Tomasz Obszański zauważa, że już teraz bez formalnej integracji z unijnym rynkiem trafiające do Polski (bezpośrednio i pośrednio) towary rolno-spożywcze z Ukrainy powodują, że sytuacja wielu naszych gospodarstw staje się krytyczna.

– Mamy nadmiar produkcji zarówno cukru, jak i zboża, a ceny są dramatycznie niskie – zwraca uwagę. – Nie można liczyć na opłacalność produkcji, skoro ceny w skupie są na poziomie sprzed dziesięciu lat, a koszty produkcji znacząco wzrosły – zarówno ceny paliw, jak i nawozów.

Przewodniczący rolniczej Solidarności mówi wprost, że polskie rolnictwo nie przetrwa, skoro „już teraz wielu rolników jest na skraju wyczerpania finansowego i nerwowego".

Z kolei Robert Telus uważa, że z niedawnych wypowiedzi polityków z Kijowa płynie jeden konkretny wniosek: że Ukrainie w praktyce nie zależy na integracji z Unią Europejską i spełnieniu wszystkich wymogów, ale na otwarciu rynku i dostępie do niego. – Bo integracja to wymagania, a otwarcie rynku to same korzyści – podkreśla.

eprasa.pl e047054f7a

Blask drugiego planu



Potrafią zabłysnąć i wzruszyć. Odciągnąć uwagę od kolegów z pierwszego planu, ale też pierwszy plan pięknie dopełnić. Takie są – również w najnowszych kinowych i streamingowych premierach – Dominika Kluźniak [na zdj.] i Barbara Wypych

Fot. Jarek Sadkowski/TVP

eprasa.pl e047054f7a



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Już 21 października zobaczymy je obie w kontynuacji głośnej produkcji Netfliksa pt. „Matki pingwinów”. Poza tym Dominikę Kluźniak można będzie oglądać w filmie „Syrenka Picassa” w reżyserii Janusza Zaorskiego, w którym znakomicie odnalazła się w klimacie lat 50. ub.w., oraz we współczesnym serialu TVP „SOR”.

Barbara Wypych wprowadziła natomiast dużo dobrej energii do komedii obyczajowej „Jak żyć, żeby nie zwariować” w reżyserii Tomasza Koneckiego, w której rozbrajająco zagrała sąsiadkę i przyjaciółkę głównej bohaterki.

ZAWODOWE SZLIFY

Obie aktorki spotkały się wcześniej także na planie serialu „Camera Café”, w którym dały dowód komediowego talentu. Humor towarzyszył bohaterkom granym przez Dominikę Kluźniak przy takich produkcjach, jak serialowe „BrzydUla” czy „Hela w opałach”. W kinie jej kunszt oraz wyraziście budowane postacie można było podziwiać w filmach, takich jak „Tylko mnie kochaj”, „Galerianki”, „Lejdis”, „Jak się pozbyć cellulitu”, „Gotowi na wszystko. Exterminator” czy „Zabawa, zabawa”.

Z urodzenia Wrocławianka, absolwentka warszawskiej Akademii Teatralnej (rocznik 2003), szlifowała aktorski warsztat na stołecznych scenach. W roku dyplomu zadebiutowała w Teatrze Współczesnym, grając w „Straconych zachodach miłości” w reżyserii Agnieszki Glińskiej. Potem na sześć lat związała się z Teatrem Dramatycznym, a od 2010 r. jest w zespole Teatru Narodowego.

PRAWDA MIKROSCEN

W „Syrence Picassa” gra młodą mężatkę, na której losy oraz uczuciowe perypetie wpływa wymieniony w tytule rysunek.



Barbara Wypych (z lewej) w filmie „Jak żyć, żeby nie zwariować”

Film rozgrywa się w dwóch planach czasowych i nawiązuje do prawdziwych wydarzeń. Te sprawiają, że ekranowa żywotność bohaterów jest rozciągnięta w czasie do granic prawdopodobieństwa. Akcja toczy się na przełomie lat 40. i 50. ub.w., by powrócić do bohaterów współcześnie, dodając dawnym co najmniej dwudziestolatkom blisko osiem dekad. Mimo podobnych zastrzeżeń klasyczny w założeniach i formie film, z urokliwą dawną parą współtworzoną przez Dominikę Kluźniak i Macieja Musiała, powinien się spodobać widzom 60+. To grupa filmowych odbiorców coraz częściej zauważana oraz doceniana przez twórców i producentów.

W nowym szpitalnym serialu – „SOR” – powierzono jej rolę przełożonej pielęgniarek i w dużej mierze za jej sprawą dynamiczna narracja (ze sporym udziałem młodych, pełnych zapału oraz uroku aktorów) zyskała mikrosceny, które potrafią poruszyć widza, nie epatując jedynie medyczną dosadnością.

WIDOKI NA PRZESZŁOŚĆ

Urodzona w Kaliszu, młodsza o ponad dekadę od koleżanki, Barbara Wypych, absolwentka łódzkiej Filmówki z 2016 r., od dyplomu etatowo związana z warszawskim Teatrem Współczesnym, też już pokazała, że potrafi zagrać doświadczone życiem, pogłębione postaci.

Jeszcze w czasie studiów zdobyła tytuł najbardziej elektryzującej aktorki Festiwalu Szkół Teatralnych i zadebiutowała na dużym ekranie rolą w filmie „Panie Dulskie” (2015) Filipa Bajona. Rok później w dramacie „Powidoki” Andrzeja Wajdy zwróciła uwagę sugestywną kreacją młodej aktywistki. Przez trzy lata grała w telenoweli „M jak miłość”, ale największą rozpoznawalność przyniosła jej rola Andzi w historyczno-obyczajowym serialu „Stulecie Winnych” (2020–2022). Przeprowadziła w nim swoją bohaterkę przez kilkadziesiąt lat jej życia.

Z PASJĄ I DETERMINACJĄ

Wielu widzów mocno jej kibicowało, gdy występowała w programie „Twoja twarz brzmi znajomo”. Mogła się w nim wykazać nie tylko talentem aktorskim, lecz także wokalnym, tanecznym i muzycznym (jest absolwentką szkoły muzycznej w klasie fortepianu i fletu poprzecznego). Przy okazji programu mówiła: „Scena jest moim żywiołem, a móc wcielać się w różne – często skrajnie odległe od tego, jaka ja jestem – postaci to jedna z moich wielkich pasji”.

Wyzwaniem, do którego wróciły z Dominiką Kluźniak, ale też m.in. z Maszą Wągrodzką i Magdaleną Różczką, był serial platformy Netflix „Matki pingwinów”. W drugim już sezonie ekranowe bohaterki zmierzą się z kolejnymi wyzwaniami rodzica skonfrontowanego z niepełnosprawnością lub atypowością dziecka.

W listopadzie będziemy mogli zobaczyć aktorkę w spektaklu Teatru Telewizji „Wszystko czerwone” według Joanny Chmielewskiej w reżyserii Krystyny Jandy.

Fot. Monolith Films

eprasa.pl e047054f7a



Maciej ***Walaszczyk***

Rockowy banita z Australii



Choć Gary Stephen „Angry” Anderson był człowiekiem mikrego wzrostu i postury (z powodu krótkich rąk nigdy nie próbował grać na gitarze), dysponował pełnym autentyzmu i silnym rockowym głosem, przez ponad 50 lat występując w australijskiej grupie Rose Tattoo. Co więcej, był jednym z najlepszych tego rodzaju wokalistów. 21 września br. zmarł nieoczekiwanie w czasie europejskiej części pożegnalnej trasy koncertowej, w wieku 79 lat, nie docierając m.in. na zapowiadany koncert w Polsce. Był również twórcą australijskiej odmiany hard rocka, tak charakterystycznie utrwalonej w popkulturze przez bliźniacze AC/DC. Jego frazowanie i ton, szczególnie na żywiołowych koncertach, brzmiały bardzo podobnie do śpiewu Bona Scotta, a gdy w 1973 r. założył swój pierwszy zespół Buster Brown, jego perkusistą był Phil Rudd, późniejszy bębniarz AC/DC.

Anderson i Rose Tattoo – obok ekipy braci Youngów – zdefiniowali właśnie ten rodzaj elektryzującego „bad boy rock and rolla”, choć w jego nieco cięższej, szybszej i bardziej bluesowej odmianie. Nigdy jednak nie zrobili takiej kariery, zadowalając się grą w klubach i pubach. To na ich pierwszej płycie „Rock ‚n’ Roll Outlaw” (1978) znalazła się piosenka „Nice Boys”, w latach 80. wykonywana przez Guns N’ Roses i umieszczona na minialbumie „G N’R Lies” (1988). Axl Rose postanowił zostać gwiazdą rocka właśnie wtedy, kiedy zobaczył Rose Tattoo podczas ich pierwszej amerykańskiej trasy w 1982 r. Anderson był bowiem charakterystyczną postacią sceniczną. Nie tylko śpiewał, lecz także wystąpił m.in. w trzeciej części sagi o Mad Maksie, wcielając się w postać Ironbara Basseya u boku Mela Gibsona i Tiny Turner. Idealnie łączył w sobie sprzeczności człowieka Zachodu: z jednej strony był gwiazdą rocka, a z drugiej np. przykładnym ojcem czwórki dzieci. To dla nich stworzył kapitalną balladę „Suddenly”, znaną np. z serialu „Sąsiedzi”. „Konserwatystą będę do końca życia” – deklarował, od zawsze będąc piewcą australijskiej tożsamości, co w 1984 r. pieczętował piosenkami z płyty „Southern Stars”. Głośno sprzeciwiał się także masowej imigracji. Przez wiele lat wspierał konserwatywną Partię Narodową i angażował się w działalność Australian Liberty Alliance.

Skarby nieznane i zapomniane

Niezwykły trzypłytowy album jest pokłosiem zainicjowanego w 2017 r. przez flecistkę Krystynę Gołaszewską projektu „Między nieznanym a zapomnianym. Muzyka polska w świetle nowych odkryć”. Niezwykły, bo wykraczający poza to, co zazwyczaj proponują wydawnictwa płytowe, i mieszczący w sobie szesnaście kompozycji dokumentujących historię 150 lat muzyki polskiej. Od późnego romantyzmu po twórczość całkiem współczesną. Wartością dodaną jest wysoka jakość nagrań, zapewniona przez znanego realizatora Jakuba Garbacza.

W ramach wspomnianego projektu grupa kilkudziesięciu polskich muzyków prezentuje zapomniane bądź jeszcze niewykonane utwory naszych kompozytorów. Dzięki temu niektóre z nich doczekały się światowego prawykonania, a inne – właśnie na tej płycie – swojej fonograficznej premiery. Wśród nich są m.in. łącząca nowoczesność z klasyką „Fantazja na trąbkę solo” czy rewelacyjny, będący hołdem dla Karola Szymanowskiego, „U Karola w Atmie na kwintet dęty” zmarłego pięć lat temu Benedykta Konowalskiego. Premierowa jest również otwierająca album i nawiązująca do stylu neoklasycznego, dowcipna i pełna przekory „Suita w dawnym stylu na kwintet dęty”, skomponowana przez Wojciecha Łukaszewskiego. Poza tym poznać możemy m.in. utwory Tadeusza Zygfryda Kasserna, Antoniego Szałowskiego czy brawurową, ale melodyjną i pełną elegancji trzyczęściową „Sonatinę na trąbkę i fortepian” Piotra Perkowskiego. Ciekawostką jest sześć inspirowanych folklorem „Piosenek ludowych na alt i fortepian” autorstwa znanego kompozytora muzyki teatralnej Edwarda Pałłasza, zaśpiewanych przez Walerię Przelaskowską-Rokitę. Płyta zawiera też mało znane kompozycje twórców rodzimej XX-wiecznej pianistyki, np. piękne i absolutnie chopinowskie Preludium b-moll op. 9 Aleksandra Michałowskiego czy przejmujący Mazurek a-moll Władysława Macury. Całość uzupełnia dwanaście etiud fortepianowych Karola Szymanowskiego w wykonaniu Roberta Marata, sześć polskich pieśni Ferenca Liszta i oczywiście kompozycje Fryderyka Chopina – z idiomatycznym dla naszej frazy romantycznej Mazurkiem a-moll na flet i fortepian. Wspaniała dokumentacja dziedzictwa muzycznego.



„Forgotten Treasures” (3CD), Chopin University Press 2026

Maciej Walaszczyk

Fot. Sven Mandel/CC BY-SA 4.0

eprasa.pl e047054f7a



HITY i KITY ZAREMBY



Przemoc Szekspira w fikcyjnym Rzymie

Polacy prawie nie grają „Tytusa Andronikusa" Williama Szekspira. Wystawił tę sztukę Marcin Liber w toruńskim Teatrze im. Wilama Horzycy. O czym to dziś jest?

Szekspir napisał ją na początku swojej drogi. W jego dramatach trup ściele się gęsto. Ale tu... Znawca Szekspira Jan Kott napisał, że gdyby autor nie ograniczył się do pięciu aktów, to w szóstym kazałby mordować widzów.

Opowiada nam o spirali zemsty. Tamora, królowa Gotów, a potem cesarzowa Rzymu, mści się za zabicie swojego syna z woli rzymskiego wodza Tytusa Andronikusa. Napuszcza więc innych synów, aby zgwałcili jego córkę Lawinię. A oni odcinają jej ręce i wyrywają język. Ojciec mści się z kolei, przyrządzając z gwałcicieli potrawkę i częstując nią matkę. Są i inne potworności...

Szekspir często naginał historyczne zdarzenia i mylił fakty. Tu jednak po prostu wymyślił kawałek historii starożytnego Rzymu. Nie było Tytusa. Żaden rzymski cesarz nie poślubiłby wziętej do niewoli władczyni barbarzyńskiego narodu. Co gorsza, sztuka jest mało wiarygodna psychologicznie. To upiorny, bezładny kolaż, pełen wręcz pornograficznego bestialstwa.

Pamięta się amerykański film Julie Taymor z 1999 r. z Anthonym Hopkinsem w roli tytułowej. Ale w polskim teatrze zagrano ten tekst tylko cztery razy, od prapremiery w 1987 r. w łódzkim Teatrze im. Stefana Jaracza. Sam bym nie doradzał jej wystawiania. Z kolei Liber ma jak dla mnie nadmierną tendencję do deformowania dawnych sztuk przez przebieranie ich w inne kostiumy.

Jak było tym razem? Napisałem, że Rzym jest tu bytem cokolwiek umownym. Ale czy powinno z tego wynikać przebieranie części postaci, w tym cesarza, w ubrania upodabniające ich do współczesnych polskich cinkciarzy? Inni są z kolei w mocno kosmicznych kostiumach – Mirka Kaczmarka, zarazem autora apokaliptycznej scenografii. Czy to może dziać się dzisiaj? I czy celną dodatkową oprawą są popisy wrestlingu – dwaj uprawiający go zawodnicy urządzają na scenie własne zawody.

Jak rozumiem, Liber, który tekst sztuki ścisnął, ale zasadniczy zrąb fabuły pozostawił, szuka w ten sposób okrucieństwa we współczesnym świecie. To dla niego traktat o nagiej przemocy. Tropi ją w czasach, kiedy koniec historii nie nastąpił, a za naszą wschodnią granicą dzieją się upiorne harce, podobne do tych, które urządzili Lawinii synowie Tamory. Może to i tłumaczy w jakiś sposób sięgnięcie po ten tekst.

Spektakl ma efektowne momenty, także dzięki sugestywnej oprawie muzycznej Rafała Ryterskiego. Jest popisem występującego gościnnie aktora warszawskiego Ateneum Adama Cywki w roli Tytusa, zwłaszcza w finałowych napadach jego szaleństwa. Sugestywny jest Konrad Żygadło jako syn Tytusa Lucjusz – szczególnie w scenie, w której i on okazuje się człowiekiem okrutnym. Materiał na dobrą rolę, choć mniej dopracowaną niż tamtych, pokazał Michał Darewski jako upiorny niewolnik Tamory Aaron. Bywają straszni Aleksander Gałązka i Igor Tajchman jako synowie Tamory. Wstrząsająca, zwłaszcza już jako okaleczona i niema, jest Joanna Rozkosz – Lawinia.

Te pochwały nie skasowały moich wątpliwości co do chaotycznej konstrukcji utworu, więc i chaosu na scenie, czasem na pograniczu nieczytelności. Ale Jan Kott napisał trafnie, że w tych postaciach daje się zauważyć materiał na kolejnych szekspirowskich bohaterów. Czyż szaleństwo Tytusa nie kojarzy się z Królem Learem? Lucjusz to zaś dla Kotta przyszły Hamlet. A przecież Szekspir z jakichś powodów wciąż nas kręci. Skądinąd toruńska, w dużej mierze młoda, widownia przyjmowała meandry tej permanentnej makabry z wyraźnym zainteresowaniem.

Piotr Zaremba

Fot. Marek Zimakiewicz/Teatr im. Wilama Horzycy w Toruniu



Ludzkość znów w szponach maszyny

„Hot spot" Agnieszki Smoczyńskiej jest kinem autorskim, mało zabiegającym o widza. Można go też uznać za kino gatunkowe, choć pytanie, na ile to prawdziwe science fiction, a na ile pastisz. Ja w nim widzę rodzaj wydłużonej przypowiastki, która nagle się urywa

Nie jestem wielkim entuzjastą kina Smoczyńskiej. Może jedynie „Fuga", najmocniej zanurzona w społeczno-ludzkim konkrecie, przemówiła do mnie żywiej. Chwalone „Córki dancingu" nawet nie leżały obok horroru, nie zawierały też zbyt wielu obserwacji na temat realiów PRL. A „Silent twins" to dla mnie międzynarodowe dziwactwo, uznane nie wiedzieć czemu za film polski, co otworzyło mu drogę do głównej nagrody na festiwalu w Gdyni.

Także ten film, formalnie polsko-grecko-norweski, pojawił się w Gdyni. Główną rolę gra jedyny Polak, mąż reżyserki Andrzej Konopka – jest detektywem o imieniu Dżony. Dwie inne główne aktorki to Norweżka Noomi Rapace jako tajemnicza migrantka Rana i Japonka Reika Kirishima jako żona detektywa Ayka. Większość aktorów to z kolei Grecy mówiący śmieszną angielszczyzną, łatwą do zrozumienia dla kogoś takiego jak ja.

Dostajemy rzeczywistość dystopijną. Z jednej strony świat jest tu spustoszony przez suszę, wyludniony, z drugiej – zdominowany przez najnowocześniejszą technologię. Wszyscy podłączeni są do cyfrowego mózgu zwanego Głową. Mamy więc refleks niepokoju nadobecnością AI, ostatnio modnego. Przetrzebiona społeczność jest oczywiście rządzona na modłę totalitarną.

Tyle że ten film nie osiąga perfekcji produkcji z brytyjskiego cyklu „Czarne lustro", gdzie każdy przypadek technologicznej przyszłości to okazja do suspensu, a zarazem do przestrogi. Owszem, rzecz zaczyna się atrakcyjnie, bo mamy i śledztwo w sprawie morderstwa w obozie dla uchodźców, i wizję jakiegoś zakłócenia systemu owego podłączenia. Ale dystopie, w których ludzie są uzależnieni od techniki, już widzieliśmy, a Smoczyńska wraz ze scenarzystą Robertem Bolestą nie wychodzą poza stereotyp. Owszem, mamy kilka scen sugestywnych filmowo (koncert Ayki, naprawdę poruszający – muzyka Marcina Macuka) i mamy niezłe aktorstwo. Przy czym Dżony-Konopka to rola nonszalancko autoironiczna, stąd wrażenie pastiszu.

Niby dostajemy jakieś zakończenie. Ale dlaczego Dżony-Konopka zmienia się w tygrysa, tego się nie dowiemy. Smoczyńska wybiera kreowanie nastroju, wrażenia, ponad odpowiedzi. Choć sugestywne zdjęcia Jakuba Kijowskiego wraz z odrealnioną scenografią Anny Anosowicz mogą się spodobać.

Fot. SO Films

PERSKIE OKO JULIUSZA MACHULSKIEGO

Teatr Telewizji ogłosił reaktywację spektakli kryminalnych pod szyldem Kobry. W 70. rocznicę powstania cyklu Juliusz Machulski napisał i wyreżyserował przedstawienie pt. „Wnuczka Picassa". Zgrabne, ale będące żartem z motywów kryminalnych

Pojawienie się tego cacka pośród przedstawień poniedziałkowych w TVP1 nie świadczy o rzeczywistym odrodzeniu całego gatunku. W dawnych czasach Kobry pojawiały się w zasadzie systematycznie w czwartki (choć na zmianę z filmami kryminalnymi). I były to przeważnie kryminały serio. Pamiętam, że jako dziecko czasem się nawet bałem podczas oglądania.

Często były to adaptacje zachodnich powieści, rzadziej działy się w Polsce, bo trudniej było ułożyć zajmującą historyjkę o zbrodni, osadzoną w realiach socjalizmu, z dzielnym funkcjonariuszem milicji jako detektywem. W postscriptum przypomniano nam, że w czwartki pustoszały ulice, bo ta rozrywka miała małą konkurencję. Prawda, tak było. I tak z pewnością nie będzie.

Machulski pochwalił się, że raz już napisał tekst do tego formatu, w 1974 r., jako Jerry McKee, a telewizja uwierzyła, że to produkt zgniłego Zachodu. Teraz też użył takiego podpisu, dla żartu. Choć „Wnuczka Picassa" dzieje się we współczesnej Polsce.

Na początku widzimy, jak elegancka Sonia (Masza Wągrocka) negocjuje sprzedaż drogich obrazów, w tym jednego Picassa, z filmowym producentem (Piotr Grabowski), co staje się dla Machulskiego okazją do podworowania sobie z własnej branży. Szybko orientujemy się, że coś jest nie tak. Czy Sonia to prawdziwa właścicielka eleganckiego mieszkania, czy tylko się podszywa? Potem akcja się komplikuje z powodu powrotu prawdziwych gospodarzy. Dostajemy kilka jej zwrotów z solidnym suspensem. Co kojarzy się z takimi filmami Machulskiego jak choćby „Vinci", a więc z konwencją nie na serio.

Mamy niby cyniczną pointę, w której oszustwo triumfuje. Ale zostaje ona wzięta w cudzysłów, podobnie zresztą jak cała historia. Taki cynizm czasem mnie razi, ale cudzysłów pomógł mi go przetrawić. Sam finał był zabawny.

No był, tyle że ja w teatralnym paśmie chciałbym też zobaczyć kryminał serio. Polski teatr jest dziś odwrócony tyłem od różnych gatunków, a od kryminału szczególnie. Nawet kino garnie się do niego średnio. Agnieszka Szydłowska w podsumowaniu po emisji spektaklu triumfalnie ogłaszała, że 71-letni Machulski stawia już nie na łebskich bohaterów, lecz na bohaterki. Musi się zrehabilitować za potępianą przez feministki „Seksmisję"?



PABLO PICASSO W WARSZAWIE I FILMIE „SYRENKA PICASSA”

Na Kole i na ekranie

Kadry z filmu „Syrenka Picassa”



Jest w Warszawie blok. Na Woli. Adres: dziś ul. ks. Jana Sitnika 4, dawniej Deotymy 48. To tu we wrześniu 1948 r. na nowo powstającym osiedlu, w jednym z mieszkań, słynny Pablo Picasso namalował mural. Z godłem odwiedzanej stolicy, ale nieco zmienionymi jej atrybutami. Poza wyeksponowanym biustem obdarował Syrenkę młotem, zamiast miecza. Ponoć miała to być kielnia – przedmiot niezwykle użyteczny na ówczesnych budowach, ale tłumaczce zabrakło słowa, więc pojawił się młot.



Oscar Martin

Zaangażowany politycznie Picasso (był w tym czasie członkiem Francuskiej Partii Komunistycznej) przyjechał do Polski na Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju, odbywający się we Wrocławiu. Przy okazji odwiedził Kraków, Oświęcim i Warszawę. W stolicy nocował w hotelu Bristol, zwiedził m.in. ruiny Zamku Królewskiego, Łazienki, Belweder i Pałac Wilanowski. Zawieziono go także na robotniczą Wolę i tzw. Koło. Budowane tam osiedle ponoć wydało się malarzowi bardzo funkcjonalne, docenił również sposób pozyskiwania materiału (wykorzystywano gruz ze zniszczonego miasta).

Wykonany węglem mural (o wymiarach: ok. 1,8 × 1,7 m) szybko zaczął przyciągać rzesze zwiedzających – pojedynczych ludzi i wycieczki; zwyczajnych obywateli i oficjeli. Dziennie przez niewielkie wnętrze potrafiło się przewijać nawet kilkaset osób. W 1953 r., na prośbę wyczerpanych sytuacją mieszkańców, podjęto decyzję o zamalowaniu rysunku.

Historia powstania muralu oraz jego dalszych losów stała się punktem wyjścia filmu „Syrenka Picassa”, który właśnie wchodzi do kin. Słynnego artystę zagrał w nim hiszpańsko-luksemburski aktor Oscar Martin. Podobno przekonał reżysera Janusza Zaorskiego nie tylko podobieństwem do Picassa, lecz i tym, że przed castingiem pojechał w miejsce, w którym przed laty rysunek powstał.

Kopię muralu można dziś zobaczyć m.in. na ścianie budynku przy ul. Obrońców 28/30 (Picasso gościł tu u warszawskich artystów).

Jolanta Gajda-Zadworna

Fot. Jacek Sadowski/TVP

eprasa.pl e047054f7a



SŁODKO-SŁONY

Na kurzej nóżce

ANNA MONICKA

Rosół to zupa szczególna. W mojej rodzinie chyba najważniejsza – babcia na Śląsku gotowała go zawsze na powitanie, gdy przyjeżdżaliśmy w odwiedziny. Złocistym bulionem, który na kurze i włoszczyźnie naciągał przez kilka godzin, pachniał wspaniale cały familok, a wszystkie sąsiadki wiedziały, że za parę godzin przybędzie Jorguś, ukochany syn. Byłam za mała, żeby pamiętać, co dokładnie babcia dodawała do swojego rosołu, ale jego smak wspominam do dziś i kiedy sama robię bulion na kurze, zawsze staram się, żeby pachniał i smakował podobnie. Na pewno podstawą było dobre mięso – wszyscy w okolicy hodowali kury, które spacerowały po swoich zagrodach, grzebały w ziemi i polowały na robaki, a nie siedziały całymi dniami w ciasnych klatkach.

Gdy jadę w odwiedziny do ciotki, też zawsze czeka na mnie rosół i też jest pyszny. Ale ciotka nigdy nie kupuje kurzego mięsa w sieciówkach, zawsze idzie do sąsiadki, która ma kilkadziesiąt dobrze karmionych, żyjących na swobodzie kur. Ja, odkąd znalazłam sklep sprowadzający raz w tygodniu ekologiczne kurczaki, znowu zaczęłam z radością gotować rosoły, a właściwie buliony kolagenowe. Dobrze robią na skórę, stawy, jelita, odżywiają. Zrobiły się ostatnio modne, ale pakowane w półlitrowe butelki kosztują po 40 zł albo i więcej, bo żadnemu zapracowanemu młodemu człowiekowi nie chce się gotować cierpliwie przez kilkanaście godzin. Ja jednak pracuję w domu, więc mogę spokojnie przypilnować gara, zwłaszcza że robię to raz na tydzień czy dwa, a moje buliony pasteryzuję w słoikach.

W siedmiolitrowym garnku nastawiam wywar – oczywiście jest kurczak, są osobno dodawane łapki oraz kurze i indycze skrzydełka z chrząstkami. Wszystko zalewam zimną wodą z łyżką dobrego octu jabłkowego. Gdy postoi pół godziny, dodaję marchew, pietruszkę, seler korzeniowy, listek laurowy, ziele angielskie i kilka kulek czarnego pieprzu. Zawsze dodaję parę plasterków imbiru i trzy goździki, żeby wzmocnić antyprzeziębieniowe działanie zupy. Naturalny ocet jabłkowy ułatwia uwalnianie z kości i chrząstek minerałów oraz kolagenu. Gotuję na wolnym ogniu z lekko uchyloną pokrywką – zwykle 10–12 godzin – na końcu solę do smaku. Potem wystawiam na dwór, żeby zrobiła się galaretka. Zdejmuję z wierzchu tłuszcz, jeszcze raz podgrzewam i dokładnie przecedzam przez sitko. Część zamykam na gorąco w wyparzonych słoikach i pasteryzuję w piekarniku, resztę wypijamy.

Fot. Shutterstock



WILCZYM OKIEM

Krzewy

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Krzewy mają wiele zalet. Nie zamierzam oczywiście umniejszać drzewom, wręcz przeciwnie. Możliwości jednego okazałego drzewa w zakresie produkcji tlenu, korzystnego wpływu na mikroklimat, bogactwa oferowanych siedlisk różnym gatunkom grzybów, zwierząt i roślin (tak, drzewo jest siedliskiem innych roślin – bywa porastane przez paprocie, interesującym przypadkiem są też cisy wyrastające w załomach kory z nasion ukrytych na zapas przez ptaki) – no więc potencjał przyrodniczy i środowiskowy jednego dużego drzewa dalece przewyższa łączne możliwości nawet wielu krzewów.

Jak to jednak w przyrodzie jest, krzewy również mają swoją niszę ekologiczną. I powtórzę: wiele zalet. Mniejsze rozmiary często wiążą się z mniejszym zapotrzebowaniem na wodę czy mniejszymi wymaganiami glebowymi, co pozwala krzewom zakorzenić się i utrzymać na glebach płytkich czy wręcz w niewielkich niczym misy zagłębieniach.

W bardzo subiektywnym wyborze wskazałbym kilka gatunków rodzimych, z różnych względów wartych uwagi, z naciskiem zarówno na subiektywność, jak i niekompletność, bo wartych uwagi jest nieporównanie więcej gatunków.

Z krzewów iglastych wskazałbym na kosodrzewinę, z zastrzeżeniem, że jej naturalnym rejonem występowania są wyższe piętra górskie, powyżej granicy lasu. W Polsce naturalne stanowiska kosówki znajdują się w Tatrach, na Babiej Górze i Pilsku. Mało który krzew wytrzymałby zgniatanie masami śniegu i lawiny – kosówka tak.

Szerszy zasięg ma jałowiec pospolity, naturalny w całym kraju, obejmujący również podgatunek górski zwany jałowcem halnym. Odporny na susze, tworzący zimozieloną gęstwinę.

Z krzewów liściastych wskazałbym tarninę, chociażby ze względu na oszałamiającą liczbę gatunków różnych grup systematycznych, które są z tarniną związane. Dodatkowo ciernista tarnina, podobnie jak kolczasta dzika róża, odpowiednio prowadzona tworzy nie tylko siedliska przyrodnicze, lecz także bardzo skuteczne żywopłoty obronne.

Do tej listy dorzuciłbym czeremchę pospolitą (uwaga na inwazyjną amerykańską), wyróżniającą się pięknie pachnącymi kwiatami.

I jeszcze istotna kwestia. Żeby krzew pełnił swoją funkcję, nie powinien być krzaczkiem mizernym i przycinanym. Jeżeli mamy pod opieką krzew, zakrzewienie lub żywopłot, pozwólmy im rozrosnąć się choć trochę bujniej.

eprasa.pl e047054f7a



3 MIŁOŚCI

Pochwała śmierci

Niebawem wielu katolików będzie uczestniczyć w dorocznym świeckim rytuale. Odbędzie się kolejna dyskusja na temat Halloween. Czy jest drogą do opętania, czy zupełnie nieszkodliwą zabawą. Przyznam się, że męczy mnie ten rytualny taniec, tak samo jak coroczny spór o sens powstania warszawskiego. Od kilkunastu lat jednak proszono mnie, żebym wypowiedział się na ten temat, więc piszę.

All Hallow Day – Dzień Wszystkich Świętych i All Hallow Evening – Wieczór Wszystkich Świętych; inaczej Samhain, obchodzony jest 31 października. W Polsce stał się niezwykle popularny. Dosłownie w ciągu kilkunastu lat angliści i mass media przeszczepili na polski grunt tę nową, nie do końca świecką, tradycję. Popularność Halloween nad Wisłą może świadczyć o tempie przemian narodowej mentalności oraz naszej uległości kulturowej. Ten polski mimetyzm jest po części skutkiem pedagogiki wstydu narzucanej Polakom przez obcy im kulturowo polskojęzyczny establishment. W przypadku Halloween należy też brać pod uwagę aspekt komercyjny. Stworzono nowy rynek: sprzedając halloweenowe



ROBERT TEKIELI

gadżety, przedmioty zupełnie niepotrzebne, można zarobić niemałe pieniądze.

Halloween jest jednak tak natarczywie promowany przez media i nachalnie propagowany w szkołach, ponieważ współczesne areopagi od zawsze postępują zgodnie z główną zasadą rewolucji kulturowej: wszystko, byle nie chrześcijaństwo. Krok po kroku kultura nowożytna jest zarażana symbolami wrogimi religii wywiedzionej z Objawienia.

Proszę mnie dobrze zrozumieć. Nie przypisuję Halloween bezpośrednich związków z zorganizowanymi satanistycznymi obrzędami. Nie uważam, by to „święto" miało wymiar religijny czy rytualny. Nie zaprzeczam, że Halloween jest równie wydarzeniem komercyjnym. Jednak to popkulturowe Święto Duchów ma nie tylko wymiar rozrywkowy. Po pierwsze, niszczy wrażliwość.

Każdy rozsądny człowiek przyzna, że czym innym jest przebieranie się małych dzieci za bejsbolistów, księżniczki albo aniołki, a czym innym przebieranie się za wiedźmy, wróżki, upiory, wampiry, duchy, zombies, czarownice, demony czy gobliny.

Jeśli rodzice sądzą, że obcowanie z brzydotą pozostaje bez wpływu na wrażliwość ich dzieci, mylą się. Czy dalibyście trzyletniej dziewczynce do zabawy niedawno popularne laleczki przedstawiające zombies, trupki, monstra doktora Frankensteina? Niech bawi się, układając trupki do snu w trumienkach. Są rodzice, którzy tak robią. Zdrowy rozsądek mówi nam, żeby tego nie robić. Czego potrzebują dzieci? Mają nasiąkać

Fot. Shutterstock

eprasa.pl e047054f7a

pięknem, dobrem, ładem i miłością. Głupotą jest promowanie przebierania się za odrażające postacie zamiast wspierania dziecięcego umiłowania piękna.

I jeszcze kwestia wyobraźni. W logice, którą niesie Halloween, dla dzieci cmentarz nie jest już miejscem spoczynku, lecz upiornym, mrocznym i tajemniczym miejscem, w którym bytują zombies, wampiry, upiory, w którym straszą duchy. To obraz kłócący się z chrześcijańskim widzeniem tych spraw. Ale gdy nie chodzi już o małe dzieci: oznacza to, że dla dwunastolatka chodzenie po domach z koszykiem na cukierki jest okej? Nie.

W tym przypadku nie chodzi już tylko o formę, wyobraźnię i wrażliwość. Ważne są również treści.

Lewicowo-liberalne media piszą, że dla wielu młodych ludzi Halloween jest okazją do zabawy, przebierania się w śmieszne stroje i spotkań z przyjaciółmi. Młodzi podkreślają, że w trakcie tego typu zabaw nie dzieje się nic o charakterze duchowym. Promotorzy Halloween dodają, że to celtyckie święto miało kpiną i groteską pomóc ludziom oswoić się ze śmiercią. Tyle że od czasów druidów wiele się w kwestii naszego stosunku do śmierci zmieniło.

Ironia, przerysowanie, kpina ze śmierci – są rodzajem ucieczki od niej. A ja sądzę, że młodzież powinna ćwiczyć umiejętność realistycznego spojrzenia również na strony naszego życia mniej radosne.

Używany jest argument, że przecież Halloween jest tym samym, co średniowieczne czy barokowe tańce śmierci, które nie były niczym gorszącym. Jednak ówczesne żarty ze śmierci były głęboko przesycone teologiczną prawdą. W Polsce groteski na jej temat tworzyli także duchowni, by wspomnieć księdza Bakę. Tyle że znów: w jego twórczości podział na dobro i zło był oczywisty. Przebieranie się za czarownicę, wampira, ducha czy diabła nie jest samo w sobie niczym złym, na jasełkach ich uczestnicy również są przebrani za diabła, śmierć i inne dziwne postaci. Jednak tu wiadomo, gdzie jest dobro, gdzie zło. A to nie zachodzi w przypadku Halloween.

Co dziwne, wykpiwający istnienie duchowego komponentu Halloween nie zastanawiają się, dlaczego to święto z taką powagą czczą sataniści. Według Antona Szandora LaVeya, założyciela i najwyższego kapłana Kościoła Szatana, „zaraz po dniu własnych urodzin dwoma najważniejszymi świętami są: Walpurgisnacht – Noc Walpurgii i Halloween – wigilia Wszystkich Świętych". Jak pisał LaVey w „Biblii Szatana", pochodzi ono z czasów druidów, ale „w Szkocji święto to połączono z okresem, w którym duchy zmarłych, demony, czarownice i czarownicy byli szczególnie aktywni". W tym czasie „duchy, czarownice i demony mają szczególną moc". Ktoś chce się wpisywać w taką tradycję?

Halloween jest tak natarczywie promowany przez media i nachalnie propagowany w szkołach, ponieważ współczesne areopagi od zawsze postępują zgodnie z główną zasadą rewolucji kulturowej: wszystko, byle nie chrześcijaństwo. Krok po kroku kultura nowożytna jest zarażana symbolami wrogimi religii wywiedzionej z Objawienia

Najważniejsze jednak, że to „święto" jest sprzeczne z katolickim przeżywaniem Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego. Halloween jest zupełnie sprzeczny z duchem tych dni. Odziera śmierć z jej powagi, każe na nią patrzeć w kategoriach festynu, nie uczy szacunku dla zmarłych i cmentarzy. Zamazuje chrześcijański wymiar spotkania modlitewnego nad grobami bliskich. Śmierć, krew, rany stają się częścią nierzeczywistego teatru, a nie ważną częścią życia, realną w swojej powadze.

Jak – banalizując i akceptując wyśmiewanie ważkiej przecież rzeczywistości umierania – uzasadniać dziecku śmierć w rodzinie lub ciężką, śmiertelną chorobę? A przecież w tym momencie nie chodzi już tylko o katolicki sposób myślenia. Wielu ludzi, o różnym światopoglądzie, 1 listopada udaje się na cmentarze, żeby odwiedzić groby bliskich. Zauważanie powagi faktu śmierci i umierania ludzi, również nam najbliższych, to nie światopogląd chrześcijański, to rzeczywistość, która nas otacza i bezpośrednio dotyczy.

Ilu ludzi nawraca się na pogrzebach! Wielu biskupów oddelegowuje do posługi na dużych cmentarzach swoich złotoustych księży. Tu liturgia słowa i homilie dla wielu ludzi są często jedynym od dekad spotkaniem ze Słowem Bożym.

Człowiek jako jedyne stworzenie na świecie troszczy się o zmarłych. To oprócz sumienia druga forma życia oddzielająca nas od świata zwierząt. W postępującym od dziesięcioleci procesie bestializacji człowieka zanika również ta troska.

Wyznajemy kult ciała. Nie ma zgody na śmierć. Trzeba ją wyprzeć, zagadać zwiastującą śmierć starość. Zliftingować. Oszukać młodzieżowym strojem, zachowaniem. Tak. Opisuję zachowanie dziecka. Dzisiejszy świat jest niedojrzały. W kulturach dojrzałych wszystko było na swoim miejscu. Popatrzmy na twarz bacy. Jest tu, gdzie jest, ma na siebie zgodę. Nie ucieka w marzenia, nie pogrąża się w przeszłości. Jest dziś i teraz. Spokojny.

Kultury dojrzałe to ład. Rzym zamieszkiwały dziewczynki, kobiety i matrony. Dopiero matrony były osobami w pełni wolnymi. Nie uciekały od starości.

Halloween jest częścią tej zachodniej niedojrzałości. Jak zapełnione hospicja i szpitale. Halloweenowy stosunek do śmierci unieważnia jej powagę. Halloweenowa groteska, ironia mają pozbawić śmierć majestatu. Dziś umiera się w szpitalu. Ciało wystawione w domu w trumnie jest skandalem. Kiedy nie ma perspektywy Boga, śmierć staje się ostateczną klęską. A jest częścią życia.

Umieranie od zawsze było uznawane za najważniejszy moment ludzkiej egzystencji. Zawsze będziemy się lękać śmierci. Na szczęście człowieka nie da się zredukować do ciała. Kto w to wierzy, ma nadzieję na znalezienie sensu życia.

eprasa.pl e047054f7a

Z WOLEJA

Cojones i futbol



Ryszard Czarnecki

Jedna z najlepszych piłkarek świata, Polka Ewa Pajor, gra w FC Barcelona, zatem pewnie zna hiszpański i wie, co oznacza słowo „cojones". I właśnie owe jaja, za przeproszeniem, pokazała nasza... kobieca reprezentacja w starciu z Belgią w barażu o awans na mundial. Polki przegrały na wyjeździe, u nas goniły wynik, ale co strzeliły gola, to podwładne króla Belgów i jego żony z polskimi korzeniami (jej mama, panna Komorowska, urodziła się w Polsce) odpowiadały bramką. Wynik 3:2 oznaczał karne: w nich dwie jedenastki obroniła zaledwie 20-letnia bramkarka Paris FC, choć wychowanka Słowika Olkusz i GKS Katowice – Kinga Seweryn. Dzięki temu Biało-Czerwone awansowały do finału baraży.

Wspomniana Pajor nie strzeliła dwóch karnych (jednego w Belgii, drugiego w serii po dogrywce), ale strzeliła trzy gole w dwóch meczach, czym nadrobiła zmarnowane szanse z jedenastego metra. Męska reprezentacja mogłaby do żeńskiej pójść na korepetycje. Najlepiej dobrze płatne, bo przecież piłkarze grający w zagranicznych klubach mają z czego zapłacić dziewczynom zarabiającym kilkanaście albo i więcej razy mniej niż oni. To w sumie przykre, że w futbolu jest jak w lekkiej atletyce i tak, jak kiedyś było w koszykówce i rugby siedmioosobowym, że to faceci mogą zazdrościć naszym damom. Tylko w siatkówce żeńska reprezentacja jest wciąż w cieniu męskiej, mimo że w tym roku po raz pierwszy od siedmiu lat awansowała do pierwszej czwórki mistrzostw Europy.

Gdy chodzi o naszą męską piłkę, to osłodą w morzu żalu, goryczy i złorzeczeń są dwa kluby wciąż grające w europejskich pucharach, czyli Lech Poznań i Jagiellonia Białystok. „Kolejorz" radzi sobie bardzo dobrze i w Ekstraklasie, i na froncie europejskim, za to „Jaga" kuleje w naszej lidze, a błyszczy na Starym Kontynencie.

Trzeba też pochwalić młodzieżową reprezentację Polski kierowaną przez Jerzego Brzęczka, wuja ekskapitana „dorosłej" kadry, który skądinąd zawsze będzie w sercach polskich kibiców – Kuby Błaszczykowskiego. Drużyna Brzęczka, który w swoim czasie przestał być trenerem drużyny seniorów, bo się nie podobał Robertowi Lewandowskiemu (a ten przed nim i po nim zmieniał selekcjonerów kadry niczym rękawiczki), awansowała do finałów Mistrzostw Europy U-21, gdzie gra tylko osiem krajów, a nie 24, jak w seniorskim Euro. Młodzi Polacy są w grze o awans na igrzyska olimpijskie (w USA), na których Biało-Czerwoni nie byli od 34 lat.

Jestem na tyle młody, aby pamiętać mecz, który widziałem na żywo na Wembley w marcu 1999 r., gdy Anglia wygrała z nami 3:1. Bramki dla Albionu strzelał głową, nogą i ręką (!) rudy Paul Scholes, a honorową dla Polski zdobył właśnie Jurek Brzęczek. Teraz niech strzela jego U-21...

Michał Korsun prezentuje:
Udane plony posła Kołodziejczaka



Wycinki z przeszłości

W czasach komunistycznego zniewolenia Polski emigracyjne czasopisma informowały nie tylko o polityce, lecz także o codziennym życiu kraju. Szwajcarskie „Pod Prąd" w listopadzie 1948 r. donosiło o cenie dolara na wolnym rynku (1,5 tys. zł), sukcesach polskich lotów pasażerskich, odnalezieniu wawelskiego dywanu Jana Sobieskiego, nowym parku narodowym w Pieninach i miniaturowym samochodzie zrobionym z dykty w Katowicach, osiągającym 80 km/h.

(sp)


POD PRĄD

PISMO POLSKIEJ MYŚLI NIEPODLEGŁOŚCIOWEJ W SZWAJCARII

1 LISTOPADA 1948 Nr. 36 /122

Autopromocja

eprasa.pl e047054f7a

Szczerba junior znokautował Szczerbę seniora



Marek ***Formela***

Szczerba senior zdobył na ringu w Montrealu i w Moskwie dwa brązowe medale olimpijskie, cztery razy był mistrzem Polski. Odbył tysiące treningów, w tym treningów z tarczą. Jak Karol Nawrocki z Mannym Pacquiao.

Według posła Michała Szczerby, syna Kazimierza, krótki trening z tarczą prezydenta Polski z gwiazdą światowego boksu, obecnie ministrem ds. ubóstwa na Filipinach, przypominał spotkanie „gangusów z miasta".

Ojciec posła musiał się wzruszyć osobiście. Podobnie premier, szczerze w końcu ostatnio poruszony autorytetem uczestnika walk freakowych, takich nawalanek dla miłośników sportów nieolimpijskich.

W tym zacnym politycznym towarzystwie Tuska, Szczerby i Zdrojewskiego kręci się też od lat bokser Michalczewski. Obdarował Tuska z okazji 60. urodzin pięściarskimi rękawicami, stał murem za wyborczymi kandydaturami Adamowicza i Komorowskiego; rad był też z upadku reżimu Morawieckiego i nastania demokratycznych rządów Tuska. W zamiarze aktywistów PO miał być kimś w rodzaju świadka koronnego – kogoś, kto pomoże publicznie pognębić Nawrockiego jako niegodnego kandydata na urząd prezydenta RP. Czy premierowi Szczerba, Zdrojewski, Trela i Szeptycki także powiedzą publicznie, że boks to wstyd i dziadostwo?

Rej w otoczeniu Tuska, Szczerby i Zdrojewskiego wodziła też przez lata Iwona Guzowska, która tłukła się w ringu na różnych poziomach sportowych. Zanim Pacquiao, Michalczewski, Szczerba senior i Guzowska osiągnęli to, co osiągnęli, treningi z tarczą i bez tarczy, standard treningu boksera, miałyby mieć charakter rozrywki z gangusami z miasta?

Tusk ściga piłkę na piętach – to jest okej.

Tusk biegnie dokądkolwiek – zachwyt.

Tusk odbija w ping-ponga – mucha w locie zdycha z zachwytu.

Koń dźwiga Tuska – euforia.

Strach pomyśleć, co to będzie, jak Nawrocki wezwie Tuska, bo cherlawość Szczerby wyklucza wejście między liny na trening z tarczą w klubie Brzostek Top Team. Uczy on elastyczności ruchu, pracy w defensywie i przeprowadzania taktycznych kombinacji. Oraz cierpliwości. Mało który polityczny „gangus" wytrzyma to bez uszczerbku na zdrowiu.

Ring wolny, starcie posła Szczerby z prezydentem Jaśkowiakiem z Poznania. Proszę o pierwsze komentarze. Może Trela, a może Szeptycki od nauki.



eprasa.pl e047054f7a

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Niewystarczalność słów



Aleksander Nalaskowski

Są wydarzenia, wobec których język zachowuje się tak, jakby nagle przestał działać. Nie dlatego, że zabrakło nam słów. Przeciwnie: mamy ich tysiące, całe słowniki, podręczniki retoryki, gotowe formuły na każdą okazję. Potrafimy opisać kryzys rządu, katastrofę finansową, pogodę, która znów zaskoczyła drogowców, i mecz, którego wynik rozczarował kibiców. Umiemy dużo mówić o przemocy, przestępczości, bezpieczeństwie, wychowaniu, kryzysie psychicznym i kondycji młodego pokolenia. A jednak, kiedy dochodzi do ataku nożownika w szkole, okazuje się, że właściwie nie wiemy, co powiedzieć. Jakby język przestał działać. Wykrzykujemy: „No brak mi słów!", i to musi wystarczyć.

Wiemy więc, co się wydarzyło. Wiemy gdzie. Wiemy, kto zaatakował i kto został ranny. Znamy chronologię, liczbę poszkodowanych, pierwsze ustalenia policji. Umiemy odtworzyć przebieg zdarzeń minuta po minucie. Nierzadko wydarzenia rejestruje system monitoringu. Media układają fakty w uporządkowane relacje, eksperci zapowiadają analizy, politycy deklarują, że bezpieczeństwo dzieci jest dla nich priorytetem. Wszystko zostaje nazwane, opisane, skomentowane. A mimo to coś pozostaje nieuchwytne. Jakbyśmy opowiadali o zdarzeniu, którego istoty nie potrafimy dotknąć. Słowa stają się odarte ze znaczeń i właściwie niczego już nie wyrażają.

Nie mamy języka dla noża wyciągniętego w szkolnym korytarzu. Nie mamy go, ponieważ wciąż próbujemy opisywać niewyobrażalne wydarzenie za pomocą słów przeznaczonych do zwyczajnych spraw

Bo jak właściwie mówić o tym, że szkoła, czyli miejsce, do którego posyłamy dzieci z przekonaniem, że będą tam bezpieczne, może się stać miejscem polowania na człowieka? Jak opisać chwilę, w której zwyczajny szkolny dzień redukuje się do krzyku, strachu i ucieczki? Jakich słów użyć, by nie sprowadzić czyjegoś przerażenia do kolejnego punktu w serwisie informacyjnym? Nie mamy języka dla tej rzeczywistości. Albo, co gorsza, mamy język, który tylko udaje, że sobie z nią radzi.

Mówimy „incydent". Słowo schludne, wypomadowane i niemal biurowe. Incydent może się wydarzyć na skrzyżowaniu, podczas posiedzenia rady nadzorczej albo w kolejce do urzędu. Nie mieści się w nim jednak bezradność dziecka, które nie rozumie, dlaczego ktoś chce zrobić mu krzywdę. „Zdarzenie o charakterze kryminalnym" brzmi jeszcze bardziej neutralnie. Ma tę zaletę, że nie wymaga od mówiącego żadnego emocjonalnego zaangażowania. Można to wypowiedzieć spokojnym głosem, a potem przejść do prognozy pogody albo wyników losowania totolotka.

Mówimy „tragedia". To słowo prawdziwe, ale zużyte. Pojawia się tak często, że niemal przestało nas zatrzymywać. Tragedia na drodze, tragedia rodzinna, szkolna tragedia. Współczesny język informacji potrzebuje mocnych słów, lecz im częściej ich używa, tym szybciej traci ich ciężar. Tragedia staje się nagłówkiem, nagłówek – powiadomieniem, a powiadomienie – czymś, co przesuwamy palcem, by zobaczyć następny materiał. Tragedia może oznaczać poziom meczu albo śmierć. To pojęcia tak uniwersalne, że już nic nieznaczące.

A przecież w szkole nie wydarza się wyłącznie przestępstwo. Nie chodzi jedynie o naruszenie prawa, o skuteczność procedur ani o to, czy ktoś zareagował odpowiednio wcześnie. Dzieje się coś znacznie bardziej podstawowego: zostaje naruszone nasze elementarne wyobrażenie o świecie. To, że dziecko powinno móc wejść do klasy bez zastanawiania się, czy wróci z niej całe. To, że dorosłym powierzamy dzieci nie tylko po to, by nauczyli je matematyki i historii, lecz także po to, by przez kilka godzin dziennie strzegli ich zwyczajnego prawa do istnienia bez strachu. To nasze zaufanie do zacnej instytucji szkoły.

Kiedy dochodzi do ataku, zawodzą nie tylko zabezpieczenia. Zawodzi także opowieść, którą jako społeczeństwo snujemy o sobie samych. Nie wiemy, co z tą porażką zrobić, więc szybko szukamy wyjaśnień. Chcemy wiedzieć, czy sprawca był wcześniej agresywny, czy miał problemy w domu, czy ktoś zauważył niepokojące sygnały. Pytamy o dostęp do pomocy psychologicznej, o przemoc rówieśniczą, o internet, o samotność, o kondycję rodzin i szkoły. To ważne pytania. Bez nich nie da się zapobiegać kolejnym tragediom. Ale jest w nas również pokusa, by odpowiedź znaleźć jak najszybciej, ponieważ niewiedza jest nie do zniesienia. To imperatyw szukania jednego, wyraźnie określonego winnego. Może patologiczni rodzice? Może gry komputerowe? Może zawiedzione uczucie? A może depresja? A najpewniej prezydent RP.

Wolimy jakiekolwiek wyjaśnienie od bezradności. Przyczyna daje nadzieję na kontrolę. Jeśli wskażemy jeden błąd, jedną zaniedbaną procedurę, jedną instytucję, która nie zadziałała, będziemy mogli uwierzyć, że wystarczy naprawić ten element i świat wróci na swoje miejsce. Tymczasem

eprasa.pl e047054f7a



Fot. Adam Burakowski/East News

rzeczywistość bywa bardziej skomplikowana. Nie każdy akt przemocy da się przewidzieć, nie każdy sprawca pasuje do gotowego portretu, nie każde zło można zamknąć w formule, którą następnie wykorzystamy w poradniku bezpieczeństwa.

I właśnie dlatego potrzebujemy języka, który nie będzie ani sensacyjny, ani uspokajający na siłę. Języka zdolnego pomieścić niepewność, bez ucieczki od odpowiedzialności.

Tymczasem w pierwszych godzinach po ataku zaczyna się dobrze znany rytuał. Pojawiają się komentarze, domysły i zdania, które brzmią tak, jakby ich autorzy czekali na tę okazję od dawna. Jedni wiedzą już, że winne jest wychowanie bezstresowe. Inni, że brak wsparcia psychicznego. Jeszcze inni, że szkoła utraciła autorytet, że młodzież jest coraz bardziej brutalna, że świat oszalał. Każda tragedia zostaje natychmiast wciągnięta do sporu, który istniał jeszcze przed nią.

Wtedy język nie tyle nie potrafi opisać przemocy, ile zaczyna ją wykorzystywać. Cudzy strach staje się argumentem. Czyjeś cierpienie – dowodem na słuszność poglądów, które głosiliśmy wcześniej. Ofiary znikają za naszymi mądralińskimi diagnozami, a szkoła, w której wydarzyło się coś niewyobrażalnego, zamienia się w kolejną scenę publicznej kłótni.

Być może najtrudniejsze jest to, że nie umiemy wytrzymać ciszy, która powinna nastąpić po takich wydarzeniach. Natychmiast chcemy coś powiedzieć. Wypełniamy przestrzeń słowami, bo boimy się, że milczenie zostanie uznane za słabość, brak kompetencji albo obojętność. A przecież istnieje milczenie, które nie oznacza ucieczki. Jest chwilą, w której człowiek uznaje, że nie wszystko potrafi wyjaśnić i nie zamierza udawać, że jest inaczej.

Nie chodzi o to, by zrezygnować z opisywania zamachów nożowników w szkołach. Przeciwnie. Chodzi o to, by nauczyć się mówić o nich uczciwie. Bez epatowania szczegółami, które zamieniają przemoc w widowisko. Bez powtarzania niepotwierdzonych informacji. Bez romantyzowania sprawcy i budowania wokół niego legendy. Bez traktowania cierpienia poszkodowanych jak materiału, który trzeba jak najszybciej dostarczyć odbiorcom. I bez łatwego pocieszenia, że to tylko wyjątek, pojedynczy przypadek, coś, co zdarza się gdzieś obok normalnego życia. Bo dla osób, które tego doświadczyły, nie istnieje już prosty powrót do świata sprzed wydarzenia. Szkoła może znów otworzyć drzwi, lekcje mogą się odbywać zgodnie z planem, dzwonek może zabrzmieć jak zawsze. Ale zwyczajność nie jest przełącznikiem, który wystarczy nacisnąć. Tu nie ma miejsca na amatorszczyznę.

Potrzebujemy słów, które powiedzą o strachu, nie robiąc z niego sensacji. O odpowiedzialności, nie wskazując pochopnie winnych. O sprawcy, nie odbierając ofiarom centralnego miejsca w tej historii. O bezpieczeństwie, nie obiecując, że istnieje procedura zdolna je zagwarantować w każdych okolicznościach. Potrzebujemy też odwagi, by przyznać, że za niektórymi pytaniami nie stoi jeszcze żadna pewna odpowiedź.

Może właśnie od tego powinien zaczynać się nasz język: od uznania, że wydarzyło się coś strasznego, że nie wolno nam tego oswoić za szybko i że naszym obowiązkiem nie jest wyłącznie opowiedzenie o tym, co się stało. Musimy jeszcze spróbować zrozumieć, co takie wydarzenie robi z ludźmi i z naszym wspólnym poczuciem bezpieczeństwa.

Nie mamy języka dla noża wyciągniętego w szkolnym korytarzu. Nie mamy go, ponieważ wciąż próbujemy opisywać niewyobrażalne wydarzenie za pomocą słów przeznaczonych do zwyczajnych spraw. Ale może nie chodzi o znalezienie jednego wielkiego słowa, które wyjaśni wszystko. Może trzeba raczej odzyskać znaczenie tych prostych: dziecko, strach, krzywda, odpowiedzialność, pomoc. I nauczyć się wypowiadać je tak, by nie brzmiały jak puste formuły.

Bo kiedy ktoś atakuje nożem w szkole, nie kończy się tylko lekcja. Kończy się na chwilę nasze przekonanie, że świat jest miejscem, w którym dzieci mogą być po prostu dziećmi. A my, zamiast od razu szukać kolejnego komentarza, powinniśmy przynajmniej spróbować zrozumieć, co tak naprawdę właśnie utraciliśmy.

Dopóki nie znajdziemy słów do adekwatnego opisania ataków nożowników, dopóty nie będziemy umieli z nimi walczyć. Bo widzimy tylko to, co potrafimy nazwać.

eprasa.pl e047054f7a



OD A DO ZYBERTOWICZA

Jak długo Arystoteles pozostanie klasykiem?

W epoce, w której algorytmy generują tysiące opinii na sekundę, a świat sprawia wrażenie chaosu, dzieła klasyczne stają się narzędziem przetrwania

W erze technologicznego rozpędu idee oraz diagnozy szybko i boleśnie się starzeją. Szybko, bo efekty wieloletniego intelektualnego wysiłku potrafią wyglądać na przestarzałe już w momencie publikacji książki, mającej w zamyśle autora nieść przełomowe czy choćby świeże myśli. Boleśnie, gdyż niekiedy już na pierwszy rzut oka widać, na jakich naiwnie błędnych (z dzisiejszej perspektywy) założeniach czyjś trud poznawczy był ufundowany.

W wielu wydanych w dwóch pierwszych dekadach XXI w. pracach z socjologii, studiów kulturowych, politologii, ekonomii etc., których celem było ogarnięcie wyzwań nowej epoki, zupełnie nie widać świadomości tego, że niebawem podstawowym wyzwaniem ludzkości będzie problem sztucznej inteligencji. Dzieła o tytułach w stylu „Wyzwania początku nowego tysiąclecia" niejednokrotnie wyglądają teraz mizernie.

Ich autorzy nie dostrzegali, że AI, która miała pomóc naszej cywilizacji rozwiązać najpoważniejsze problemy – zmiany klimatycznej, nowotworów, choroby Alzheimera, rosnących nierówności – sama stanie się wielkim problemem.

Że wokół AI rozwinie się cyfrowy wyścig zbrojeń, że nie będziemy wiedzieli, jak uzgodnić ją z podstawowymi ludzkimi wartościami (tzw. alignment problem) i jak zagwarantować, by coraz potężniejsze modele AI rozwijały się w sposób bezpieczny dla człowieka.

Że duża część młodego pokolenia, mając wrażenie, że świat społeczny wyrwał się nam zupełnie z uwięzi, nie będzie chciała mieć dzieci – rozumując tak: przecież zostałyby one „wrzucone" w szalony kołowrót zdarzeń, nad którymi nikt nie panuje.

A tempo zmian rośnie i kto wie, czy medialnym hitem i źródłem publicznych niepokojów nie będzie niebawem np. biologia syntetyczna, czyli próby technologicznego tworzenia życia od... podstaw.

W czasach zamętu, którego w dziejach ludzkości przecież nie brakło, oparciem dla wielu były dzieła klasyczne. Klasyczne, czyli zachowujące wartość mimo upływu czasu, niekiedy nawet tysiącleci. Wystarczy wspomnieć dramaty z okresu starożytnej Grecji, myśli Sokratesa, Platona i Arystotelesa, nauki Buddy czy wreszcie rozważania św. Augustyna.

Dokąd powyższy namysł prowadzi? Do pytania, czy nie nadchodzą czasy, w których lektura pism Arystotelesa zupełnie przestanie być warta trudu, jakiego wymaga zrozumienie jego idei.

Dlaczego? Być może reguły „gry w społeczeństwo" zmieniają się tak głęboko, iż wkrótce dzieła klasyków będą dotyczyły świata, który przestał już istnieć.

Czy w sytuacji, gdy już obecne, przecież dopiero raczkujące, modele AI zdają się mieć gotowe odpowiedzi na wszystkie pytania, po cóż mozolnie studiować dzieła klasyków, np. czytać setki stron „Wojny i pokoju" Lwa Tołstoja czy „Czarodziejskiej góry" Tomasza Manna.

A może im bardziej radykalnie zmienia się technologiczne otoczenie, tym cenniejsze staje się to, co niepodatne na cyfrowe przyspieszenie? Sztuczna inteligencja potrafi w kilka sekund zaproponować syntezę poglądów Platona i Augustyna. Nie potrafi jednak przeżyć za nas trudu rozstrzygania moralnego, doświadczyć zachwytu ani udźwignąć ciężaru własnej śmiertelności.

Może Arystoteles pozostanie klasykiem nie dlatego, że dostarcza nam instrukcję obsługi współczesnego świata technologii, lecz dlatego, że przypomina o niezmiennej – dopóki rodzimy się i umieramy – matrycy ludzkiego doświadczenia. W epoce, w której algorytmy generują tysiące opinii na sekundę, a świat sprawia wrażenie chaosu, dzieła klasyczne przestają być akademickim obowiązkiem, a stają się narzędziem przetrwania. Są cyfrowym detoksem i kotwicą myśli.

Studiowanie klasyków – od Arystotelesa po Henryka Sienkiewicza – nie służy dziś zbieraniu faktów, lecz trenowaniu uwagi i budowaniu odporności na infozgiełk. Może wchodzimy w czas cichego renesansu klasyki: wąskie, ale zdeterminowane grupy ludzi będą wracać do tradycyjnych lektur właśnie po to, by ocalić w sobie to, czego żadna, nawet najbardziej zaawansowana AI chyba nie jest w stanie posiadać – głębię ludzkiej świadomości.

Andrzej Zybertowicz

Autopromocja 2x

eprasa.pl e047054f7a

wPolsce24

PYZA i FAKTY

od poniedziałku do piątku
17:10



„W moim studiu liczą się wyłącznie fakty
i konkretne odpowiedzi.
Rozmawiam z gośćmi bez taryfy ulgowej,
by wyciągnąć na światło dzienne
to, co naprawdę istotne dla Polski".

Marek Pyza

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	909 921, 196	62	192	32	825	65 339, 121	202	631	43	459	EPG 825, EPG PON 257	YouTube
telewizja naziemna	polsat box	CANAL+	netia	orange	vectra	PLAY	T	TOYA	evio	inea	multiMedia	TelewizjawPolsce24

eprasa.pl e047054f7a

wPolsce24

NIE DAMY SIĘ OKRAŚĆ!



Jacek Karnowski,
redaktor naczelny
telewizji wPolsce24

WALCZYMY Z UKŁADEM,

który decyduje,
co Polacy mają oglądać

WSPIERAJ
wPolsce24

wesprzyj.wPolsce24.tv

numer konta FRATRIA S.A.: **69 1020 4900 0000 8202 3036 2577**
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO